

GRANICE

**IV Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie
im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego**



Kielce 2025

redakcja: Marek Maciągowski

skład i projekt graficzny: Dariusz Ścisło

Copyright © by Ośrodek Myśli Patriotycznej i Obywatelskiej, Kielce 2025

wydawca: Wzgórze Zamkowe, ul. Zamkowa 3, 25-009 Kielce

www.zamkowa3.pl

www.ompio.pl

Kielce 2025

zdjęcia www.pixabay.com

ISBN: 978-83-944242-7-5

SPIS TREŚCI

Marek Maciągowski Słowo wstępu 4

Mariola Lewandowska Za niebieskim progiem 7

Stefan Badorski Mapa Świata 15

Bartłomiej Bąk Linie na piasku czasu 21

Rozalia Dmochowska Szalik 31

Joanna Góra Jagody spod muru 43

Piotr Jakubowski Marcus 51

Malwina Lewandowska Petrichor 55

Agata Nowak Horyzont 65

Mariusz Olejniczak Jeden dzień 73

Krzysztof Otorowski Nocny wędrowiec 79

Krzysztof Pietras Opieńki 88

Marcin Pietraszek Nicea albo śmierć 97

Paweł Rzodkiewicz Uczucia i granice 107

Hanna Stranz Wrzosowisko 117

Elżbieta Wojciechowska Perełeczka 125

Artur Żurek Niemy Sylwester 135

Słowo wstępu

Dla 350 autorów opowiadań nadesłanych na IV Ogólnopolski Konkurs na Opowiadanie im. Gustawa Herlinga-Grudzińskiego motto konkursu – granice – stało się inspiracją do literackich poszukiwań odpowiedzi na trudne pytania dotyczące życiowych postaw, dokonywania wyborów, sensu budowania, ale i przekraczania barier, które pojawiają się na naszej życiowej drodze. Granice okazały się pojęciem nie historycznym, związanym z walką, wojną o terytoria, wędrówką i tułaczym pielgrzymowaniem, ale pojęciem niezwykle aktualnym, indywidualnym, często bardzo osobistym, definiującym człowieka we współczesnym świecie.

Nikt nie jest w stanie określić ile istnieje granic. Nie tych fizycznych, oddzielających od siebie obszary państw, ale tych, jakie stawia przed nami życie, które budujemy sami, albo tych, które staramy się pokonać. I tak jak dla Gustawa Herlinga-Grudzińskiego niezwykle istotna była zawsze problematyka społeczna i wrażliwość moralna, tak i dla autorów zainspirowanych tematem konkursu jego imienia ważne stało się pytanie o sens życia i szukanie odpowiedzi na słuszność dokonywanych etycznych wyborów.

Nagrodzone przez jury konkursu opowiadanie Marioli Lewandowskiej „Za niebieskim progiem” celnie oddaje sytuację współczesnego człowieka uwikłanego w skomplikowaną rzeczywistość. Daje przejmujący obraz ludzi – mówiąc słowami autorki – jakby zamrożonych na granicy życia i śmierci, po drugiej stronie błękitnego progu. Autorzy wyróżnionych przez jury i drukowanych w tym tomie opowiadań również nie unikali w swoich utworach pytań o sens zła, o granice samotności, cierpienia i poświęcenia, o słuszność swoich decyzji i czynów. Tym samym wpisali się w literackie przesłanie opowiadań Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, dla którego poszukiwanie prawdy i sensu życia łączyło się z moralnym wyborem wartości porządkujących złożoność ludzkiego losu.

Marek Maciągowski





Mariola Lewandowska

Za niebieskim progiem

I

Liście zaszeleściły pod butami, gdy wolno pokonywał stopnie schodów. Zwolnił, nie dlatego, że poczuł zmęczenie, ale chciał odwlec moment, gdy ona spojrzy na niego ze smutkiem i zapyta: „Jak masz na imię synku, znowu nie pamiętam”. Podniósł wzrok na granatową tablicę nad wejściem i napis „Szczęśliwa dolina – dom seniora”. Jak ironia. Szczęśliwa dla kogo? Dla tych ludzi, którzy nie mogą już żyć w domach ze swoimi dziećmi? Dla tych, którzy niekiedy nie pamiętają swojego imienia? Dla tych, którzy nie czekają na śmierć, bo nawet ona o nich zapomniała? Żyją tu bez nadziei, czekając, nie wiedząc na co.

On przychodzi tu prawie od roku i pamięta ten pierwszy raz jakby to było wczoraj. Wszedł do pokoju, a ona spojrzała na niego z radością i ulgą. „Jesteś synku” – powiedziała tak cicho, że nie był pewny, czy dobrze usłyszał. Jednak został, wtedy i później.

Naciska przycisk dzwonka. Zanim milknie ostry dźwięk wewnątrz domu, drzwi otwierają się szeroko. Światło oświetla fragment korytarza i postać Anny, opiekunki strefy żeńskiej. Nie uśmiecha się, skłania tylko głowę i z uwagą spogląda w twarz gościa, jakby chciała wyczytać nastrój i wieści, jakie ze sobą przynosi.

On tylko kręci głową, patrząc na nią porozumiewawczo. Duże oczy w ramce cieniutkich zmarszczek są szare od smutku. Odgarnia z czoła ciemną grzywkę. Ona na chwilę zatrzymuje wzrok na jego długich, szczupłych palcach pianisty. Chciałaby kiedyś pójść na jego koncert, jak będzie miała czas, jak wnuczki nie zostaną u niej na weekend.

Jan spojrzał na próg, zrobiony z gładkiej deski i pomalowany na błękitny kolor. Wiele razy chciał zapytać Annę, kto i dlaczego pomalował go na niebiesko. Jednak nie zapytał, bo po co? Nigdy też na nim nie stawał, zawsze robił krok, aby go ominąć. Teraz też, nie odrywając wzroku od błękitu

tej umownej granicy, przekłada nogę i wchodzi do zimnego, mrocznego korytarza. Drzwi zatrząskują się za jego plecami, jakby ktoś pociągnął za spust. Nie ogląda się, bo przecież zna ten dźwięk. Anna jak zwykle szura kapciami na zielonych płytkach podłogi. Plastikowe listwy odstają od ścian. Wewnątrz czuć lizolem, tanim odświeżaczem powietrza i moczem. Nie potrafi przyzwyczaić się do tego odoru.

Sala numer trzy, pierwsza po prawej. Tyłem do korytarza, na metalowym krześle siedzi stara kobieta. Siwe włosy związane w kucyk kleją się smętnie do zgarbionych pleców, poły szlafroka zwisają i sięgają podłogi, niczym przetrącone skrzydła. Patrzy w okno, czeka. Będzie tak siedziała cały dzień, zrobi tylko przerwę na obiad, zdrzemnie się na wąskim, zapadniętym łóżku i znów wróci na swoje stanowisko. Ma przystojnego syna, jest wykształcony, inżynier, ważny człowiek. Ma też wnuczki, dwoje. A może troje? Nie pamięta. Ale syna ma na pewno i on do niej przyjdzie. Jak tylko będzie mógł. Nigdy jednak nie przychodzi. Jan wie, że syn inżynier regularnie płaci rachunek za pobyt matki w Szczęśliwej Dolinie, ale zanim przeleje pieniądze dzwoni, żeby się upewnić, czy ona jeszcze żyje. Dobry syn, pamięta.

Sala numer pięć. Drzwi zamknięte. Anna nieco zwolniła, jakby chciała je otworzyć, ale jednak idzie dalej. Jan wie, że tu mieszka pani Zosia, która już nie wstaje z łóżka. A może nie ma już tam tej bladziutkiej staruszki, która całymi dniami patrzy w sufit?

Sala numer siedem. Przez otwarte szeroko drzwi widzi panią Baranowską. Nie wie jak ma na imię, bo wszyscy używają tylko jej nazwiska. Różowa podomka sięga kolan i prześwituje na tle okna. Kobieta białą szmatką wyciera parapet. Przechyla głowę i sprawdza, czy nie pozostawiła smug. Powtórzy tę czynność jeszcze wiele razy. Odwraca się do drzwi i macha białą szmatką, jakby się poddawała. Bez uśmiechu wraca do przerwanego na chwilę zajęcia.

Sala numer dziewięć. Kaptcie Anny milkną na znak, że dotarli do celu. Opiekunka odwraca się do Jana, nie sięga jednak do klamki.

– Wejdz sam. Ja muszę pomóc w kuchni, bo ta młoda znowu chora i nie ma kto robić. Cholera mnie bierze. Jak skończysz, wejdz na piętro, dyrektorka coś chciała. – Anna już zaczyna szurać kapciami, kierując się dalej korytarzem.

Jan sztywnieje i marszczy brwi, wstrzymując oddech.

– Coś się stało? – Słowa z trudem przeciskają się przez szparę ust.

– Nie wiem, pewnie nic. Wiesz jaka jest, za dużo nie mówi.

– A może?... – głos mu zadrżał, jakby utonął w krtani.

Anna obejrzała się przez ramię:

– Nie – spojrzała na niego jak zwykle bez uśmiechu – o tym wiedziałabym na pewno. Wszyscy byśmy wiedzieli. Odchodzi.

Janek kiwa głową. Słyszysz znowu szuranie kapci, ale już nie patrzy za Anną, naciska cicho klamkę drzwi z numerem dziewięć. Smuga światła wdziera się na korytarz, ożywiając drobinki kurzu. W pokoju nikogo nie ma, ale z otwartej łazienki dochodzi odgłos spuszczonej wody.

– Jesteś? – Matka staje na środku pokoju ubrana tylko w pieluchomajtki. Rozgląda się bezradnie, jakby coś zgubiła.

Janek wzdycha głośno i kręci głową.

– Dlaczego jesteś nie ubrana? Anna nie powiedziała, że przyjdę?

– Nie pamiętam. – Chude nogi zgięte w kolanach lekko drżą. Piersi smętnie leżą nad wzdętym brzuchem.

Janek nie odwraca wzroku, przyzwyczaił się do tego widoku.

– Dlaczego jesteś nie ubrana? – powtarza bardziej do siebie niż do niej.
– Zmarzniesz. Pomogę ci się ubrać – dodaje, zaglądając do łazienki. Na wieszaku wisi tylko beżowy szlafrok.

– Nie idę spać? – Patrzy jak dziewczynka, która coś zbroiła i próbuje uspić czujność matki. Rozgląda się bezradnie po pokoju, jakby czegoś szukała.

– Nie, nie idziesz spać. Niedawno wstałaś, jest dzień. Piękny dzień. Jak będziesz chciała wyjdziemy do ogrodu.

Drzwi od szafy skrzypią i znowu obiecuje sobie, że nasmaruje je czymś, może oliwą, albo wazeliną, ale pewnie znowu zapomni. Przesuwa wieszaki i zdejmuje jeden z błękitną bluzką w białe listki.

– Zobacz mamó, może być ta?

– Tak, jak chcesz.

Dostrzega granatową sukienkę w groszki, z białym kołnierzykiem.
„Musiała ładnie w niej wyglądać – myśli. Tylko po co jej ona? Przecież siedzi

tylko w tym pokoju. Ale są jeszcze święta, poza tym pewnie jakieś wizytacje z gminy. Wtedy wystroją ją w tę sukienkę, posadzą na krześle w jadalni. Czy ona zauważy, że ma ją na sobie, czy pamięta kiedy założyła ją ostatni raz?"

– Mamo, a może założysz to? – uniósł wieszak z granatową sukienką.

– To na święto – odpowiada, a kąciki ust nagle opadają, tworząc podkówkę jak u dziecka. – Nie mogę jej zniszczyć, ani ubrudzić.

Janek już nie słucha. Pomaga matce założyć białą halkę i granatową sukienkę. Ona nie protestuje i uśmiecha się, gdy ustawia ją przodem do niedużego lustra.

– A buty? – Matka patrzy bezradnie na bose stopy.

– Zaraz będą i buty – podskakuje do szafki przy drzwiach. Wyjmuje tenisówki.

– Zobacz mamo, jakie wygodne i eleganckie – śmieje się do niej.

– Synku, wiesz, wszystko mi się myli, miesza. Wydaje mi się, że kiedyś mówiłeś do mnie „mamuś”, dlaczego teraz mówisz „mamo”?

Ręka, którą podtrzymuje matkę, nagle sztywnieje. Janek czuje na czole zimne krople potu. A co jeśli ona sobie przypomni? Co jeśli go rozpozna, a raczej nie rozpozna? Co jej powie? Kłamstwo staje mu w gardle jak ość karpia i ma wrażenie, że się udusi.

– Mamuś – szepcze jakby na próbę i nawet nie jest pewny, czy ona słyszy.

– Chodź synku, posiedzimy sobie w parku – mówi lekko, zupełnie nieświadoma jego strachu. Już zapomniała, co wydarzyło się przed chwilą. Jak zwykle. Przekleństwo, a może błogosławieństwo choroby alzheimera.

Kika minut później idą razem przez długi korytarz do drzwi prowadzących na wewnętrzny dziedziniec.

II

Dwie godziny później Janek odprowadził matkę do jej Sali. Pomógł jej się przebrać w szlafrok i przygotował łóżko do spania. Postawił butelkę wody i nakazał, żeby koniecznie wypić ją do rana, ale i tak wiedział, że zapomni. Przytulił ją jeszcze i wyszedł, cicho zamykając za sobą drzwi.

Nie od razu poszedł na górę. Oparł się o ścianę na półpiętrze i próbował uspokoić oddech. Czego może chcieć dyrektorka? Może ma jakieś wieści? Może ktoś z innego domu dostał wiadomość? Może ją znaleźli?

Ręce mu drżały, gdy pukał w drzwi z tabliczką: Dyrektor. Marianna Koc. Dokładnie jak rok temu. Wtedy przyjechał, żeby zidentyfikować jedną z pensjonariuszek, dostał wiadomość, że trafiła do Szczęśliwej Doliny kobieta o nie ustalonej tożsamości. Wiek się zgadzał. Już nie pamiętał ile takich domów odwiedził, ani ile odkrył prześcieradeł w lodowatych prosektorjach, żeby odnaleźć tę jedną, jego matkę. Ale to tamten dzień w Szczęśliwej Dolinie wszystko odmienił, to do tych drzwi zapukał i znalazł nadzieję, a może sens? Teraz czuł, jak żołądek zaciska mu się jak klamra, wywołując mdłości.

Zapukał w wytartą płytę drzwi.

Marianna siedziała na kanapie pod oknem, na stoliku stała filiżanka z odrobiną kawy na dnie. Na biurku leżał stos dokumentów i gruby, czarny segregator. Pewnie na chwilę przerwała pracę, żeby odpocząć. Jan wiedział, że bywały takie dni, gdy nie wychodziła z ośrodka nawet przez czternaście godzin. Ludzie, znaczy pracownicy, bali się jej, ale szanowali. On też. Teraz stał jak uczeń, bojąc się odezwać.

– Napije się pan kawy? – Zapytała, nie wstając z kanapy – Proszę, niech pan usiądzie.

– Czuję, że bardziej przydałaby mi się melisa – Głos miał jak drewno, martwe i bez dźwięku. Z trudem panował nad mdłościami.

– Taaak – odpowiedziała, jakby w zamyśleniu, jakby chciała zyskać na czasie. – Nie mam dobrych wieści.

Opadł na fotel, a ten jęknął nie przyzwyczajony do takich gwałtownych ruchów.

– Czy ma pani jakieś wieści o mojej matce? – wychrypiął.

– Ależ nie! – Prawie krzyknęła. – Przepraszam, że tak pan pomyślał. To zupełnie coś innego. Zmarł syn pani Gawłowskiej. – Powiedziała na jednym oddechu, by nie trzymać go dłużej w niepewności.

Oparł plecy i spojrzał na sufit. Nie było w tej pozie odprężenia, raczej poszukiwanie zrozumienia.

– Co teraz będzie? – szepnął bardziej do siebie niż do niej. – A o mojej mamie nic pani nie wie? – Zapytał, chociaż już domyślił się odpowiedzi.

– Przecież pan wie, że nie trzymałabym pana w niepewności, jeśli kiedykolwiek usłyszę o nowym niezidentyfikowanym pensjonariuszu, natychmiast do pana zadzwonię. Pozwoliłam sobie powiadomić dyrektorów w innych placówkach i są czujni. Jeśli pojawi się ktoś u nich, dadzą mi znać. – Zapatrzyła się w płamę na podłodze. Oboje milczeli słuchając tykania zegara i krzyku wilgi za oknem. Dochodziła dwunasta, zaraz zacznie się obiadowy ruch na korytarzach, chodzący pensjonariusze ruszą do jadalni, tym którzy pozostaną w pokojach przywiozą jedzenie na wózkach. Tak dobrze już znał ten rytm, a nie miał do tego prawa. Był uzurpatorem.

Minął rok od dnia, gdy dyrektorka zaprowadziła go do sali numer dziewięć. Na krzeselku siedziała kobieta o nie znanej tożsamości. Miała zaawansowaną chorobę alzheimera i to dlatego trafiła do ośrodka. Nie zaprzeczył, gdy powiedziała: „Jesteś synku”. Później okazało się, że nazywa się Irena Gawłowska, a jej syn mieszka za granicą. Nigdy jej nie odwiedzał, przysyłał tylko kartki na święta, nieraz dzwonił. Ostatnio w ogóle przestał się odzywać, a pani Irena tęskniła coraz bardziej. Każdego, kto pojawiał się w pokoju, brała za swojego syna. Tak jak jego, gdy przyjechał, aby zobaczyć, czy kobieta umieszczona w tej sali to jego matka. Nie, to nie była ona, ale zawsze cieszyła się na jego widok i nazywała synem. Dlatego odwiedzał ją zawsze będąc w pobliżu. Dyrektorka akceptowała w milczeniu te wizyty, bo przecież pensjonariusze mają prawo do odwiedzin... i do szczęścia.

– Co teraz z nią będzie, co zrobimy? – Przerwał milczenie. Patrzył na kobietę, jakby od niej wszystko zależało, jakby to ona miała klucz do wszystkich rozwiązań. A może miała?

– Panie Janku, ja wiem, kim jest pan dla pani Ireny, ale wiem też, że ona rano nie będzie pamiętała, że pan u niej był. Wiem też, że nie mogę ukrywać przed nią śmierci jej syna. Sam pan rozumie. – Upiła łyk kawy.

Tak, rozumiał. Nie mógł dalej odgrywać roli nieżyjącego już człowieka.

– Teraz musimy dać jej czas na żałobę – ciągnęła po chwili dyrektorka, unikając jego wzroku. – Będzie pogrzeb. Nie wiem jak ona to zniesie. Mają sprowadzić prochy w przyszłym tygodniu. Nie spodziewaliśmy się, że to on umrze pierwszy.

– Proszę już nic więcej nie mówić. – Schował twarz w dłoniach.

Dyrektorka wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć jego ramienia, ale nie zrobiła tego. Patrzyła przez chwilę na jego plecy wstrząsane bezgłośnym płaczem, po czym zapatrzyła się na lipy za oknem.

– Wyjdę stąd i już nie wrócę. Tak będzie najlepiej. – Wyciągnął z kieszeni bluzy chusteczkę i wytarł mokrą twarz. Nie próbował ukryć łez. – Czy mógłbym coś dla pani zrobić?

– Tak, sama miałam o coś pana prosić. W sali na dole stoi stary fortepian. Pewnie jest rozstrojony, bo odkąd tu jestem nikt go nie używał. Czy zgodziłby się pan na nim zagrać?

III

Minęło pół roku. Patrzył na pensjonariuszy zgromadzonych w dużej sali Szczęśliwej Doliny. Słońce zaglądało przez otwarte okna, chyląc się ku łąkom i polom za bramą. Widzowie zajmowali miejsca na metalowych krzeselkach, siadali cichutko, nieświadomi tego, co wokół się dzieje. Spojrzał na swoje dłonie: lekko drżały. Tak, denerwował się, bardziej niż przed każdym innym koncertem.

Zgodnie z obietnicą dałą dyrektorce tamtego dnia, nigdy już nie odwiedził pani Gawłowskiej. Często o niej myślał i o tych ludziach jakby zamrożonych na granicy życia i śmierci, po drugiej stronie błękitnego progu. Tam życie płynęło powoli, ludzie poruszali się jakby w zwolnionym tempie. Czy miał ochotę wrócić? Tak, ale przecież obiecał. Matki też już nie szukał. Znalezienie jej żywej graniczyłoby z cudem, a w te już nie wierzył. Gdyby żyła, znalazłby ją wreszcie w jakimś domu opieki, ale jej nigdzie nie było, ani żywej, ani martwej. Usiadł na drewnianym taborecie, który przyniosła dla niego Anna i poszukał jej wzrokiem. Uśmiechnęła się z drugiego rzędu. „Jeśli Anna już siedzi, to znaczy, że wszyscy pensjonariuszy już są” – pomyślał. Dotknął klawiszy, ale jeszcze nie grał, czekał na znak dyrektorki. Wreszcie stanęła w drzwiach, popychając przed sobą wózek, na którym skulona siedziała drobna staruszka. Pięknie wyglądała w granatowej sukni z białym kołnierzykiem. Kiedy zajęły miejsca dyrektorka skinęła głową na znak, że może zaczynać.

Serce biło mu jak szalone, gdy dotknął klawiszy i zagrał „Dla Elizy” Ludwiga van Beethovena. Kochał ten utwór i grał najlepiej jak potrafił, nie grałby tak nawet dla królów. Muzyka wypłynęła przez otwarte okna i snuła się jak mgła po ogrodzie Szczęśliwej Doliny. Grał coraz odważniej, mocniej, jakby chciał obudzić ich z letargu. Ostatni akord. Cisza... I nagle salwa oklasków. Pani Gawłowska odwróciła głowę i uśmiechnęła się do siedzącej obok dyrektorki.

– To mój syn – szepnęła z dumą.

Stefan Badorski

Mapa Świata

Mam ciało, które pragnie. Wiele życzeń ma moje ciało. Więcej niż trzy. Żółtą rybkę złowioną w jeziorze upieklabym na patelni. Lampkę Dżinna chętnie zamienię na tę pełną wina. I nie umiem się modlić o cud. Zamiast manny z nieba spada mi tynk z sufitu. Na dywan nielatający.

Jestem skończona. Rozpisana matematycznie i fizycznie. Biologicznie pełna. W prawym górnym rogu wyświetlaczy moich komórek już od jakiegoś czasu ikona baterii podświetla się na czerwono. I nie mogę znaleźć pasującej do mnie wtyczki.

Leżę na łóżku. Naga. Taki mój rytuał niedzielny. Zamiast modlitwy – ofiara z ciała. Na widok roztoczy i muchy upubliczniona. Krwi nie ma. To znaczy jest gdzieś niegłęboko. Mogę sprawdzić, czy jest, ale odzywa się mój instynkt i szczeka. Coraz głośniej wyje, kiedy łapię się za nadgarstek, kiedy za szyję się łapię, za sutki zimne, kiedy dotykam delikatnej skóry ud.

Leżę na łóżku naga. Rytuał poranny. Taka ze mnie poduszka zacerowana dokładnie, wypełniona czymś, co jest miękkie. Nie poduszka. Materac raczej. Zaprojektowany przez artystę-heroinistę. W środku materaca ze skóry naturalnej – stelaż. W klatce żeber – serce, które obja się o więzienne pręty. Łapie za nie, potrzęsa. Chce się uwolnić, ale skazane na dożywocie nie może wyjść. Umrze tam. W więzieniu. Chociaż niewinne, to jednak z wyrokiem.

Powinnam mniej pić. Na niedzielnym kacu zbyt dużo we mnie metafor.

Jestem skończona. Obraz, którego nie muszą już żadne włosie pędzla. Żadnego nowego koloru nie będzie, przetarcia, wściekłego zamazania przez wściekłego artystę nierównych konturów, zbyt wąskich bioder, fałdek i boczaków. Jestem skończonym obrazem bezimiennego malarza. Wstydził się to podpisać. Bał się podrzeć to płótno. I skazał na oglądanie każdego, który mnie widzi, kiedy wychodzę z mieszkania i idę do sklepu. Wyrzucić śmieci. Wyprowadzić psa.

Ale jeszcze nie. Teraz leżę na łóżku.

Jestem Światem. Kontynentem, do którego mogą z czasem przybić obce statki. Otacza mnie morze kołder. Z każdej strony fale, depresje, płycizny i rowy mariańskie. Zanim stworzą mapy moich krzywizn, opiszą pęknięcia, odkryją jaskinie, jestem Atlantyda.

Leżę tak sobie i marzę. Marzy się, kiedy się nie ma. Kiedyś wierzyłam we wróżki, w dynie zmienione zaklęciem w karoce, w szczury zmienione w rumaki. W to, że zmieszczę się w suknię i nadal będę oddychać. W gorsecie. W karecie. Na balu.

Jestem niczyją dziewczyną. Dwulistną koniczyną.

Nie przyniosę szczęścia.

Jestem niczyją dziewczyną. Wyżynną, górzystą krainą.

Trudno na mnie się wspina.

Mapa mojego świata nie mieści się w format A4. Trzeba mnie dzielić na strony. Na pierwszej jest moja twarz. Pustynie policzków, wyschnięte koryta po łzach. Porę suchą mam. I usta czerwone, spragnione wody. Kiedy zawieje wiatr, moje włosy falują. Wodorosty i muszelki skrzą się moim wielkim czołem. Kiedyś oczy miałam niebieskie. Jeziora głębokie i czyste. I było tam życie, mnóstwo wodnych stworzeń. Żaby chowały się w trzcinach moich rzęs.

Na drugiej stronie moja szyja, piersi. Zbocza Everestu i Lhoste połączone ze sobą górkim łańcuchem. Zimno tam było od zawsze. Piękne są widoki ze szczytów, które tylko szaleńcy zapragną zdobywać. Ryzykują życiem przecież, upadkiem ze zbocza, zamarznięciem podczas drzemki w zaczepionym o skały hamaku.

Trzecia strona to brzuch. Pofałdowany krajobraz. Pola rzepaku, pszenicy i żyta, winnice zwrócone do słońca. A wszystko to na wzgórzach, w dolinach, w górę i w dół ciągnące się uprawy, miedze i dróżki pomiędzy polami. Widać je dobrze z nieba, z drzew. Dzielą mój brzuch zmarszczki i fałdki. Widać je dobrze. I z nieba. I z drzew.

Delta Nilu na południe od pępka. Jest żyzna i niepoznana do końca, pełna krokodyli, dzikich ptaków, węży. Zielony kielich, łono matki ziemi. Zajmuje czwartą stronę moja Delta Nilu. I to najbardziej mnie peszy –

dokładność zdjęć z satelity. Choć ląd jest okryty szczelnie lasami równikowymi. Badacze ginęli bez wieści. Podobno w tych lasach mieszka sobie potwór. Podobno syreny przy ujściu do morza. I porywają bezbronnych żeglarzy.

Półwysep nogi prawej jest stworzony z piasku. Półwysep lewej nogi jest powulkaniczny. Etny, Wezuwiusze, gejzery i źródła. Wszystko to dymi, straszy pomrukami. Półwysep nogi prawej to plaże i palmy – kurorty mogłyby powstać, hotele, przystanie dla łódek. Półwysep lewej nogi to ziemia ognista, niewygasła jeszcze. Kryje w sobie śmierć. Pompejowe rzeźby. Półwysep prawej nogi jest mniejszy od lewego. Kiedyś były bliźniacze, ale lawa w końcu zastyga, zostawia po sobie ślady. A na niej kolejne ślady. I piętrzą się, piętrzą się ślady jak owrzodzenia na skórze od spania zawsze na lewym boku.

Rzeki płyną wzdłuż moich przedramion. Dziesiątki dopływów. Szerokie i rwące miejscami i takie pełne kamyczków, można przejść bosą stopą. Można się przejrzeć, ochłodzić. To one znikną najprędzej. Wyschną. Zwierzęta opuszczą te miejsca. Zebry i słonie, antylopy gnu będą musiały się przenieść. Wyruszą kiedyś, pod wieczór, w stronę chowającego się za horyzontem słońca. Mam okna na zachód. I nie mam żaluzji. Będzie im łatwiej.

Leżę na łóżku. Naga. Jestem Światem. Potwornie dziewiczym lądem – niezdobytym i niedotykany ludzkimi stopami i dłońmi.

I chcę tak. Taka chcę zostać.

Nie możesz się zbliżyć za blisko.

Dobrze wiem, co wtedy się stanie. Dobrze wiem, gdy granice przestawię. Kiedy zawiniesz do brzegu, zachwycisz się moją przyrodą, nieodkrytymi lądami. Dobrze wiem, zaczynasz niewinnie. Jeden statek przypłylnie. Może dwa. Jedna flaga wetknięta w piasek. Może dwie. Obiecasz, że wszystko zachowasz. Że żaden tam Central Park. Żadne kominy, żadne budynki ze szkła. Ocalisz wszystkie zwierzęta i dbać będziesz o wodospady. Nie wniesiesz na szczyty plastiku. Nie zetniesz drzew.

Nie możesz się zbliżyć za bardzo.

Dobrze wiem, co wtedy się stanie. Dobrze wiem, gdy Schengen wprowadzę. Kiedy cię wpuszczę na chwilę, żebyś się tylko rozejrzał. Zachwyć z lusterkiem w ręku przypadkiem przy suchej trawie. Płomień to tylko płomień. Z płomienia rodzi się ogień. A z ognia rodzi się świat. Twój świat.

Wczoraj widziałam cię w sklepie, przedwczoraj w bibliotece. Te twoje oczy zdobywcze, połyskujące błękitem. Znam to spojrzenie. Parzy mnie, parzy mnie skóra, kiedy na mnie patrzysz. I znam ten zapach. Jest piękny. Perfumy. Piżmo i tytoń. Nietoperze wylatują z jaskiń moich nozdrzy. Pobudzone zapachem opuszczają domy. Wiosenne feromony to silny afrodyzjak. Twoje jeansy, twoje jeansy opięte i t-shirt opięty i szyja napięta, chcę jej dotykać. Wiem to i czuję. Chcę ją zacisnąć mocno. Do jej zbrunatnienia. Do granic dopływu powietrza. Do granic szlagrafienia.

Na mapie mojego świata jest kilka czerwonych punktów. Miejsca Święte. Pielgrzymuję do nich motyle i ćmy. To miejsca czczenia mych bogiń.

Bogini Rozpacz. Ma swoją świątynię w górach – sanktuarium na skale pośród wodospadów. Modłę się do niej w samotne noce. Ofiarowuję jej butelki wina. Muszą być puste, żeby rytuał miał Moc. Bogini Wężowa. Na środku pustyni stoi piramida. A przed nią pomnik faraonki Sfinksy. Wznoszę do niej dłonie, kiedy muszę się wici i uciekać i skrywać między regałami – w bibliotece, w kolejce, przy wyjściu, gdy cię mijam, feromonowy przybłędę z szyją cudem niesiną. Bogini Wenus. Na prerii, wśród rudych skał, w otoczeniu strażników-kojotów stoi drewniany domek, przed domkiem luneta i miejsce na ognisko. Modłę się do niej, kiedy w Dolinie Nilu nadchodzi pora deszczowa. Na wiosnę najczęściej. Oplatam się wtedy różańcami w dzień. A pejciami w noc. Bogini Vampiria. Jej świątynią jest dwór na cmentarzu pośród pomników tych, którzy tu byli przed tobą. Uśmiecham się do niej i wtedy rosną mi kły. I wtedy uzreć cię chcę. Bo jesteś za blisko.

Leżę na łóżku. Naga. Taki mój rytuał niedzielny. Zamiast modlitwy – ofiara z ciała. Na widok roztoczy i muchy upubliczniona. Krwi nie ma. To znaczy jest gdzieś niegłęboko. Mogę sprawdzić, czy jest, ale odzywa się mój instynkt i szczenka. Coraz głośniejszy wyje, kiedy łapię się za nadgarstek, kiedy za szyję się łapię, za sutki zimne, kiedy dotykam delikatnej skóry ud.

Jutro jest poniedziałek. Trzeba będzie wstać. Ubrać się elegancko i pójść tam i z powrotem. Przebrać się w nieeleganckie i kupić masło i mleko. Znornalnieć na pięć dni w tygodniu. Trzymać gardę jak bokser. I wymyślać przez pięć dni tygodnia nową historię o sobie.

W sobotę wypiję drinka ku chwale bogini Rozpaczy. Zostawię jej w ofierze pustą butelkę po rumie.

W następną niedzielę będę znów leżeć. Wezmę procha na ból nieumytego łba. I będę tworzyć nową historię pełną metafor i bzdur. Wytłumaczę sobie, dlaczego wolę być sama. Dlaczego wolę echo. Dlaczego wokół mnie ostrokół, a przed wejściem do domu wilczy dół i głodne cerbery.

Tym razem geograficznie. Jestem mapą świata. Moich granic nie może przekroczyć żaden obcy z zarostem. Bez zarostu. W każdym razie z wyrokiem XY.

Jakby nie wystarczyła diagnoza psychiatry.

Że bardzo się boję bliskości.

Bo mój ojciec pił.



Bartłomiej Bąk

Linie na piasku czasu

Świt rozlewał się po horyzoncie jak złocisty miód, powoli spływając po zboczach gór i rozświetlając dolinę, gdzie Aleksander rozpoczynał swój dzień. Poranna mgła unosiła się nad ziemią niczym zwiewna zasłona, zza której wyłaniały się zarysy drzew i kamieni – niemych świadków historii tego miejsca. Aleksander stał na szczycie niewielkiego wzniesienia, jego sylwetka odcinała się wyraźnie na tle jaśniejszego nieba, jak samotny strażnik na posterunku czasu.

Jako Strażnik Granic, Aleksander posiadał dar widzenia tego, co dla innych pozostawało ukryte. Granice w jego oczach nie były prostymi liniami na mapie, lecz żywymi, pulsującymi energią bytami, które wiły się przez krajobraz jak srebrzyste węże, znacząc swój ślad w tkance rzeczywistości. Każda z nich miała swoją historię, osobowość, pragnienia – niektóre szeptały cicho jak strumienie, inne huczały niczym wodospady, a jeszcze inne milczały, skrywając tajemnice minionych epok.

Tego poranka uwagę Aleksandra przykuła szczególnie jedna granica – stara linia podziału między dwoma europejskimi krajami, którą w myślach nazwał Granicą Wspomnień. Wiła się ona przez dolinę jak sędziwa rzeka, jej brzegi porośnięte mchem historii, a wody pełne odłamków pamięci. Aleksander zszedł ze wzniesienia, bezszelestnie na wilgotnej od rosy trawie, i zbliżył się do granicy z szacunkiem należnym staremu mędrcowi.

– Witaj, strażniczko czasów – szepnął, kładąc dłoń na pulsującej linii. Pod palcami poczuł vibracje – tysiące historii, radości i tragedii, które rozegrały się wzdłuż jej biegu przez wieki. To było jak dotykanie żywej kroniki, gdzie każde drgnięcie opowiadało inną historię.

Nagle, świat wokół Aleksandra rozmył się, a on sam znalazł się w wirze wspomnień. Zobaczył orszaki weselne przekraczające granicę z pieśnią na ustach, ich kolorowe stroje kontrastujące z szarością wojen-

nych lat. Widział przemytników przemykających nocą przez gęste lasy, ich serca pełne strachu i nadziei. Obserwował dyplomatów w sztywnych kołnierzykach, negocjujących przebieg granicy przy mahoniowych stołach, podczas gdy zwykli ludzie po obu stronach żyli swoim rytmem, nieświadomi decyzji, które miały zmienić ich życie.

– Jestem zmęczona – usłyszał Aleksander głos granicy, brzmący jak szept wiatru w koronach starych dębów. – Niosłam na sobie ciężar historii przez tak długi czas. Widziałam, jak narody rosły i upadały, jak miłość przekraczała bariery, a nienawiść wznosiła mury. Czasem myślę, że chciałabym po prostu zniknąć, rozpuścić się w krajobrazie jak mgła o poranku.

Aleksander poczuł, jak jego serce ściska się z empatii. Pogładził delikatnie pulsującą linię, jakby chciał ukoić jej ból. – Rozumiem twoje zmęczenie – powiedział łagodnie. – Ale nie możesz zniknąć. Jesteś jak korzenie tego kontynentu – głęboko wrosnięte w ziemię, dające oparcie i tożsamość. Bez ciebie, wiele zostałoby zapomniane.

Granica zafalowała pod jego dłonią, jakby westchnęła. – Ale co z bólem, który przyniosłam? Z rozdzielonymi rodzinami, z konfliktami, które rozpałam?

Aleksander zamyślił się, jego wzrok błędził po okolicy, gdzie natura zdawała się ignorować ludzkie podziały – kwiaty kwitły po obu stronach granicy tak samo pięknie, ptaki przelatywały nad nią bez zatrzymywania się. – Może zamiast znikać, możemy cię przemienić? – zaproponował. – Nie jesteś tylko świadkiem podziałów, ale też mostów. Opowiedz mi o momentach, gdy łączyłaś, a nie dzieliłaś.

I tak Granica Wspomnień zaczęła opowiadać. O festiwalach muzycznych, gdzie melodie z obu stron mieszały się w jedną harmonijną pieśń. O naukowcach, którzy ponad podziałami pracowali razem dla dobra ludzkości. O dzieciach bawiących się razem na neutralnym pasie ziemi, nieświadomych linii narysowanych przez dorosłych.

Z każdą historią, Aleksander czuł, jak Granica Wspomnień staje się lżejsza, jakby ciężar wieków zaczynał z niej opadać. Jej pulsowanie stało się mniej chaotyczne, bardziej rytmiczne, jak bicie serca wracającego do zdrowia po długiej chorobie.

– Widzisz? – powiedział Aleksander z uśmiechem. – Nie jesteś tylko linią podziału. Jesteś miejscem spotkań, wymiany, dialogu. Możemy to wzmocnić, możemy pomóc ludziom zobaczyć cię w nowym świetle.

Pracując z Granicą Wspomnień, Aleksander zorganizował serię wydarzeń – festiwale kultury, gdzie tradycje z obu stron granicy spletały się w barwną mozaikę, warsztaty historyczne, gdzie ludzie uczyli się wspólnej przeszłości, projekty artystyczne, które wykorzystywały granicę jako płótno dla wspólnej ekspresji. Powoli, krok po kroku, ludzie zaczęli odkrywać, że więcej ich łączy niż dzieli.

Granica nie zniknęła, ale zmieniła swoją naturę. Z ostrej linii stała się strefą przejściową, miejscem, gdzie kultury się przenikały, a nie zderzały. Aleksander obserwował tę przemianę z satysfakcją, widząc jak stara blizna na obliczu kontynentu zaczyna się goić, przekształcając się w żywą, pulsującą energią arterię wymiany i zrozumienia.

Ale gdy Granica Wspomnień zaczynała odnajdywać swoją nową tożsamość, uwagę Aleksandra przykuła inna, bardziej niepokojąca sytuacja. Na błękitnych wodach Morza Śródziemnego formowała się nowa granica – młoda, pełna energii, ale też głęboko rozdarta. Nazwał ją Granicą Nadziei.

Granica Nadziei była jak samo morze – zmienna, potężna, pełna życia, ale też niebezpieczeństw. Aleksander obserwował, jak rozciągała się i kurczyła, jej kontur migotał w słońcu jak fatamorgana, próbując objąć fale uchodźców uciekających przed wojnami i biedą, a jednocześnie czując presję ze strony „starszych” granic lądowych, które nalegały, by była twardsza, mniej przepuszczalna.

Aleksander stał na piaszczystej plaży, czując, jak drobne ziarenka przesypują się między jego palcami – symbol zmienności i niepewności naszych czasów. Morze przed nim rozciągało się jak płynny szafir, jego powierzchnia mieniła się w słońcu, skrywając pod sobą głębiny pełne tajemnic i nadziei.

– Co mam robić? – pytała Granica Nadziei głosem, który brzmiał jak szum fal rozbijających się o brzeg. – Chcę pomóc, chcę być mostem, nie murem. Ale boję się, że jeśli będę zbyt otwarta, stracę swoją tożsamość, swoją siłę. Widzę łodzie pełne ludzi, ich oczy błyszczące nadzieją i strachem.

Ale widzę też strach w oczach tych na brzegu, którzy boją się zmiany, boją się nieznanego.

Aleksander zanurzył stopy w chłodnej wodzie, czując, jak Granica Nadziei pulsuje wokół jego kostek, jej energia wibrująca jak prąd elektryczny. – Twoja siła nie leży w sztywności – powiedział wreszcie. – Leży w elastyczności, w umiejętności adaptacji. Jesteś jak woda – możesz być miękka i ustępliwa, ale też potężna i nieugięta. Twoim zadaniem jest znaleźć równowagę.

Pracując z Granicą Nadziei, Aleksander spotykał różnych ludzi – rybaków, którzy zamienili swoje sieci na liny ratunkowe, uchodźców niosących ze sobą tylko nadzieję i wspomnienia, strażników granicznych rozdartych między obowiązkiem a współczuciem. Każda historia była jak kropla w morzu ludzkiego doświadczenia, a Aleksander starał się, by każda została usłyszana, by każda przyczyniła się do kształtowania tej nowej, płynnej granicy.

Pewnego dnia, gdy słońce chyliło się ku zachodowi, malując niebo i morze odcieniami złota, purpury i indygo, Aleksander siedział na klifie, obserwując, jak Granica Nadziei mieni się w ostatnich promieniach dnia. Nagle, jego wzrok przykuło coś dziwnego. W oddali, na horyzoncie, gdzie niebo stykało się z morzem, pojawiła się migocząca linia – granica, której wcześniej nie widział. Była jak fatamorgana, pojawiająca się i znikająca, zmieniająca kształt z każdym podmuchem wiatru.

Zaintrygowany, Aleksander ruszył w jej kierunku. Z każdym krokiem czuł, jak rzeczywistość wokół niego staje się coraz bardziej płynna, jakby przemierzał granicę między jawą a snem. Kolory stawały się intensywniejsze, dźwięki głębsze, a powietrze zdawało się wibrować energią możliwości.

W końcu stanął przed migoczącą linią, która zdawała się być utkana z samego światła i cienia. Nie była ani stara jak Granica Wspomnień, ani młoda jak Granica Nadziei. Wydawała się być poza czasem, jakby przybyła z przyszłości lub z innego wymiaru.

– Kim jesteś? – zapytał Aleksander, jego głos drżący z podziwu i lekkiego strachu.

– Jestem Granicą Przyszłości – odpowiedział głos, który brzmiał jak

echo z odległej galaktyki, jak szept wiatru niosącego zapach nieodkrytych światów. – Jestem tym, co może być, tym, co się stanie, jeśli obecne ścieżki będą kontynuowane. Jestem możliwością i ostrzeżeniem, nadzieją i przestrogą.

Aleksander poczuł, jak dreszcz przebiega mu po plecach. Ta granica była inna niż wszystkie, które znał. Nie dzieliła krajów czy mórz – wydawała się dzielić same możliwości, różne wersje przyszłości. Jej powierzchnia mieniała się jak opalizujący jedwab, a w jej głębi Aleksander widział migawki różnych scenariuszy – niektóre pełne światła i harmonii, inne mroczne i przerażające.

– Co nam pokazujesz? – zapytał, jego oczy szeroko otwarte starały się ogarnąć kalejdoskop obrazów wirujących przed nim.

– Pokazuję wam konsekwencje – odparła Granica Przyszłości, głosem brzmiącym jak akord grany na strunach czasu. – Pokazuję świat, gdzie granice stały się murami nie do przebycia, gdzie ludzie zapomnieli, jak rozmawiać ze sobą nawzajem. Świat podzielony, samotny, gdzie różnorodność jest tłumiona, a strach rządzi sercami.

Aleksander zobaczył miasta otoczone wysokimi murami, ich mieszkańców żyjących w izolacji i strachu. Widział oceany pełne plastiku, lasy zamienione w pustynie, ostatnie zwierzęta wymierających gatunków zamknięte w klatkach jak żywe eksponaty minionej epoki.

– Ale pokazuję też inną możliwość – kontynuowała Granica Przyszłości tonem już bardziej melodyjnym. – Świat, gdzie granice stały się miejscami spotkań, wymiany idei, gdzie różnorodność jest celebrowana, a nie tłumiona. Świat, gdzie ludzkość nauczyła się żyć w harmonii z naturą i ze sobą nawzajem.

I Aleksander ujrzał miasta pełne zieleni, gdzie technologia i natura współistniały w perfekcyjnej równowadze. Widział szkoły, gdzie dzieci z różnych kultur uczyły się razem, dzieląc się swoimi tradycjami i marzeniami. Zobaczył oceany pełne życia, lasy odzyskujące swoją dawną chwałę, ludzi pracujących ramię w ramię nad rozwiązaniami problemów, które kiedyś wydawały się nie do pokonania.

Aleksander patrzył zafascynowany, jak w powierzchni granicy przeplatały się te dwie wizje – dystopia i utopia, koszmar i marzenie. Zrozumiał, że ta granica jest jak zwierciadło – odbija nasze lęki i nadzieje, nasze wybory i ich konsekwencje.

– Co mam zrobić? – zapytał, czując ciężar odpowiedzialności na swoich barkach, jakby los całego świata spoczywał w jego rękach.

– Twoje zadanie, Strażniku Granic, nie polega na wyborze jednej przyszłości – odpowiedziała Granica Przyszłości, jej głos brzmiał teraz jak delikatny dzwoneczek na wietrze. – Polega na pokazaniu ludziom możliwości, na przypomnieniu im, że przyszłość nie jest ustalona, że każdy dzień, każdy wybór kształtuje świat, który nadejdzie. Jesteś mostem między tym, co jest, a tym, co może być.

Z tą wiedzą Aleksander rozpoczął nową misję. Wędrował od granicy do granicy, od społeczności do społeczności, dzieląc się wizjami, które zobaczył. Jego podróż wiodła przez górskie szlaki, gdzie orły kreśliły majestatyczne kręgi na tle nieba, przez rozległe równiny, gdzie wiatr tańczył wśród kłosów złocistego zboża, i przez gęste lasy, gdzie odwieczne drzewa szeptały sekrety minionych epok. Wszędzie, gdzie się pojawiał, Aleksander niósł ze sobą przesłanie nadziei i odpowiedzialności.

Opowiadał historie o Granicy Wspomnień, ucząc ludzi, jak czerpać siłę z przeszłości, nie będąc jej niewolnikami. Mówił o starych ranach, które mogą się goić, jeśli pozwolimy im oddychać, o mostach, które można budować nawet nad najgłębszymi przepaściami niezrozumienia. Jego słowa były jak nasiona rzucane na żyzną glebę ludzkich serc, kiełkujące powoli, ale nieubłagane.

Dzielił się doświadczeniami Granicy Nadziei, zachęcając do empatii i otwartości, ale też do mądrego zarządzania zmianami. Opowiadał o falach uchodźców nie jak o bezosobowej masie, ale jak o indywidualnych historiach odwagi i desperacji. Jego opowieści były jak morskie fale, czasem łagodne, czasem burzliwe, ale zawsze niosące ze sobą odłamki prawdy wypolerowane przez wody doświadczenia.

I wszędzie, gdzie się pojawiał, zostawiał echo Granicy Przyszłości – przypomnienie, że świat jutra kształtuje się w naszych dzisiejszych wyborach.

Malował przed oczami słuchaczy wizje możliwych światów, zachęcając ich do zastanowienia się, w jakim świecie chcieliby żyć i co mogą zrobić, aby ten świat stał się rzeczywistością.

W swojej podróży Aleksander spotykał różnorodnych ludzi, a każde spotkanie dodawało nowy kolor do palety jego zrozumienia. Rozmawiał z politykami w marmurowych salach parlamentów, gdzie padały słowa ważne jak kamienie, a decyzje kreśliły linie na mapach z precyzją kartografa. Jednak Aleksander obserwował też, jak ci sami politycy zmieniali się, gdy stawali na realnych granicach. Patrząc w oczy ludziom dotkniętym ich decyzjami, zaczynali głębiej rozumieć wagę swoich wyborów i ich ludzki wymiar.

Spotykał matki trzymające dzieci na rękach podczas przekraczania granic, ich oczy pełne strachu i nadziei, ciała zmęczone długą podróżą, ale dusze nieugięte. Słuchał ich historii, które brzmiały jak pradawne eposy o odwadze i poświęceniu, i przekazywał je dalej, aby świat nie zapomniał o ludzkim wymiarze wielkich migracji.

Rozmawiał z artystami tworzącymi dzieła, które przekraczały wszelkie bariery. Widział, jak ich sztuka stawiała się uniwersalnym językiem, mostem łączącym kultury i epoki. Murale na murach granicznych przekształcały symbole podziału w galerie pod otwartym niebem, muzyka unosiła się ponad druty kolczaste, niosąc przesłanie jedności w różnorodności.

Każde spotkanie było jak kamień rzucony w staw – tworzyło fale, które rozchodziły się daleko poza miejsca, gdzie upadł. Aleksander obserwował, jak małe akty życzliwości i zrozumienia przekształcały się w ruchy społeczne, jak pojedyncze gesty współczucia inspirowały całe społeczności do działania.

Pewnego dnia, stojąc na wzgórzu, z którego widać było panoramę wielu granic – starych i nowych, twardych i miękkich – Aleksander zrozumiał coś ważnego. Granice nie były złe ani dobre same w sobie. Były jak lustro – odbijały to, co ludzie w nie wkładali. Mogły być murami lub mostami, blizną na krajobrazie lub szwem łączącym różne kawałki w piękną mozaikę.

– Prawdziwe granice... – powiedział do wiatru, który niósł jego słowa przez krajobrazy i epoki – ...nie leżą na ziemi. Leżą w naszych sercach i umysłach. I to tam musi zacząć się prawdziwa zmiana.

Gdy słońce chyliło się ku zachodowi, malując niebo paletą ciepłych barw, Aleksander usiadł na skraju klifu, jego nogi zwisały nad przepaścią czasu. Przed nim rozciągał się krajobraz pełen granic – niektóre ostre jak brzytwa, inne miękkie jak mgła. Widział, jak pulsowały życiem, każda opowiadająca swoją unikalną historię.

Granica Wspomnień wiła się przez dolinę jak srebrna wstęga, jej powierzchnia teraz gładka i spokojna, odzwierciedlająca kolory zachodzącego słońca. Tu i ówdzie wzdłuż jej biegu Aleksander dostrzegał małe ogniska – ludzi gromadzących się, by dzielić się historiami, śmiechem i jedzeniem, ignorując linię, która kiedyś ich dzieliła.

Dalej, na horyzoncie, Granica Nadziei mieniła się jak opalizująca mgiełka nad morzem. Już nie była tak burzliwa jak kiedyś – nauczyła się tańczyć w rytm fal, elastyczna, ale silna. Aleksander widział łodzie przemierzające jej wody – niektóre niosące pomoc, inne przynoszące nowe życie na dawne brzegi.

A gdzieś pomiędzy nimi, ledwo widoczna dla oka, ale wyczuwalna sercem, pulsowała Granica Przyszłości. Już nie migotała tak niespokojnie jak wcześniej – teraz emanowała spokojnym, stałym światłem, jak latarnia morska wskazująca drogę ku lepszemu jutru.

Aleksander poczuł, jak jego serce wypełnia się spokojem i nadzieją. Wiedział, że jego praca nigdy się nie skończy, bo granice, jak sama ludzkość, wciąż ewoluują, zmieniają się, przesuwają. Ale widział też, że każdy krok w kierunku zrozumienia, każdy gest empatii, każda próba spojrzenia poza własne ograniczenia, była krokiem w stronę lepszego świata.

Wstał, otrzepując piasek z ubrania – ten sam piasek, który kiedyś był skałą, a kiedyś stanie się może szkłem. Symbol nieustannej transformacji, której podlega świat. Ruszył w drogę, wiedząc, że gdzieś tam czekają na niego nowe granice do odkrycia, nowe historie do wysłuchania, nowe mosty do zbudowania.

A gdy szedł, linie na piasku czasu za nim zacierały się i zmieniały, tworząc nowe wzory, nowe możliwości, nowe historie czekające na opowiedzenie. Bo czymże jest życie, jeśli nie nieustającą wędrówką przez krajobrazy czasu, gdzie każdy z nas jest jednocześnie wędrowcem i drogą, po której kroczy?

I tak Aleksander, Strażnik Granic, kontynuował swoją podróż, niosąc ze sobą przesłanie, że prawdziwe granice nie są liniami na mapie, ale możliwościami w naszych sercach i umysłach. A każdy krok, każde spotkanie, każda opowiedziana historia była jak kropla w oceanie zmiany, powoli, ale nieubłaganie kształtująca nowy, lepszy świat.



Rozalia Dmochowska

Szalik

– Zawsze zimą zjeżdżaliśmy po besiągu na nartach. Besiąg – to był taki nasyp przy torach kolejowych. Kiedy robiło się białe za oknem, a w policzki szczypał mróz, tak, że nie dało się wyjść na dwór bez grubego szala i czapki, wsiadaliśmy na narty. Nie wiem, czy kiedykolwiek mówiłam Ci o tym, Saro. Dziś są twoje urodziny i znaleźli nas. W najzimniejszą noc tego lata. Dlatego opowiadam o nartach i besiągu. I o tym, że zimno nie zawsze jest tak przenikliwie i nieprzyjemne. Mam tylko jeden szal, zrobiony przez babcię. Już przewracają krzesła i stoły, przestawiają kredens, za którym są drzwi na strych. Siedzimy skuleni.

– Wo sind diese Juden ?

Nie mamy gdzie uciekać. Wszyscy kogoś szukają. Niemcy nas, my ciebie. Kryjówka spalona, nie wracaj. I tak długo udało nam się tu przetrwać. Boję się, Saro. Gdzie jesteś kochanie? Jedyne co biorę ze sobą to ten szalik od babci. Wychodzimy przed dom. Tata jest obok mnie, a ja wtulam się w szalik myśląc, że może on nas uratuje. Nie wracaj teraz kochanie.

– Was ist das ?

Jeden z żołnierzy wrywa z moich rąk materiał. Zaczynam płakać. Ja, taka duża mama..., wyobrażasz to sobie? Nie wiem co mam robić.

– Szalik – odpowiadam, choć nie ma to najmniejszego sensu.

Śmieje mi się w twarz i owija szalik wokół swojej szyi. Śmiech długo dźwięczy w uszach... Widzę jak włóczka napina się wokół pulsujących żył. A może to nie szalik? Może to

duciciel... Wąż zdolny pokonać przeciwnika. Już, już prawie go ma! On nie wygra z dusicielem... Już ledwo oddycha, wytrzeszcza oczy zdziwiony, że nie zapytał co znaczy szalik w Jidysz... Ale to nie możliwe. Nie buntujemy się gdy każą nam wejść do ciężarówki.

...

Nie wiem gdzie jest tata, przepraszam. Nie ma już „nas”, każdy jest sam. I tłum ludzi wokół mnie – najbardziej osamotniony tłum, jak stado bydła upchnięty w wagonach. Gdzie jedziemy? Do Auschwitz. To niemiecki obóz...

Cisza, ujadanie, wystrzały, cisza, ujadanie, wystrzały, cisza, ujadanie, wystrzały... Chude ręce wyciągnięte przez kraty, żebrzące chleba, litości... Cisza. Jesteśmy na miejscu. Wypadamy z wagonów chudsi, bledsi, martwi. Zdrętwiałe kości odmawiają posłuszeństwa. Psy wciąż ujadają, poganiając. Tutaj czas jest diabelską kaskadą przelewającą się przez ciemny plac jasnym światłem reflektora. Oświecla pustkę osłupiałych źrenic, kłębki zatęchłych oddechów, cisnące się boleśnie w klatkach piersiowych. Wszelkie pytania grzęzną w gardle lękliwie kłusując podniebienie. Strach jest jedynym pożywieniem, które napędza nas ku stojącym w oddali barakom. Wierzmy, że tam będzie lepiej, że przed chłodem tej nocy schronimy się pod dachem... Nieustanna kakofonia. Struchlałe dusze konają w naszych ciałach z wosku. Wystarczy jedna iskra, żeby spłonąć. Jedno pociągnięcie za spust. Kochana Saro. Czy wiesz co to znaczy płonąć? Na chwałę ciemnego nieba rozbłysnąć pośród cieni krzykiem? I nie dać się już więcej złapać? Płonąć wolnością nieograniczoną? W furii pędzącego ognia lizać wszystko i wszystkich? Każde westchnienie trawić w swoim wnętrzu, płuć iskrami, wirować? I konać w ciszy tak naglej rozpędzonej siłą płomienia... Tuż koło mnie urwany oddech zamiera wpadając w otchłań rowu. I jest jasność, jasność wybuchająca na tle cienia. I oczy purpurowe! Szeroko otwarte okrucy sklepienia! Nie ma czasu na zastanowienie. Choć ciebie nie ma obok, nagle wyrывa mnie z przerażenia dzika wola przetrwania. Ruszam przed siebie dla Ciebie, walcząc o te chwile, kiedy trzymałam Cię w ramionach. Dla Ciebie, żeby Ciebie uratować... Przed siebie! Jak najszybciej się da! Wzdłuż torów kolejowych! Przecież mam dla kogo żyć! Przynajmniej nie przestaję w to wierzyć. Może los chciał, żebyś tej nocy nie wróciła do domu? Im mniej mam czasu, tym więcej chcę ci powiedzieć. Kochaj! Zawsze kochaj.... Obok mnie gaśnie ogień umierającego człowieka i wiem, że ja też niedługo zgasnę, aby ktoś inny mógł zapłonąć. Ale na razie jeszcze idę, już dochodzę do baraków, bo przecież zawsze niosę Cię w ramionach, choć cię w nich teraz nie ma... Musisz żyć! Każą nam się rozebrać. Jeśli ktoś cokolwiek przyniósł tutaj z wago-

nów, musi i te bagaże zostawić. Na chwilę przestali strzelać. Pod dachem znajduję schronienie. Prysznic, kontrola sanitarna. Chcą nas golić na łyso. To nic, Saro, to nic.. Segregują na prawo i lewo. Ci co na produkcję idą na lewo. Tak nam powiedziano. Dziwię się, bo to są głównie starcy i chorzy. Jak tacy mają produkować cokolwiek? Dają pasiaste piżamy, tatuaż na rękę. Troszkę boli. To nic...

– Nie twoja wina – szepczę do płaczącego tatuażysty. On nie chce tego robić. Łzy, obok cyfr, – „Misericordia ”. Też jest łysy i drżę mu rękę.

...

Pierwszy dzień tutaj mija bardzo pracowicie. Dopiero teraz mam czas, żeby coś napisać. Pamiętnik tworzę w myślach. Nie ma go naprawdę. Och Saro! Tak mi przykro. Nic po nas nie zostanie. Ale może kiedyś zrozumiesz... Piszę na drzewach, korze, na metalowych słupkach i chmurach. Piszę, jak tylko palce chcą współpracować. Zaklejam kopertę śliną i łzami, choć i to mam w niedomiarze z powodu odwodnienia. Wysyłam listy pocztą pantoflową przez górny kanał chmur... Gdziekolwiek jesteś. Tylko patrz często w niebo. Nie wstydź się. To moje przesyłki dla Ciebie. Bajki tysięcy nocy i gwiazd. Oszalałam? Nie... Piszę szybko, bo już się kapo niecierpliwi. Kim jest kapo? Właśnie... pewnie nie wiesz. Zabolało. To już słońce zachodzi? Moim krwiobiegim czerwony horyzont. Kapo dał raz. Za cierpliwość dłuższą niż chwila, za zachwyt goniący motyla... Dał dwa. Za życie, które wraz z ciosem nie mija.

Podniosę się za chwilę. Nie patrz teraz. Wiem, że jesteś już duża, ale dzieci nie powinny patrzeć na cierpienie rodziców. Daj mi ten sakrament chwili. Namiastkę intymności w ekstazie miłości. I już po wszystkim. W barakach jest zimno, a ja leżę na wznak. Łapiąc płytki oddech zagarniam go w pięść, by móc rozsmarować go na szyi, tam gdzie kiedyś kolorowy szalik od babci ogrzewał wystające obojczyki. Wciąż może mnie ogrzać. To jedyny taki szalik. Trzy częściowy jak życie człowieka. Trzydniowy jak poczęcie, dojrzałość i śmierć. W każdej części wiele odcieni, a każdy odcień zabiera mnie w inną podróż... Uciekam od tych dłoni, zaciskających się na ostatnim okruszku chleba. Przemierzając po raz kolejny każdy fragment nieistniejącego szalika. Wspominam inne czasy, inną siebie, innych ludzi,

nie tak bardzo głodnych jak teraz. Tysiące barw, jak tysiące wyobrażeń. Burze lata, nostalgia jesieni, marmur zimna, pierwsze przebieśniegi... To wszystko zapisane w odcieniach szalika. Otwieram oczy. Przez małe okienko w baraku widzę dym unoszący się z betonowego komina. Jakże inny od tego, którego pamiętam z dzieciństwa. Parę unoszącą się z nad kubka ciepłego mleka. Znów widzę siebie inną na tej drugiej półkuli lata, kiedy zimą... Myślę o tych innych wieczorach na zapchlonej pryczy. Babcia, by tu ani chwili nie usiedziała. Ona jak te damy „z łasiczką” albo „z perłą”. Choć jej portret znikł wraz z szalikiem, wciąż jest dla mnie tą „damą idealną”. Drżąc z zimna i kuląc się ze strachu uświadamiam sobie, jak wiele stracił Leonardo da Vinci umierając tak wcześnie – przegapił piękno mojej babci. Jeszcze chwila... Opowiem ci o mojej mamie. Najbardziej lubiła cmentarz. W spazmatycznej martwocie obozu nawet cmentarz wydaje się teraz tak żywy! Tata zabierał mnie na cmentarz. Nie wiem, czy kiedykolwiek ci o tym mówiłam. Spacerowaliśmy po ciemnych alejkach. Dookoła roznosił się zapach zniczy i igliwia. Czy było nam smutno? Raczej nie. Mój tata trzymał mnie za rękę. Nie byłam już wcale taka mała. Choć jego nadopiekuńczość bardzo mi przeszkadzała, dawałam za wygraną. Prowadził mnie przez cmentarz powoli. Co dziwne, nigdy nie czułam się smutna, gdy trafialiśmy na cień szarego nagrobka. Ładnie wyglądała jego monumentalna sylwetka. Knot palącej się świecy podtrzymywał ciepły blask, a ja go podziwiałam, że taki silny.

– Patrz tato! Cały firmament podtrzymuje swoimi ramionami

I tak było. Podparty płomień łukiem schodził ku ziemi oświetlając kruchy horyzont. Było to coś w rodzaju pielgrzymki do świata zmarłych. Odbitej przez dziecko i dlatego tak bardzo niewyraźnej... prostej... niczym zjazd na sankach do mrocznego Hadesu. Albo skok..., wysoki... żeby być bliżej nieba. Uwielbiałam skakać. Uwielbiałam doskakiwać do wyciągniętej ręki Pięknej Pani... która, ubrana w niebieskie szaty zawsze uśmiechała się do mnie z bocznego ołtarzyka w wiejskim kościółku. Tata mówił, że mama siedzi tuż obok niej., i że następnym razem jak będę skakać... żebym się rozejrzała. Mówił, że ma na sobie ładną sukienkę w groszki i długie jasne włosy. Że ma piękny uśmiech, do którego, ponoć i mój jest podob-

ny. Światłem malowane życie... aż do światła pocisków, wody, piasku, płaczącego się między krokami na apelu w obozie. Światło najzimniejszej nocy, złote odpryski zachodzącego słońca i pocięty diament lodowatych serc.

...

Otwieram oczy. Wciąż żyję, choć ból pulsuje w głowie, niczym zegar, wybijający ostatnie godziny. Jeszcze wczoraj byłam taka młoda. Dziś? Przykładam palec do metalowej ramy pryczy. Chcę opowiedzieć Ci wszystko, moje kochanie. Na zimnym kawałku pryczy dużo jest miejsca. Wszystko się zmieści. Piszę drżącym palcem, żeby tylko mnie nie przyłapali. Barak, w którym mieszkam jest zatęchły jak obora. Latryny mamy w tylnej części obozu. Auschwitz – Birkenau. Jest tutaj bardzo dużo ludzi. Pierwszego dnia poznałam kilka Polek z Trzebnicy i Gdańska. I jeszcze dwie Rosjanki, które pomogły mi, kiedy kapo mnie uderzył. Teraz jestem niedołączna. Mam coraz mniej siły. Wyobrażasz to sobie? Wystarczy, dzień, dwa, by stać się starą i zbyt niedołączną. Minuty są jak miesiące... Brakuje mi Ciebie. Brakuje mi taty. Wciąż nie wiem gdzie jest, czy jeszcze żyje? Dowiedziałam się co się dzieje z tymi, którzy trafiają na produkcję. Powiedziała mi jedna Niemka. Wyobrażasz to sobie? Tutaj też są Niemki! Zła była strasznie, bo właśnie jej matkę zabrali na produkcję.

– Sie werden Sie in Seife verwandeln – palcem wskazała na dym unoszący się z jednego komina. Auschwitz – Birkenau. To jest obóz zagłady kochanie. Zabiją nas wszystkich. Jak nie przez ciężką pracę, to zagazują nas na śmierć, tak jak matkę tej Niemki. Szybko się tutaj roznoszą wieści. Ale nikt nie protestuje. Może jutro się czegoś dowiem więcej. Jestem taka zmęczona kochanie. Palec ślizga mi się już po poręczy. Coraz częściej myślę, że po takim jednym marszu, bardziej nadaję się na mydło. Trzymaj się kochanie... jeszcze napiszę do ciebie, że kocham cię najmocniej na świecie. Tymczasem spójrz w niebo.

...

Otwieram i zamykam oczy. Spuchniętymi od zimna dłońmi dotykam spierzchniętych warg. Przecież jestem w brudnym baraku, bez jedzenia, picia, bez nadziei. A jednak, z lekko rozchylonych ust ulatuje kłębek pary.

Uśmiecham się, ponieważ mogłabym być już mydłem... a jednak żyję!

Zimny uścisk nędznej miłości. To wszystko co mogę dać. Nie jestem żadną „damą z perłą”, ani „Moną Lisą”. Patrzę na numer, który sinym tuszem wybija się na wysokości łokcia po wewnętrznej stronie ręki. Kiedy to wszystko się stało? Piszę do Ciebie. Piszę dla Ciebie... Tutaj wszystko jest możliwe. Nawet nie wiesz jak cię kocham Saro...

...

Zawsze chciałam nauczyć się robić na drutach, lecz teraz to już bez znaczenia. Kiedy wychodzimy do pracy na innych drutach zawieszam spojrzenie. Tuż koło mnie przebiega mała, wychudzona kobieta. Kim jest? Nie wiem.

– Halt !

Krzyczy za nią żelazny rozkaz świtu. Promienieje strumień pocisków. Ona biegnie w kierunku drutu, wprost na sterczące ramiona bólu. W nie rzuca się zdesperowana. Kim była? Ile ma lat? W locie złapana, niczym ptak odrzuca głowę do tyłu. Każdy kończy inaczej. Każdy ma swoją drogę. Z lękiem obserwuję to wszystko. Boję się. Zamknij oczy Saro, dzieciom nie wolno wiedzieć o lęku ich rodziców. Dreszcze rozszarpują moje ciało. Nie mogę oderwać wzroku od tamtej. Nie wiem co mną kieruje. Czuję silny impuls. Czuję, że muszę coś zrobić. Chcę pożegnać to ciało rozpięte na drucie. Gdy z trudem ujmuję krwawiącą głowę, sine wargi kobiety uśmiechają się spokojnie. Dokonało się. Próbuje ściągnąć ją z płotu.

– Halt !

Świt jest bezlitosny. Krzyczy i na mnie. Promienie pocisków chybią. Wciąż żyję... Muszę się spieszyć. Ściągam z płotu ciało. Patrzę w jej oczy szerokie jak ocean i nagle zaczynam rozumieć, która z nas dwóch jest naprawdę martwa. Podczas gdy ona właśnie ożyła, ja umarłam...

– Halt!

Przerażenie skrada się granicą mojego cienia. Nie ruszam się, nie umiem dziergać na drutach. Ciało tej kobiety pozostało w mych rękach. Dusza uleciała do nieba. Nie, nie i nie! Wiem to na pewno. Nie tak powinniśmy umierać! Nie jak nędzarze, chcący tylko śmierci, byleby ugasić ogień cierpienia w trzewiach poranka. Trzęsę się z trwogi i zimna. Saro nie patrz! Dzieci

nie powinny wiedzieć, że rodzice boją się bardziej. Gdzie jesteś kochana? Ten sam krzyk szarpie mnie i podnosi do góry. Świt żelazny, stalowy, w niemieckim mundurze. Choć mógłby zabić, nie robi tego. Szarpie mnie za rękę, wbija ostrze bezlitosnych palców w ramię, po czym odrzuca na bok.

– Dziękuję – szepczę nie mogąc złapać tchu. Boję się spojrzeć mu w oczy, lecz on trzyma mój podbródek wysoko uniesiony. Dlatego muszę patrzeć na świat... I nagle dostrzegam, pomiędzy żelaznymi promieniami intensywność człowieka.

– Schau an mir! – słyszę rozgorączkowany szept zwykłego człowieka, z żyłami nabrzmiętymi na szyi, tańczącymi lękliwie z każdym oddechem... Czy mogę chwalić świt za to, że krzyczy, szepce i śpiewa jednym tchem niezrozumiałej miłości? Wracam na chwiejących się nogach, do swojej grupy, jak na drugi kraniec ziemi by znów przenosić worki z piaskiem, w tą i z powrotem, po śladzie drewnianych chodaków wydrążonych w żwirze potem i krwią.

...

Jesteśmy jak pasiaste motyle. Przylecieliśmy tylko na chwilę, by skupić się nad zardzewiałą menażką z wodą. Do wodopoju przylatujemy raz dziennie. Porcja wody i chleba musi nam wystarczyć na cały dzień. Patrzę jak jeden motyl przelatuje obok mnie. Chudymi łapkami chwyta swój przydział. Dziewczyna, tak na oko w twoim wieku Saro. Nie patrzy na nikogo, nie patrzy na siebie. Wbija się w jedzenie, rozszarpując chleb jak dzikie zwierzę. Ponad twardą skórę wystają wielkie oczy, które nie dostrzegają już nic. Siadamy jak motyle przy wodopoju. Udajemy, że odpoczywamy. Jesteśmy tutaj tylko na chwilę. Na jeden, dwa dni, może tydzień. Nikogo to nie dziwi. Taki jest żywot motyli. Pasiaste skrzydełka kładziemy po sobie, żeby zbytnio nie rzucać się w oczy. Czasem tylko wygolone głowy odsłaniamy ku słońcu, ale zazwyczaj nie ma ku temu warunków. Słońce u nas nie świeci tak miło, jak poza obozem. Gdzie nie spojrzeć, za kolczastym drutem – zieleń. Trawa zielona, rośnie bujnie, wysoko. Za drutem o nas się nie mówi. Wszyscy wiedzą, że nie ma co przeszkadzać, że tam hodowla motyli. Tylko czasem, siódmego dnia tygodnia, ktoś zawoła cicho, widząc dym nad lasem – „Znów motyle odlatują kominem!”. Kiedy już w pełnej krasie, gotowe do lotu zrzu-

camy pasiaste piżamy, skrzydła nam płoną i oczy niebieskie zwracamy w kierunku innego błękitu, który nie stoi nad nami ciężkim firmamentem gazowej komory. Tam jest horyzont pełniejszy niż księżyc o dwunastej godzinie oddechu. To naszych siedem dni, siedem słów... tylko niektóre motyle przeżywają więcej niż tydzień.

...

Budzi mnie szelest. Ktoś przekradł się do naszego baraku. Czuję mijający mnie oddech, równie przerażony. Nie otwieram oczu, żeby nie prowokować. Który to dzień tygodnia? Nie pamiętam. Noce są bardzo zimne. Ile bym dała za to, żeby znów móc ogrzać się szalikiem! Mój długi, barwny szalik! Zawsze składałam go na trzy części. Układałam na górnej półce w pięknej, dębowej szafeczce, którą z tatą dostaliśmy od jego rodziców. To byli niesamowici ludzie. Widzisz Saro... Mało o nich opowiadałam. On też nie był skory do rozmów. Ale przecież poznałaś dziadka Henryka... Był Architektem. Zawsze pachniał zaprawą i betonem. Twój tata też tak pachniał. Ten niecodzienny perfum, z dodatkiem piżma... Wciąż czuję jego zapach, gładką strukturę garnituru w dniu naszego ślubu, miękkość włosów. Bezwiednie wyciągam rękę przed siebie. Chcę poczuć znów pod palcami melodię tamtych murów kamienicy na ul. Miodowej 3. Lecz od naporu palców, inny, jakże odmienny od spodziewanego materiał ugina się. To na pewno nie ściana budynku. W jednej chwili wiem już na pewno, że to nie żaden materiał. To oddech. Przerażona cofam rękę i otwieram oczy. Już wiem gdzie jestem. Ciemne sklepienie baraku pochyła się ku mnie, jakby chciało zamknąć się nade mną i nie wypuścić już ze swoich szpon. Nie wiem co robić. Mrok ciągnie mnie ku sobie, lecz ktoś jest obok. Ktoś cieplejszy niż mrok.

– Przyszedłem, kiedy tylko mnie zbudził mój anioł – słyszę stłumiony szept.

Zastanawiam się co odpowiedzieć. Po chwili, jednak orientuję się, że wypowiedziane słowa, nie są kierowane do mnie.

– Nie... Chciałam – przerywane sapanie kobiety leżącej bardzo blisko. Staram się więcej już nie poruszyć, żeby nie wystraszyć tamtych. Powoli przyzwyczajam się do mroku. Widzę wyraźny kontur przybysza. Jest pochylony. Trzęsie się jak wszyscy. Chudymi palcami dotyka czoła kobiety.

– Spokojnie... już nic ci nie grozi

– Nie... Mogę

– Jestem przy tobie...

– Nie mogę żyć!

– Samobójstwo jest tylko ich zwycięstwem. W ten sposób, wcale się nie wyzwalamy z niewoli. W niej nieskończenie zaczynamy gnić – głos przybysza, pomimo szeptu jest silny. Mam wrażenie, że płynie z niego jakaś nadprzyrodzona moc. Od niego odbija się jęk leżącej.

– Ja i tak umrę!

– Jak my wszyscy...

– Dzisiaj!

– Ale siebie nie zabijesz.

Staram się wyteńczyć wzrok. Nieznajomy szpera chwilę w podartym pa-siaku. Pochyla głowę, skupiony na czymś bardzo ważnym. Tutaj nigdy nie ma czasu, a on wydaje się mieć całą wieczność! Powoli wyciąga mały krzyżyk i przykładą tamtej do ust. Ona całuje zniszczone drewno, następnie wpada w konwulsję.

– Czymże jest człowiek, że o nim pamiętasz, i czym syn człowieczy, że się o niego troszczysz? – W ciszy rozlega się śpiew.

– Zabij mnie!

Próbuję ustalić kim jest ta kobieta. Numer? A19003 Tak mi się wydaje, ale nie jestem pewna.

– Nie mogę – nieznajomy pochyla nad nią głowę i całuje spocone czoło.

Teraz już wiem. To musi być ona. Codziennie w nocy ktoś ją zabierał. Wracała nad ranem trzęsąc się i płacząc. Dzisiaj, ledwo co wdrapała się na postanie.

– Jestem żydówką...

– On też był żydem!

Wyteżam wzrok. Nie wiem jakim cudem widzę wyraźnie postać na małym krzyżyku. Przecież to nie możliwe.

– Jak ciemno!

– Ciemność wlewa się nie tylko przez noc. Pozostaje w naszych duszach, w ich duszach na dłużej niż trwa mrok. Jest w czynach, które spadają na nas

jak miecz i sieką słabe skrawki ciała.. Ale to tylko ciało... Jest jeszcze inna noc, może też być piękna.

– Nie mam siły. Zabij mnie!

– Pamiętaj kto jest Panem życia i śmierci. Nam nie dano tej władzy

– Uczyniłeś mnie niewiele mniejszą od Aniołów, chwałą i czią mnie uwieńczyłeś...

Konwulsje wracają, wraz z nimi lament. Nieznajomy trzyma kobietę w ramionach.

– Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa Syna Jedyne Boga Ojca Przedwiecznego?

– Wierzę!

– Miej Miłosierdzie dla Nas i całego świata.

– Przebacz tym, którzy to uczynili i mi przebac, że nie umiem wybaczyć...

Oddech kończy się nagle i ostatecznie. Światło przeszywa mrok. Dusza ulatuje do nieba.

A ja leżę. Ani drgnę, głęboko poruszona. Patrz Saro... Na taką śmierć patrz! Nie odwracaj od niej wzroku. Bądź przy niej, kochaj ją, tęsknij, a kiedy przyjdzie, ucałuj. Jestem wykończona! Chciałabym porozmawiać z przyszłym, ale tylko cichy szelest jego obecności pozostawia dreszcze. I już nikogo nie ma. Tylko martwe ciało, przybite do krzyża, tuż obok mnie.

...

Jest nas kilkaset osób. Nie umiem policzyć dokładnie. Każą ściągać ubrania. Nadzy stoimy nie patrząc na siebie. To nie ma sensu. Wszędzie te same kości i głowy sterczące na wyciągniętych szyjach. Za dużo kości. Chyba tylko po to jeszcze słyszymy i wykonujemy polecenia, by mogli nas przepędzić, niczym owce prowadzone na rzeź.

– Do komory!

Zatraskują się drzwi za nami. W milczeniu czekamy. Zamykam oczy. Nie widzę. Jest tylko niebo ciemne. Gwieździsta noc. Znów trzymam Twojego ojca za rękę.

– Co robisz?

– Chcę tylko wyrównać oddech przy Tobie

Uśmiecha się do mnie, obejmuje. Ta ciepła noc będzie mi się śnić zawsze. Czerń, na której żółte gwiazdy kwitną drogą mleczną. Moje małe mleczniki. Ja z nimi jak te dmuchawce.

Zaraz się rozwieje przez otwór w kominie. Ciemny krzyk, na którego nie starcza sił. Ciemny krzyk, na którego skrzydłach unoszę się ku górze. Ciemny krzyk, na którego otwór w kominie nie ma sił. Pękają mury...Rozsadzają ten betonowy krater. Coraz wyżej i wyżej! Coraz dalej!

Już jestem przy tobie kochanie! Już kwitnie nad nami firmament! Droga mleczna płynie w żyłach..., a my jak te motyle, co żyją mniej niż tydzień.



Joanna Góra

Jagody spod muru

– Znowu się wspina! – Chłopiec z ogorzałymi od słońca ramionami podał lornetkę babce, by ona też zobaczyła. – Zobacz, jak jest wysoko!

Twarz kobiety przecinały głębokie bruzdy, a cienkie włosy wydawały się nie białe, a wręcz przezroczyste. Ujęła lornetkę silną, oplecioną bransoletami dłonią, lecz zanim przyłożyła ją do twarzy, musiała zsunąć z nosa powyginiane okulary. W tym czasie młodzieniec, którego obserwowali, dotarł już niemal na samym szczycie.

– Dziś jeszcze mu się nie uda – oceniła babka.

– Nie? Jest już tak blisko! Jesteś pewna?

– Ramiona mu drżą i palce ślizgają po kamieniach – zauważyła z profesjonalizmem. – Jutro. Najpóźniej za dwa dni.

Chłopiec, zawiedziony tą opinią, przyjął od niej lornetkę. Miała rację – gdy tylko ponownie spojrzał przez przybrudzone soczewki, wspinacz właśnie zsuwał się ostrożnie na ziemię. Wystający kamień zaczepił się o jego podkoszulek i podwinął go, aż było widać białe plecy.

– Mam nadzieję, że to będzie jutro, babcia – zajęczał wnuczek, wieszając sobie lornetkę na szyi. – Bo później idę zbierać kapustę z daleka od granicy. Wtedy nie zobaczę jak wchodzi!

– A tam, żadna mi sensacja – rzekła staruszka, odrzucając z wiklinowego koszyczka listki, które zaplątały się pośród zebranych jagód. – Niech lepiej ten kajtek uważa na swoją skórę, żeby jej nikt nie przetrzepał.

– Chciałbym być taki jak on, ale chyba się nie nadaję. – Chłopiec spojrzał krytycznie na swoje wychudłe ręce, w obwodzie nie szersze niż pień młodego drzewka.

– Dopiero by ci matka dała popalić! Lepiej skup się, żeby dobrze kapustę pozbierać, to może wezmą cię też na drugą stronę rzeki i zarobisz...

Zaczęła iść w stronę domu, nie czekając na wnuczka. Może to i lepiej,

bo przynajmniej nie usłyszała, jak ten wymamrotał, że wcale nie chce iść pracować za żadną rzekę. Wolałby zostać przy murze i dalej zbierać z babcią jagody, a w drodze powrotnej obserwować, jak odważny młodzieniec wspina się na kamienną budowlę. Dziś już prawie mu się udało, może jutro...

Marzył o tym, by z nim porozmawiać, chociaż przez chwilę, ale matka jasno wyraziła swoje zdanie na ten temat. Jak widać nie tylko ona, bo gdy wspinacz przechodził przez rynek wszystkie dzieciaki spoglądały na swoje matki z wyrzutem w oczach, jednak żadne nie próbowało zaczepić odważnego młodzieńca.

Chłopiec jeszcze raz spojrzał na mur przez lornetkę. W całej okolicy, nawet za rzeką, nie było choćby w przybliżeniu tak wysokiego drzewa, żeby przynajmniej jego czubek mógł wystawać zza kamiennego giganta, który rozciągał się w obydwie strony tak daleko, że w jego obserwacji zawodził wzrok. Wydawało się, jakby był nieskończony, a gdy szedłeś w którąś ze stron, z nadzieją, że w końcu nastąpi jego kres, po prostu jakieś niewidzialne istoty dobudowywały go dalej, metr po metrze, z każdym twoim krokiem. Nie było innego wytłumaczenia.

Miał nadzieję, że wspinaczowi uda się dostać na szczyt. Chłopiec nie znał imienia nikogo, kto wcześniej by to osiągnął, o takiej osobie nie słyszała nawet babcia, a była przecież tak stara, że uczyła chodzić wujka Franka, który był właścicielem wszystkich pól kapusty po tej stronie rzeki. Następnego dnia jednak wspinacz także opadł bezwładnie na ziemię zanim dosięgnął szczytu.

Chłopiec z jękiem opuścił lornetkę na pierś.

– A był już tak blisko! Teraz już na pewno tego nie zobaczę...

Babka spojrzała na niego niebiesciutkimi oczami i żał się jej zrobiło dziecka, które nie mogło spełnić nawet tak prostego, naiwnego marzenia. Podsunęła mu pod nos wiklinowy koszyczek.

– Będę rzucała w niego jagódkami, żeby spadał i nie wszedł, zanim nie wrócisz – powiedziała.

Wnuczek popatrzył na nią wielkimi oczami, tak podobnymi w swoim błękiecie do jej własnych.

– Nawet, jeśli wezmą mnie za rzekę?

– Nawet wtedy – przytaknęła. – Chociaż, jeśli ten kajtek jest tak wyćwiczony, jak mówią, to jagódki rzucone przez spróchniałą staruszkę go nie powstrzymają.

– Masz rację, babcia, jego nic nie powstrzyma – powiedział chłopiec z pewnością w głosie.

Mimo że plan staruszki nie miał szans się powieść, to i tak obietnica ta poprawiła mu humor. Następnego dnia bez protestów wsiadł z samego rana na wóz wujka Franka, a po kilku dniach na łódź, gdy razem z kilkoma innymi chłopakami z wioski płynął do pracy na drugi brzeg rzeki.

Wrócił do domu z sakwą pełną pieniędzy, twarzą jeszcze mocniej spieczoną słońcem i pełnym workiem kapusty. Gdy wtaszczył go do kuchni, matka piała z zachwytem, ponieważ takiej odmiany jak ta nie hodowano po ich stronie rzeki. On jednak nie był łasy na jej pochwały i nawet brzęczącą sakiewkę oddał bezinteresownie. Zabrał jedynie lornetkę z wieszaka i popędził pod mur, gdzie babka stała już na niewielkim wzgórzu. Koszyk pod jej nogami był prawie pusty – o tej porze roku nawet pod murami nie było już jagód.

– Benuś! Wyrosłeś przez te kilkanaście dni, jak cię nie widziałam...

– Wszedł? – Chłopca interesowało tylko jedno. Nim dotarł na wzniesienie, na którym stała babka, już przykładał lornetkę do oczu.

– Wszedł?

Staruszka mruknęła twierdząco.

– Nie powstrzymały go moje pociski z jagódek. Stało się to jeszcze przed tym, jak cię wyprawili za rzekę.

Rzeczywiście, młodzieniec w białym podkoszulku nie zwiślał już, uchwycony wystającej skałki, a siedział na samym szczycie, wyprostowany i nieruchomy. Wiatr, który panował na górze, rozwiewał przydługie włosy.

– I co? Co zrobił, jak wszedł?

– Usiadł – oświadczyła babka. – W wiosce mówią, że on tam siedzi i gada. Ktoś raz do niego podszedł i podsłuchał, że z drugiej strony jakiś głos mu rzeczywiście odpowiada.

– Ale to super, babcia!

Staruszka wybrała z koszyka garść późnych, czarnych jagód i wsadziła

je sobie do ust. Spoglądała na mur bez lornetki, a jednak jej bystre oczy wydawały się dostrzegać siedzącego na szczycie młodzieńca równie dobrze, co przez szkła.

– A wiesz z kim on tak rozmawia? – ekscytował się dalej chłopiec. – Kiedyś na ognisku mówili, że tam pod drugiej stronie jest tylko pustynia i nikogo nie ma. A później słyszałem, że żyją tam jakieś istoty, takie jakby ludzie, ale całe zielone i z czterema rękami.

Babka wypluła gorzki, twardy owoc.

– Nikt, kto żyw w wiosce, nie ma pojęcia, kto mieszka za murem, a jeśliby gadał inaczej, to jest kłamcą. Ja też nic ci nie mogę powiedzieć, ponad to, że nie ma tam żadnej pustyni. Są tam domy i wioski, takie jak po tej stronie. Ludzie inni, a być może tacy sami. W młodości gadaliśmy do siebie czasem przez dziury między kamieniami. Tylko nie mów o tym nikomu, wiesz, że to teraz źle widziane.

– No co ty, babcia!

– Chodziłam tam wtedy codziennie, żeby rozmawiać... – Zamyśliła się, patrząc na siedzącego na murze młodzieńca. – I słuchałam, co tam u nich. Ale jak wyglądali? Nie mam pojęcia. Jedyńm, kto może o tym poświadczyć, jest on. – Wskazała palcem w punkt, którego Benek nie spuszczał z oka nawet na sekundę.

– To niesamowite! Muszę z nim porozmawiać.

Babka spojrzała na niego z czułością. Nie miała już zamiaru odwozić go od tego pomysłu, musiała się jedynie upewnić, że Benek jest świadomy wszystkich konsekwencji. Od kilku dni słyszała, jak w wiosce rozbrzmiewają reprimendy, sama nie zamierzała wypowiadać podobnej. I tak nie przynosiły żadnego skutku.

– Wiesz dobrze, co twoja matka o tym sądzi.

Chłopak skinął głową, uśmiechając się.

– Nie martw się, babcia. Przywiozłem jej cały worek kapusty!

Matka jednak wyczuwała, co się święci i nawet kapusta nie przekonała jej do zmiany zdania. W jednej z kłótni zagroziła, że zakaże Benkowi spacerów z babką pod mur i że w ogóle najwyższy czas, żeby staruszka osiadła w domu, jak na kobietę w jej wieku przystało, a nie włóczyła się bez celu

po bezdrożach. Zresztą, okazji do porozmawiania ze wspinaczem także nie było wiele – całe dnie przesiadywał na wietrznym szczycie. Rosła za to grupka dzieciaków, które, ku wściekłości rodziców, podchodziły pod mur i próbowały go naśladować. Nie udało im wspiąć się nawet o jedną piątą wysokości, ale za to tamten rzucał ze szczytu długie, żółte owoce, całkowicie nieznane po tej stronie muru. Podobno ci z drugiej strony także wspinali się, by mu je podać i już nawet kilka dziewczynek – ogrodniczek podjęło próby wyhodowania w wiosce owoców wykorzystując podłużne pestki.

Benek przyglądał się temu wszystkiemu z daleka przez swoją lornetkę. Wiedział, że w końcu i jego matka przekona się do tych ekscytujących ekspedycji. Jemu wystarczyłoby tylko, gdyby choć na chwilę spuściła go z oka i nie wyliczała każdej sekundy, którą spędził z babką poza domem. Wtedy miałby szansę. Na razie mógł jedynie bez celu wpatrywać się w kamienną granicę.

– A po co w ogóle ktoś postawił ten mur? Po co nam on? – zapytał babkę z nudów.

– Żeby było wiadomo, gdzie jesteśmy my, a gdzie oni – odrzekła. – A wcześniej jeszcze, żeby chronić się przed wojną, której już nikt nie pamięta.

– Skoro nikt nie pamięta, to dlaczego wszyscy rodzice tak bardzo się boją tamtych? Dlaczego nikt nigdy nie wspiął się na mur?

– Bo nikt nie wie, co oni tam, po drugiej stronie, naprawdę myślą. Co planują. A może są mili tylko na pozór? Nie wiesz tego. Są inni. Może nie rozumują tak jak my. Wyciągniemy do nich rękę, a oni... Ją odrąbią.

– Brzmisz, jakbyś sama w to nie wierzyła, babcia.

– A skąd mam wiedzieć, w co wierzyć? Nigdy nie widziałam takiego, czy byłby żółty czy zielony. A nawet, gdyby był taki jak ja, to nadal nie wiadomo, co by go tu sprowadzało.

– Ja myślę, że są zupełnie tacy sami jak my – powiedział Benek i przyłożył do oczu lornetkę.

Jego słowa znalazły potwierdzenie zaledwie kilka dni później. Zanim jeszcze Benek wszedł z babką na wzniesienie, plotki już obeszły całą wioskę. Na mur wdrapał się ktoś jeszcze, ktoś z drugiej strony – drobny chłopiec, ubrany w taki sam biały podkoszulek, jak wspinacz z wioski. Benek dobrze widział go przez lornetkę.

– Nie powstrzymasz mnie, babcia – powiedział chłopiec, do staruszki, po czym zaczął biec w kierunku muru. – Muszę posłuchać, co mówią! Tylko nie mów nic mamie!

Staruszka patrzyła, jak wnuk przedziera się przez ostrężyny. Sama dowiedziała się wszystkiego, niemal słowo w słowo, z samego rana na rynku. Do jej uszu dobiegły także zupełnie inne rzeczy, których nigdy nie chciałaby usłyszeć. Benek, który następnego dnia pomagał w domu segregować ziemniaki, był rozradowany.

– Chcą zburzyć mur, babcia! – mówił, nie zważając na to, że matka stała tuż za jego plecami. – Widziałas, ilu nas tam było? Janek powiedział, że drugie tyle po przeciwnej stronie! Dzisiaj mamy się spotkać, żeby dalej ustalać szczegóły...

– Gadał, gadał i napytał sobie biedy – warknęła matka głośno, po czym dzieliła syna szmatą. – Nigdzie dzisiaj nie idziesz! Nie słyszałeś, co ludzie mówią? Dzisiaj wieczorem nie będzie już żadnego wspinacza. Kto wie, może nawet już go dopadli.

Benek wstał z niskiego zydelka. Ziemniaki wypadły mu z rąk.

– Co ty gadasz, mamu...

– Tylko to, co każdemu wiadomo. Ten, kto nie głupi, dziś powinien trzymać się z dala od muru.

– Babcia...

Spojrzał na staruszkę z błaganiem, jednak ona mogła jedynie pokręcić głową. Usiadła, by przebierać ziemniaki za wnuka. Ten zakładał już czapkę.

– Gdzie leziesz?! – wydarła się matka, próbując chwycić umykającego Benka. Jej palce już prawie zacisnęły się na jego koszuli, gdy poczuła uderzenie w tył głowy.

Obróciła się. To babka rzuciła w nią ziemniakiem, tak jak wcześniej celowała jagódkami we wspinacza. Wtedy robiła to dla zabawy, bo z takiej odległości nawet najsilniejszy chłop nie dorzuciłby kamienia do muru.

– Niech idzie – powiedziała, wracając do przebierania. – Dostałaś kapustę, więc nie narzekaj.

Benek już z daleka widział przypierający do muru tłum. Zamachał czapką i chciał zacząć krzyczeć, by ludzie dowiedzieli się o tym, co

powiedziała matka, jednak zrozumiał, że tutaj wszyscy już wiedzieli.

– Zabiją cię! – wrzasnął ktoś na cały głos. Kilka osób próbowało się wspiąć po wystających kamieniach muru, jednak, tak jak wcześniej, bezwiednie opadali po kilku metrach. – Zabiją was obu!

Benek rozglądał się. Wśród zgromadzonych widać było chłopięce czapki, wstążki dziewczęcych warkoczyków. Nigdzie ani śladu wściekłych rodziców, może tylko jedna matka próbowała odciągnąć od tłumu pierworodnego syna.

Po chwili wspinacz przemówił, jego głos jednak był tak odległy, że naraz cały tłum był zmuszony zamilknąć, by go usłyszeć. Wtedy Benek usłyszał stłumiony gwar po drugiej stronie muru, jednak po chwili także on się rozpląnął. Na szczycie stała teraz dwójka chłopców – ich sylwetki z trudem można było odróżnić z powodu oślepiającego słońca.

– Nic nie jest w stanie zabić zgody i zaufania, które powstało między nami – zaczął mówić jeden z nich, Benek nie potrafił określić, który. Jak wszyscy zgromadzeni, wytężał słuch i wstrzymywał oddech, by nie uronić ani słowa. – My wiemy, że jesteśmy tacy sami, że nic nas nie różni...

– Wiemy? – szepnął do siebie Benek, a w głowie zabrzęczały mu słowa babki.

Usłyszał, jak za jego plecami ktoś się poruszył. Zaszeleściła kurtka.

– Nic nie możesz wiedzieć, gówniarzu! – rozległ się krzyk wujka Franka.

Potem padł strzał. W jednej chwili jakby wszystkim zaparło dech w piersiach, gdy spojrzeli w górę, by z zadartymi głowami obserwować, jak jedna z sylwetek upada. Wujek Franek zawsze miał dobre oko, tak samo błękitne jak babka. Spod jego strzelby padł chłopiec, który wspiął się na mur z innej, obcej krainy.

Wspinacz z wioski Benka upadł razem z nim, chwytając bezwładne ciało. Skulił się, a stłumione pod murem dzieciaki zaczęły rozbiegać się w popłochu. Benek stanął koło wujka i został do końca. Słońce zaszło za chmurę i widział już wyraźnie pochyloną sylwetkę wspinacza. Obejmował ciało zmarłego towarzysza i tylko płakał i płakał. Aż jego też zastrzelili, tyle że strzał padł z drugiej strony.

Jagódka rzucona przez babkę w końcu dosięgnęła celu.



Piotr Jakubowski

Marcus

Błyskawice złowrogo rozświetlały czarne niebo, kilka sekund później do wtóru rozbrzmiewały potężne grzmoty. Wielkie, ciężkie krople dudniły o blaszany dach, spływając ciasno rynną, zalewając krzywy chodnik przed starą kamienicą. Brzozy i wiekowy dąb w ramionach wiatru kołysały się rytmicznie pod dyktando wścieklej orkiestry natury.

Suczka Nina przechylała głowę raz w prawo, raz w lewo nasłuchując z rosnącym przerażeniem. Głośno. Za głośno. Spojrzała błagająco na właściciela, szukając uspokojenia, opieki. On siedział tyłem do niej przy krótkim drewnianym stole, przykrytym ceratą w żółto-niebieskie kwiaty, otulając dłońmi parujący kubek aromatycznej Earl Grey. Zastygła rzeźba starego człowieka wpatrywała się w niesamowite widowisko, rozgrywające się za dawno niemytym oknem. Myślami jednak był w przeszłości.

Siedemdziesiąt lat temu była taka sama burza, siedział jak teraz z kubkiem parującej herbaty w kuchni. Czekając, aż matka poda kolację. Skromną. Czerstwy chleb ze smalcem i ogórki, potrawa biedaków, ale wtedy nie wiedział, że są biedni, był małym szkrabem z wielkim apetytem. Myślał, że tak jest, w każdym domu dopiero w szkole przekonał się, że się mylił, kiedy inne dzieci z apetytem zajadały chrupiące kajzerki z sałatką, pomidorem, serem. Marcheweczki, jabłuszka, jogurty owocowe. I inne rarytasy, o których istnieniu nawet nie wiedział.

Tymczasem obserwował swoją rodzicielkę krzającą się pośpiesznie przy blacie kuchennym, dochodziła dwudziesta. W każdej chwili mógł wrócić ojciec, musieli zdążyć z zjedzeniem i wskoczeniem do łóżka, zanim się pojawi. To była ich jedyna szansa na wieczór bez awantur. Mieli opóźnienie. Młody niebezpiecznie przeciągał linę. Pogrążony w zabawie, mimo ponagleń mamy, nie chciał opuszczać placu zabaw. – Jeszcze pięć minut – błagał. A czas uciekał. Całą drogę powrotną biegli, zegar tykał nieubłagane. A teraz pośpiesznie połykali jedzenie.

Kiedy chłopiec kończył ostatniego ogórka, usłyszeli przekleństwa w przedpokoju, było za późno, chłopiec zastygł z pełnymi ustami, wytrzeszczając przerażone oczy na równie wystraszoną matkę. Potężny, zaniedbany mężczyzna wszedł do maleńkiej kuchni, wypełniając ją ze sobą po brzegi. Grymas wykrzywił mu czerwoną twarz, chłopiec wślizgnął się pod stół, bojąc się przełknąć zawartość buzi. Matka cofnęła się do ściany. Marcus. Tak kazał się do siebie zwracać. Nie mężu, nie Marku, nie tato. Z brudnych, roboczych spodni wyjął srebrną monetę. Nie odrywając lodowatego wzroku od przerażonej kobiety, podrzucił ją do góry. Orzeł lub reszka. Orzeł to wyzwiska i gwałt, a reszka to kara. Za co? Tego chłopiec nie wiedział. Moneta opadło z łoskotem na kuchenne płytki. Cała trójka spojrzała na nią. Reszka. Marcus uderzył pięścią w stół, porcelana zadzwieczała. Powoli podchodził do żony bliżej. Bliżej. Napawając się jej strachem i bezsilnością. Chłopiec wyczołgał się z kryjówki i pobiegł do swojego pokoju, zagrzebując się pod kołdrą z nadzieją, że nie będzie słyszał krzyków ukochanej kobiety, matki. Drżał ze strachu, naciągając mocniej kołdrę na uszy. Płakał. Krzyczał na siebie w myślach, że jest zbyt słaby by móc powstrzymać ojca, że jest tchórzem. Potem wyobrażał sobie dzień, w którym będzie dorosły i silny. Dzień, w którym powie dość. Znajdzie pracę, kupi mieszkanie i zabierze mamę ze sobą. Będzie żyła spokojnie, szczęśliwie, już nikt jej nie skrzywdzi. Nigdy. Plask. Dźwięk rozbitej szklanki, a może talerza. Grzmot. Krzyk, przypominający śpiew łabędzia. Cisza. Nagle wszystko się urwało. Od krzyku gorsza jest tylko cisza. Nawet burza umilkła, przerażona skryła się w mroku. Chłopiec przełknął ślinę. Bał się. W powietrzu unosił się zapach opadającego azotu i czegoś jeszcze, słodkiego, mdlącego. Wypełznął z kryjówki. Stał tam przez chwilę w ciemności. Nie mogąc się zdecydować czy przystąpić granicę, prawdy lub niewiedzy, nie będzie odwrotu, ta decyzja zostawi swoje piętno. W ciemności, trzymając się ściany, zbliżył się do bladego światła w kuchni. Burza ponownie rozszalała się z całą mocą, gniewnie, uderzając gałęziami w szyby.

On stał pośrodku kałuży krwi. Marcus. Nad swoją ofiarą, wychudzoną zbyt wcześnie posiwiatą drobną kobietą. Nie miała szans. Leżała w nie-naturalnej pozie na podłodze, z głową opartą o brzeg szafki, z zastygłą

prośbą o litość. Jedyny jej błąd to, że wybrała źle. Zaufała z dzieciną ufnością mężczyźnie o brązowych oczach, czarnych włosach i bliźnie na czole. Wypowiadała z zachwytem jego imię: Marcus. Obiecywał, kłamał, oszukiwał. Wierzyła, że złapała szczęście za nogi, a tymczasem były te wrota piekieł. Smutek maskowała nadzieją. Strach miłością do syna, nie miała dokąd odejść i on to wiedział. Przekraczał granice za granicą. Od klapsów, przytyków, gróźb po razy, gwałty i przepalanie papierosami. Krok po kroku wchodził głębiej i głębiej. A teraz stał nad nią z nożem w ręce, nie wiedząc, dlaczego to zrobił. Chciał tylko trochę rozładować złość, jak zwykle. Tylko trochę ją skaleczyć. Ta burza przyprawiała go o szaleństwo, to ona winna. Nie on. On ciężko pracuje. Ma prawo taki być. Sama sobie winna. Złapała go na dzieciaka. Gdyby była mądra, to nie musiałby jej tak traktować, jak zbędnego kundla. Nie. To jej wina. Przynajmniej się jej pozbył. Cichy szloch dobiegł za jego pleców, odwrócił się i spojrzał synowi w oczy. Te dobre, niewinne spotkały się z wypukłymi, czarnymi ślepiami bestii. Bez duszy. Marcus uśmiechnął się, rzucił nóż i spokojnie ominął chłopca. Odchodząc odciskając butami krwiste ślady na posadzce.

Chłopiec stał, wpatrując się w dramat na scenie swego krótkiego życia. W tym momencie stał się starcem. W tym momencie stracił przyszłość. Już nigdy nie poszedł na plac zabaw, nie biegał z innymi chłopcami, nie uśmiechnął się. Twarz poszarzała, włosy posiwiały, serce przebił sztylet. Żył, ale jakby martwy. Nigdy nie ożenił się, nie spłodził dzieci, nie miał nawet przyjaciół. Bał się, że jest przeklęty, że jest posłańcem śmierci. Miał tylko suczkę. Małego mieszańca. Znalezione w lesie, pozostawione go na pewną agonie, przywiązane do drzewa. Przez te wszystkie lata towarzyszyła mu. Nie wiedział jak to możliwe, że ona żyje tak długo. A może była tylko halucynacją samotnego człowieka. Okulary zasłzy mgłą. Stary mężczyzna zapłakał nad zimną już herbatą. Wybacz mamó, że tak późno stałem się dorosły. Przepraszam.



Malwina Lewandowska

Petrichor

Pewnego styczniowego poranka, kiedy moi współpracownicy radośnie wiązali szaliki na bałwanich szyjach, ja nagle w jaskrawym rozbłyску bólu zrozumiałem, że umieram. Nie na niby, nie na próbę, ale prawdziwie i nieodwołalnie. Nie potrafiłem powiedzieć skąd taka pewność, ale wiedziałem, że oddalające się głosy mrówek w białych i zielonych kitlach, mogą tylko rozbrzmiewać coraz większym niepokojem, rozbijać się po ścianach, podłogach i sufitach, a ja umrę bez względu na wszystko. Tak właśnie się stało. Najpierw zniknęły duszność, ból i wizja, a później poczułem jak młot bębniący w mojej piersi prawie 200 razy na minutę, szarpie się jeszcze kilka razy w tytanicznym wysiłku, po to by za chwilę umilknąć. Przestałem czuć własne ciało, a cała moja świadomość umiejscowiła się w głowie. Spanikowany czekałem na poklatkowy seans mojego życia, jednak zamiast tego usłyszałem tylko zrezygnowane „godzina zgonu...,” a moje jestestwo zaczęło wysuwać się z ciała, jak z pianki nurkowej. Widziałem i czułem jak powoli przesuwam się w neuronach, przeciskam się wąskimi synapsami, jak pulsuję w rytm rozbłyśków bielszych niż biel. Z każdą chwilą neurony robiły się coraz wygodniejsze, coraz szersze i jakby...kolorowe? Nie kolorami jakie znałem do tej pory, tych nie znałem nawet z nazwy, a były tak piękne, że na sam ich widok czułem się jakbym roztopiał się w endorfinach. W pewnym momencie pianka nurkowa zamieniła się w korytarz, korytarz w autostradę, autostrada w przestrzeń, a ta z kolei w pełnoprawną nieskończoność.

Zawisłem w miejscu i bez tchu...dosłownie! Chłoniłem mieniącą się i tętniącą nadkolorami sieć kosmiczną. Jednocześnie byłem w niej, tak jak można stać w pokoju i byłem NIA. Porzuciłem resztki niepokoju jaki trwał we mnie i chciałem wyrwać się z kolejnymi impulsami – chciałem płynąć, ale mogłem jedynie trwać. Wyglądało na to, że moje „ja” było nadal niejako przyłączone do dawnego świata.

– Może to tylko śmierć kliniczna? – pomyślałem i natychmiast spróbowałem zawrócić – nic z tego. Albo nie potrafiłem znaleźć drogi, albo już nie istniała. Ponowiłem próbę podróży z impulsami i znowu nici... utknąłem na granicy. Zanurzyłem się w odmęty pamięci, wertując je regał po regale, szuflada po szufladzie, aż w końcu kartka po kartce – nie było to proste zadanie, teraz kiedy byłem składową nieskończoności, moja pamięć obejmowała wszystko i nic. Operowała tyloma wymiarami, że nie sposób było oddzielić zaledwie jedną myśl. W końcu trafiłem na odpowiednią lokalizację – wspomnienie historii zasłyszanej w dzieciństwie od babci; historii o duszach bląkających się po świecie ziemskim ze względu na niedokończone sprawy. Brzmiało sensownie, acz problematycznie. Kiedy jest się właścicielem świetnie prosperującej firmy deweloperskiej i to jeszcze międzynarodowej, otwarte projekty i brak życia prywatnego, są dla człowieka jak bliźnięta syjamskie.

Nie miałem w zwyczaju przegrywać za życia, nie zamierzałem przegrać i teraz. Tak długo próbowałem znaleźć jakąś drogę, aż w końcu odkryłem wymiar, pozwalający mi na swobodny ruch. Wystarczyło zmienić układ cząsteczek i wsunąć się pomiędzy dwie z sieci kosmicznych. Zanim zdążyłem dobrze rozsmakować się w dopaminie sukcesu, usłyszałem odległy, przeszywający wrzask. Wrzask, który niósł ze sobą ból, tortury i paniczny strach. Ku mojemu kompletnemu przerażeniu, ów agonalny skowyt, ciągnął mnie do siebie niczym ogromny magnes. Pędziłem ku niemu, pozostawiając za sobą rozgrzane do białości smugi. Skowyt narastał, obejmując mnie w swoje władanie, a jednocześnie... poczułem inny dźwięk – miękki, mokry, głęboki. Ta częstotliwość kojarzyła mi się z miłością, bezpieczeństwem i spokojem. Oba dźwięki były na siebie nałożone, a mimo to żaden nie dominował, a wręcz wzajemnie się uzupełniały. Gdy każda cząstka mnie drgała już wraz z wibracjami dźwięków, zatrzymałem się na wprost ich źródła.

Z tęczowej czerni, spoglądało na mnie najprawdziwsze oko. Miało nadblękitną tęczówkę i ogniście złotą twardówkę. „Helix Nebula” – powiedziało coś w mojej podświadomości. Oko poruszało się delikatnie – jego uwagę na dłuższą chwilę przykuła na przykład śmierć pobliskiej

gwiazdy. Moją również. Gwiazda umierała tak jak dzieli się zapłodniona komórka.

Naraz oko znów skupiło na mnie wzrok, a ja kolejny raz poczułem, że przyciąga mnie do siebie. Pomyślałem wtedy, że może zechce mnie wchłonąć, ale nic takiego się nie wydarzyło. Po prostu zatrzymałem się przy samej źrenicy oka, spojrzałem w nią, a nawet PRZEZ nią i...gdybym jeszcze posiadał ciało, niechybnie zabrakłoby mi tchu – patrzyłem razem z wszech-
okiem na Ziemię, czy może raczej na świat doczesny. Widziałem planetę otuloną cieniutkim tiulem atmosfery tak samo wyraźnie, jak maleńkie nasiono dmuchawca niesione przez dzielną mrówkę do gniazda; jednocześnie podziwiałem raketę startującą ze swojego kosmodromu i jajeczka we wnętrzu Niesporczaka. Mogłem również przyjrzeć się mojej firmie i dowiedzieć się jak długo zajmie im zamknięcie projektów, które trzymały mnie w zawieszeniu. Chociaż im bardziej odkrywałem możliwości... pełen potencjał jaki dawała mi istniejąca sytuacja, tym mniej spieszo było mi się z nią żegnać.

Skupiłem się na Szymonie – był czymś w rodzaju mojej prawej ręki, więc domyślałem się, że po mojej śmierci to on przejął stery w firmie, przynajmniej na jakiś czas. Nie pomyliłem się – pragmatyczny i obowiązkowy Szymon siedział przy moim biurku wertując kalendarz. Sprawdzał terminy spotkań, realizacji i odbiorów, robił notatki i mruczał do siebie pod nosem. Naliczył trzy sprawy, które należało zamknąć dziś, dwie jutro i dwie pojutrze. Zastanawiał się również nad przyjęciem nowego, ogromnego projektu, ale uznałem, że to biznes kompletnie nie dotyczący mnie i mojego zawieszenia.

Obserwowałem go cały dzień, jak razem z resztą pracowników wykonują obowiązki, zamykają projekty i odbywają spotkania. Spisywali się wspaniale, byłem z nich dumny jak ojciec z dobrze wychowanych dzieci. Zauważyłem, że pojęcie upływu czasu, kompletnie dla mnie nie istniało. Czas po prostu był. Tyle. Mogłem dowolnie przerzucać jego strony w przód i w tył. Dla samej rozrywki oglądałem kilka razy z rzędu, jak sekretarka rozlewa kilka kropel kawy na porcelanowy spodek. Kiedy to mnie znudziło, obejrzałem kolejne dwa dni z życia mojej wypieszczonej firmy, doglądając zamykania ostatnich spraw. Ufałem, że kiedy projekty przestaną trzymać mnie

w międzyprzestrzeni, sam będę mógł wybrać moment, w którym popłynę dalej z prądem impulsów.

Wyteżyłem świadomość w oczekiwaniu, kiedy Szymon sięgnął po długopis i nakreślił piękną, połyskliwą sygnaturę na dokumencie. Nic się stało, energia nie pociągnęła mnie jak uprzednio. Popatrzyłem jeszcze chwilę i wycofałem się z okna jakim była dla mnie źrenica wszechoka. Uważnie objąłem świadomością piękno mojej przestrzeni, oko i z ciepłym uczuciem rozrzwienia ponowiłem próbę podróży dalej. Po raz kolejny bez powodzenia.

Zamieniłem się w zdziwienie – zatem poza pracą musi być coś jeszcze. Ponownie zagłębiłem się w archiwum wspomnień, po to by wydobyć zakurzoną teczkę o dźwięcznym tytule „Rodzina”. Co prawda wcale nie byłem przekonany do tej teorii, ponieważ z krewnymi miałem ostatnio naprawdę niewiele wspólnego. Wszelkie bliższe relacje i głębsze interakcje zostały w mrokach średniowiecza, to znaczy mojego dzieciństwa na świętokrzyskiej wsi. Ale może...? Na powrót zająłem miejsce w źrenicy – coraz mniej zwracałem uwagę na dualistyczne dźwięki wydawane przez oko, obecnie były dla mnie już tylko czymś w rodzaju białego szumu.

Rozejrzałem się po świecie, zastanawiając się kogo warto by odwiedzić. Na półkuli którą obecnie obserwowałem była noc – w oknach gasły ostatnie światła lampek, uliczne latarnie żarzyły się leniwie, a bure nietoperze rozkładały parasolki czarnych skrzydeł, by wykorzystać kawałek czasu na swój użytek. Kiedy bezcelowo prześlizgiwałem uwagę, między uliczkami miasta, mój wzrok przykuł słupek dymu – to pracowało krematorium. Dawniej jak każdy zdrowy człowiek, unikałem takich widoków, w ogóle nie lubiłem dopuszczać do świadomości istnienia czegoś takiego jak śmierć. Jej proza była zbyt odległa od mojej abstrakcyjnej beztroski. Jeśli za bardzo zbliżała się do mojej orbity, na przykład pod postacią ciężkiej choroby wuja, pobytu w szpitalu kolegi, wypadku, czy choćby pogrzebu- ja rozpływałem się w siennej mgle. Teraz jednak kiedy śmierć była już za mną, czym więcej mogła mnie niepokoić? Śmiało skupiłem się na zawartości pieca, spodziewałem się zobaczyć w jego wnętrzu szare resztki doczesności, a zobaczyłem pył kosmiczny unoszący się wszędzie wokół. Mężczyzna z brodą, wygarnął

szczątki i zaczął przenosić je pomiędzy kolejnymi urządzeniami. Zupełnie nieświadom, przesypywał i rozdrabniał prochy wraz z miliardem migotliwych drobin. Na ostatku wpakował je w mały worek i zamknął w kamiennym pojemniku. Wciąż widziałem złocisty blask jakim skrzyły się przez maleńkie szczeliny. Kojarzył mi się z kurzem tańczącym w promieniu słońca – zamyśliłem się, wspominając poranek w kuchni babcinego domu. Słońce zawieszone wysoko nad kościołem na Świętym Krzyżu, puszczające promienie na drewnianą podłogę, babcia wiążąca w pasie fartuch i krojąca grube pajdy swojskiego chleba... zatęskniłem – płynny lot moich myśli przerwało dziwne uczucie. Coś jak spadanie w momencie zasypiania, tylko miłe; nie straszne a wręcz kuszące, jak gdyby miało się spaść z ramion ojca wprost w ciepło jego pościeli, pachnącej jeszcze wodą kolońską i snem.

Otrząsnąłem się ze wspomnień i gotów szukać powodu mojego zawieszenia, przeniosłem uwagę na moją śpiącą matkę. Była trochę bledsza niż zwykle, miała podpuchnięte oczy, ale jak zawsze emanowała atmosferą spokoju i ciepła. Zapragnąłem wtulić się w jej plecy, pogłaskać teraz już siwe włosy... poczułem silne wyrzuty sumienia. Była dobrą matką, zawsze znajdowała czas na nawet największe bzdury jakie mogły kłopotać lub cieszyć dziecięcą głowę. Ja nie znajdowałem czasu nawet na odwiedzin. Tak bardzo chciałem ją za to przeprosić, wyjaśnić, usprawiedliwić się. Ona wybaczyłaby mi prędzej niż ja sobie sam.

Naraz poczułem znajome ciągnięcie i znów podróżowałem korytarzem neuronowym, tym razem jednak trwało to krócej, a zamiast w sieci kosmicznej wylądowałem w jednej z bliźniaczych, zabawnie skrzywionych struktur. To był hipokamp, magazyn tranzytowy mózgu mojej własnej matki. Stąd bez problemu mogłem wejść w jej sny – nie wyłączając tego trwającego obecnie.

Okazało się, że śniła o moim pogrzebie, przeżywała go na nowo – lepszego scenariusza nie mógłbym sobie nawet wymarzyć. Przeczekałem mrowie ludzi składające jej kondolencje i teatralnie wyszedłem zza własnego nagrobka. Matka była niezwykłą kobietą, z miejsca uwierzyła mi, że jestem czymś więcej niż sennym majakiem. Natychmiast rzuciła mi się w ramiona i jedno przez drugie zaczęliśmy się przeproszać i zapewniać o wzajemnym uczuciu. Tak jak myślałem, wybaczyła mi od razu, a nawet uważała, że

sama ponosi część winy, bo nie zdołała zmusić mnie do zmiany trybu życia. Wypytałem ją o braci – tylko oni z rodziny, pozostali jeszcze w świecie doczesnym. Zapewniała mnie, że nie czują do mnie żalu i mogą odejść spokojnie (zerknąłem później w hipokampy obu braci, żeby się upewnić). Uściskała mnie jeszcze serdecznie, a ostatnim co od niej usłyszałem było „kocham cię, synku”.

Cofnąłem się z oka-okna i zimny prąd przepłynął przez moją świadomość – poczułem osłabienie, kiedy zrozumiałem, że może problem wcale nie są niedokończone sprawy, a zwyczajnie utknąłem. Może moja śmierć musiała nabrać mocy urzędowej? Może musiałem dojrzeć jak zielone jabłko na drzewie? A może po prostu nie byłem godzien pójścia nigdzie dalej. Z jednej strony nie czułem się źle w obecnym wymiarze, ale z drugiej, czułem się dobrze tak „po ziemsku”, zwyczajnie... a podskórnie, czy raczej podświadomie, wiedziałem, że tam dalej czeka coś znacznie lepszego. Wszech-oko, które uznawałem za epicentrum, emanowało energią dualizmu – raz przerażeniem, bólem i nienawiścią, a innym razem spokojem, pieśczością i miłością; Stamtąd, dokąd chciałem się udać, czułem tylko pozytywne uczucia. Oczywiście jak to w kosmicznej wielowymiarowości, uczucia nie były zwyczajne, były „nad-” oraz „wszech-” tak samo jak kolory, dźwięki i czas.

Frenetycznie, po raz wtóry ruszyłem przegrzebywać akta wspomnień. Nic nie wydawało mi się choćby odrobinę istotne. Odrzucałem tomiszczą, całe kartony – a czasem, zaledwie pojedyncze kartki – sterta rosła, a żadne znalezisko mnie nie satysfakcjonowało. Już miałem cisnąć w kąt kolejną rachityczną teczkę, kiedy coś w niej zatrzymało drobną frakcję mojej uwagi. Bura, zakurzona, z wyblakłym napisem „Inga”. Moja największa i zapomniana już od wieków miłość. Nie wydawało mi się, żeby między nami mogły zostać jakieś niedopowiedzenia. Już prędzej na opak – przy rozstaniu padło wiele zbędnych słów, ale tego nie mogłem zmienić.

Bez przekonania odszukałem Ingę i od razu utwierdziłem się w przeświadczeniu, że tutaj wszystko jest jak być powinno. Stała się dojrzałą, piękną kobietą o twarzy promieniującej czystą miłością. Spała, z rudymi włosami rozsypanymi po pościeli, którą dzieliła z mężem i piegowatymi ra-

mionami, ciasno oplatającymi małe różowe ciało dziecka. Bobas poruszył się, a na twarzy Ingi wykwitł najczystszy z uśmiechów. Była spokojna, nawet o mnie nie myślała.

Odwiedziłem ją we śnie tylko po to, żeby pożegnać się i powiedzieć, jak bardzo jestem szczęśliwy jej szczęściem. Co zabawne, śniła o łące na Świętym Krzyżu, tam poznaliśmy się, uciekając z rekolekcji jako nastolatki i teraz tam rozstaliśmy.

Kiedy pożegnałem Inge, nie wycofałem się od razu z jej hipokampu. Zawód ogarnął mnie wzdłuż, wszerz i w poprzek; Miałem teraz chęć iść na długi, samotny spacer, tak jak wtedy, gdy potrzebowałem poukładać sobie w głowie. Niestety moja obecna wszech-sytuacja skutecznie to uniemożliwiała. Wtem zaświtał mi pomysł genialny w swej prostocie – wykorzystałem zmianę cząsteczkową na poziomie materii i przemieściłem się w głąb snu Ingi. Ona śniła o mnie, odchodzącym ścieżką prowadzącą na Święty Krzyż, a ja spacerowałem w wewnętrznej warstwie snu, bez udziału jego „właścicielki”. Patrzyłem na kościół zatapiający się w ognistych złocieniach zachodzącego słońca, słuchałem jesiennych liści chrzęszczących pod moimi nogami i strumienia płynącego za drzewami.

Rozglądając się po okolicy, odruchowo wyciągnąłem przed siebie rękę i... poczułem wzruszenie ściskające mnie za gardło. Znowu miałem ciało – spojrzałem na jasne włoski stroszące się pod wpływem wiatru i zielonkawę żyły uwypuklające skórę przedramienia, poruszyłem palcami; Nie mogłem powiedzieć, żeby forma energii obdarłej z cielesności nie była dla mnie wystarczająca – wypełniała mnie nawet nadmiernie, jak menisk wypukły wypełnia naczynie. Jednak widok własnego ciała, uczucie krwi przepływające rzeką czerwieni przez serce, kurczące się miarowo głębokimi uderzeniami... wszystko to wywołało u mnie silną melancholię. Za życia, ciało interesowało mnie jedynie w zakresie estetycznym i erotycznym. Teraz, w mojej fatamorganii studiowałem je, jak najwspanialszą maszynę. Miałem ochotę wywinąć całość na lewą stronę, żeby należycie docenić jego misterne tajemnice. Tym razem prawie nie zwróciłem uwagi, na kolejny zryw miokloniczny – jedynie lekko rozproszył moje skupienie.

Z trudem oderwałem wzrok od wyciągniętej przed siebie dłoni, na pow-

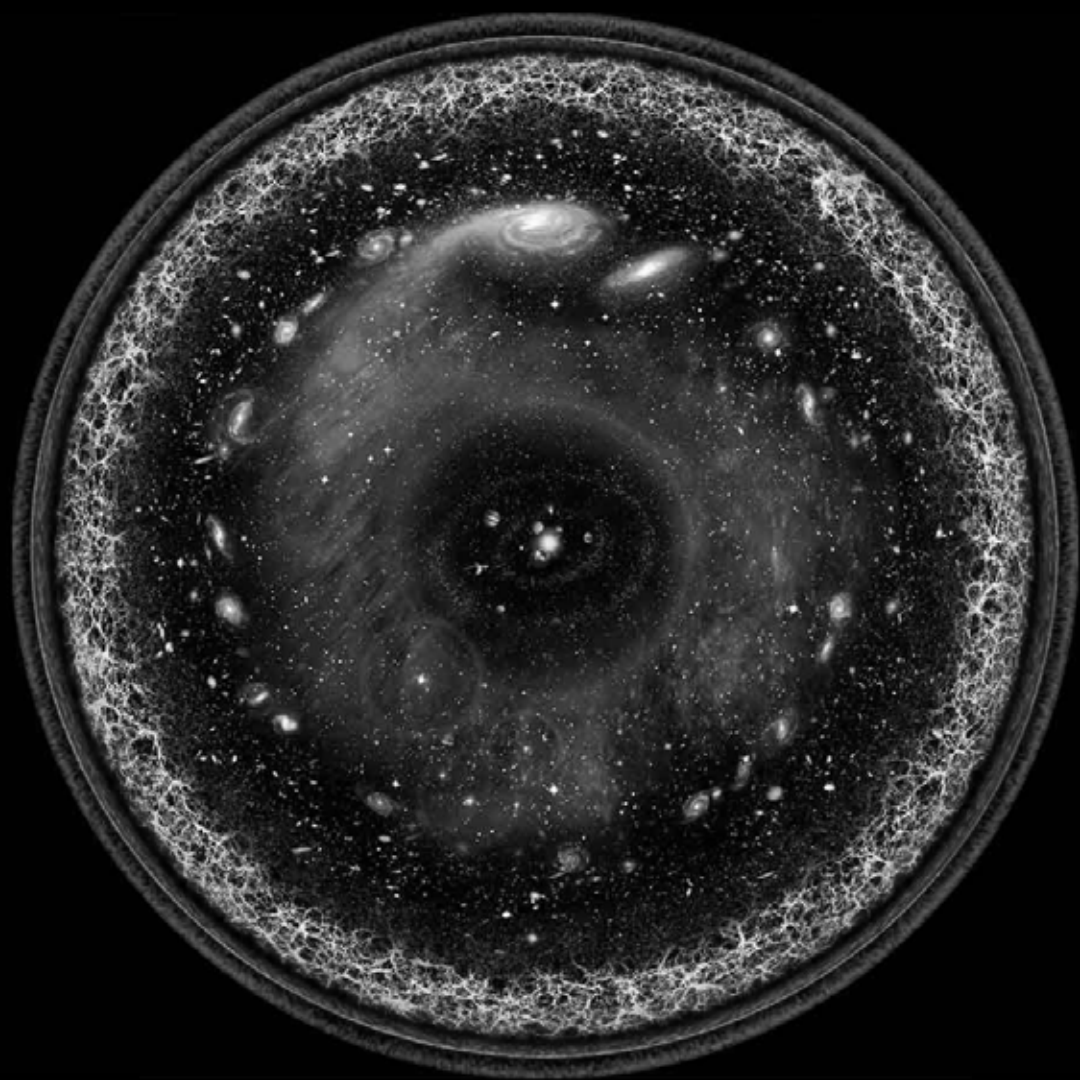
rót przenosząc go na kościół, stojący dumnie na straży swojego szczytu. Usiadłem na łacie i pogrążyłem się we wspomnieniach. Dolatywał do mnie zapach zupy pomidorowej, śpiew mszalny, śmiech dzieci biegnących od bramy, a ja długo trwałem w bezruchu, chłonąc.

Niespiesznie schodziłem w dół ścieżki, kolekcjonując na nowo wszystkie okruchy świata, które złożone w jedność, tworzyły prawdziwe życie. Życie, a nie płytką egzystencję do jakiej ograniczałem się ja i wielu mi podobnych. Szedłem pozwalając ptasim trelom na nowo odnajdywać miejsce w mojej pamięci, nagle usłyszałem cichy szum i poczułem chłodne krople spadające spomiędzy drzew. Rozłożyłem szeroko ramiona, chwytając każdy jeden deszczowy pocałunek. Jednocześnie śmiałem się i płakałem. Nie umiałem powiedzieć jak długo padało, trwało to dla mnie sekundę i wieczność.

Ledwie wyszła ostatnia kropla a ziemia, wdzięczna za pocałunki nie mniej niż ja, zaczęła wydzielać z siebie symfonię najpiękniejszych zapachów. Petrichor, jakimś dziwnym skrótem anatomicznym trafiał mi z nozdrzy prosto do serca. Cieszyłem się, że zdążyłem jeszcze raz go poczuć – nawet jeśli po śmierci, a nie przed.

Odetchnąłem pełną piersią, wypełniając płuca po brzegi ciepłą wonią. Chciałem w jakiś sposób ją sobie przywłaszczyć. Byłem o nią zazdrosny, byłem zaborczy... byłem kompletny i szczęśliwy.

Naraz powróciło uczucie zapadania się we śnie, teraz jednak nie tylko nie ustępowało, ale wręcz pogłębiało się. Przed oczami migały mi wszystkie odzyskane wspomnienia. Uśmiechnięta twarz mojej matki, bracia poklepujący mnie po plecach, Inga tuląca w ramionach swojego bobasa, ptaki, motyle, wiewiórka migająca rudą kitą, szum strumienia, szum deszczu, ciepło parujące z ziemi, babcia krojąca chleb, tęczowe drobiny kurzu tańczące o poranku, świętokrzyski zachód słońca, chrabąszcz czepiający się łapkami moich włosów i zapach ziemi po deszczu. Wszystko co za życia zapomniałem kochać, niosło mnie teraz w nadprzestrzeń. Mijałem oko, popatrujące na mnie ciepłym błękitem, mijałem znajome mgławice, gwiazdy, które umierały się i rodziły. Zostawiałem za sobą bielejące impulsy sieci kosmiczne, coraz wyraźniej czułem miłość otwierającą do mnie objęcia. Byłem wolny...





Agata Nowak

Horyzont

Gdy byłam małą, chciałam dojść tam, gdzie kończy się horyzont. Wierzyłam, że w miejscu, gdzie pola, lasy i niebo zlewają się w niewyraźną, ledwo majaczącą w oczach linię, leży kraniec świata. Wbijając wzrok w najdalszy punkt przestrzeni, poczułam po raz pierwszy, jak wzywa mnie świat. Nie zadawałam pytań i z ufnością godną mych sześciu lat, wyruszyłam mu na spotkanie. Dzieci potrafią docierać w miejsca zamknięte dla serc dorosłych, jednak rzadko udaje się im ich o tym przekonać. Wyprawa zakończyła się niepowodzeniem, które uosobiła wychylająca się zza rogu sylwetka nie na żarty przestraszonej mamy. Świat musiał jeszcze poczekać.

Nieprzejęta fiaskiem swej pierwszej odkrywczej misji, zdecydowałam się na bardziej stacjonarne, jednak nie mniej metafizyczne rozwiązania. Skoro nie można dojść za horyzont, może uda dotrzeć się do piekła i nieba? Niebo szybko skreśliłam z listy. Wiedziałam, że kiedyś tam jeszcze tam pójdę, a poza tym wydawało mi się średnio interesujące. Z tego, co słyszałam od rodziców, było to miejsce wiecznie pościelonych łóżek, zjadanego ze smakiem szpinaku, czystych bluzeczek i ciszy. Skacząc w kałuży, krzycząc, chodząc boso po trawie, czułam jak każdą cząstką wchłaniam w siebie życie. Zresztą, niebo było dalekie i niedostępne. Nie miałam przecież skrzydeł jak ptak, a przywiązane do rąk ręczniki okazały się nie spełniać swej roli. Za to piekło... Piekło to już zgoła inna sprawa. A gdyby tak móc się tam dostać? Pamiętam przyśpieszone bicie serca i dreszcz ekscytacji, pomieszany ze strachem, że diabeł mnie sobie weźmie i zostanę z nim już na zawsze. Lęk nie mógł się jednak równać fascynacji nieznanym, poszłam więc po wszystkie potrzebne narzędzia – tj. kilka rodzajów plażowych łopatek i z pełną zacięcią miną oznajmiłam koleżance – dziś odkryjemy piekło! Usiadłyśmy w piaskownicy i kopałyśmy tak zawzięcie, że na palcach pojawiły się bąble. Dziura stopniowo powiększała się i raz po raz sprawdzałyśmy, czy piasek

nie robi się gorący. Słyszałyśmy na katechezie coś o ogniu piekielnym i wymyśliłyśmy, że posłuży to jako drogowskaz. Momentami wydawało się nam, że zaczyna się robić jakoś cieplej, jednak piekła nadal nie było ani śladu. Pewnie trochę jeszcze byśmy kopaty, ale i tym razem przeszkodzili nam dorośli, ogłaszając porę na kanapki. Nie chciałyśmy porzucać naszych piekielnych planów, jednak mama wyjaśniła ze śmiechem (jakże wtedy trudnym do przyjęcia wobec tak poważnej sprawy), że dobre z nas dziewczynki i że lepiej trzymać z aniołami. No cóż, skoro nie horyzont, nie niebo, nie piekło, trzeba było zadowolić jedynym się światem, który był do dyspozycji – ziemią pod stopami.

Lata, które mijały, nie zbliżyły mnie do magicznej linii horyzontu, a wręcz przeciwnie, przesuwają ją coraz dalej i dalej. Zrozumiałam już, że będzie to wędrówka z rodzaju tych bez końca, które odbywa się dla samej drogi. Nie wiedziałam jednak jeszcze czy w ogóle wędrować lubię. Jedynie niebo, zdawało się czasem być tak blisko, że wystarczyło wyciągnąć rękę. Brało się wtedy z niego garściami, jakby chcąc przechować szczęście na zapas gdzieś w zakamarkach duszy. Miałam nawet wrażenie, że same gwiazdy spadają, tylko po to, by spełnić życzenia i żałowałam ich czasem, czując lekkie uczucie winy. Obiecowałam im wtedy gorączkowo, że ich poświęcenie nie było na darmo i że uczynię te marzenia godnymi. Walczyłam zawzięcie, aż przebiegło mi przez myśl, że spełnianie marzeń ma więcej wspólnego z piekłem, aniżeli z niebem i kto wie, może właśnie horyzont, mój horyzont, był tą granicą.

Chciałam poznać prawdę o sobie, jeszcze raz spróbować dowiedzieć się, gdzie zaczyna i kończy się świat. Chyba dlatego postanowiłam pojechać w góry. Plecak ciążył mi z każdym krokiem, choć tylko jedną rzecz z bagażu mogłabym uznać za nie niezbędną. Skrzypce. Po co je wzięłam? Może choćby po to, by nie uznać wyjazdu za ucieczkę. Byłoby to przyznaniem się do niepowodzenia, a na to nie byłam gotowa. Miałam dwadzieścia parę lat, gdy poczułam kielkujący we mnie lęk, że nie jestem dostatecznie dobra. Z początku wystarczała chwila, by powrócić do podstawowego stanu, jednak z czasem problem przybierał na wadze, aż w zupełności mnie przygniótł. Czułam się zamknięta w pułapce własnych oczekiwań, unieruchomiona

potrzebą bycia niezwykłą. Jeszcze niedawno chciałam być skrzypaczką, tworzyć, grać solowe koncerty w światowej klasy filharmoniach. Słyszałam płynące w moim kierunku salwy zachwytów, niekończące się ochy i achy, wynoszące mnie na tron muzycznego świata. Zagrałam już niejednen koncert i owszem, brawa i pochwały sypały się, jednak niezależnie od starań, dźwiękom wypływającym spod mojego smyczka, brakowało magii i mocy, pozwalającej dotykać ludzkie dusze. A taka była ambicja i cel całego tego mojego grania. Brałam do ręki skrzypce po to, by być wielką artystką, kto wie, może nawet największą swych czasów, ba może i czasów wszelkich od zarania dziejów, aż po sam ich kres. Jeśli grać, to graniem dojść na sam horyzont, przekroczyć go, pomieszać sen z jawą, stać się ucieleśnieniem muzyki. Bardziej niż muzyką, byłam jednak instrumentem i coraz częściej czułam, że się rozstrajam. Tak jak skrzypce wrażliwe na chłodniejszy powiew wiatru czy falę gorąca, tak ja byłam wrażliwa na oceniające spojrzenie i złe słowo. Wprawdzie rzadko doświadczałam tego od innych, zawsze jednak mogłam liczyć na swego najsurowszego krytyka, siebie. Czasem w złości, brałam do ręki skrzypce, jednak droga smyczka po strunach, przypominała bardziej piłowanie kata niż delikatne, przepełnione czułością muśnięcie. Muzyka, która rozbrzmiewała we mnie była fałszywa.

Moje myśli płynęły z gwałtownością górskich potoków, a ja szłam cały czas pod górę, poszukując źródła, jakby wierząc, że znalezienie go, pozwoli wyznaczyć bieg rzeki raz jeszcze. Na razie jednak wody nie było śladu, a promienie niemiłosiernie prażyły ramiona. Gdy w końcu zdobyłam szczyt, słońce, mój wierny kompan, powoli kończyło swą wędrówkę po niebiesko skłonie, dając znak, że przyszła pora, bym i ja schodziła w doliny. Wzięłam głęboki oddech, czując jak świeże, górskie powietrze wypełnia mi pierś. Dookoła nie było już nikogo, a nad górami zapadła głęboka cisza. Przeszywała surowe granitowe szczyty, stojące na baczność jak przy hymnie. Przeszyła też mnie, poruszając dawno już zakurzone w sercu struny. Nie chciałam, by grały, a nawet wstydziłam się ich brzmienia, czując, jak wzmagają się we mnie niepokój. Zastygłam w bezruchu, w oczekiwaniu na jakiś dźwięk – może świst wiatru albo odgłos kozich kopyt. Niechby chociaż jakiś mały kamyczek osunął się lekko, byle przerwać tę znowę milczenia. A może

góry milczały nie przeciw mnie, a do mnie, jakby chcąc stworzyć przestrzeń, niezbędną by myśli mogły przerodzić się w słowa. Nie mogłam ich jeszcze odnaleźć, ale czułam, że są już o krok, czekając tylko aż będę gotowa na ich treść. Przypomniałam sobie nagle o skrzypcach przytroczonych misternie do plecaka. Miałam ochotę sięgnąć po nie i odpowiedzieć coś ciszy, jednak brakowało mi odwagi. Nie byłam jeszcze gotowa na taki dialog. Nie z ciszą, nie skrzypcami. Rzuciłam ostatnie spojrzenie na góry, nadal przejęta tym, ile zdołało się wydarzyć, w tej krótkiej chwili, w której nie wydarzyło się nic. Czas było ruszać znów w drogę.

W oddali migotały światła schroniska, zapowiadając zasłużony odpoczynek. Zmierzch zdołał już przykryć niebo, a gwiazdy zaczynały nieśmiało wychylać się zza szczytów. Przebyte kilometry ciążyły mi w nogach, ale to nie zmęczenie dawało się najbardziej we znaki. Nie wiedziałam, dlaczego tu jestem i po co idę. Przeczuałam, że muszę znaleźć jakieś odpowiedzi, ale nie potrafiłam nawet sformułować pytań. Coś mówiło mi jednak, że jest to właściwa droga i zaufałam temu głosowi, nieważne jak głupie by to nie było. Po godzinie marszu znalazłam się w końcu na miejscu noclegu. We wspólnej sali siedziało kilka osób, pomrukując coś do siebie od niechcenia. Najwyraźniej całą swą witalność oddali dziś górcom, dla reszty zostawiając jedynie okruchy. Gdy stanęłam na progu, podnieśli głowy znad talerzy i kufli, jednak nie wyłapałam, żadnego gestu, który można by odczytać jako zaproszenie. Cieszyło mnie towarzystwo, ale nie szukałam go na siłę, zajęłam więc wolny stół. Między łykiem zimnego piwa a kęsem pieroga, usłyszałam dobiegającą z głębi izby melodię. Cicho snuła się po pomieszczeniu, zbyt nieśmiała, by narzucać się obecnością. Wyobraziłam sobie siwego, brodatego starca z twarzą, na której życie zdążyło odcisnąć już swój ślad. Nie odwróciłam jednak wzroku, nie chcąc konfrontować wyobrażenia z rzeczywistością, pozwalając, by muzyka była jednym narratorem tej opowieści. Wtedy zaśpiewał:

Jo za wodom Ty za wodom
Jakze jo ci gymby podom
Podom ci jom na listecku
Neści neści kochanecku

Jo za wodom Ty za wodom
Jak będziemy bywać z sobom
Naucymy konia pływać
Bedziemy ze sobom bywać
Chłóćby kielo wielko woda
Dlo mnie zodno to przeszkoda
Cy przefurgnonć cy przepłynonć
Ku Tobie moja dziywcyno
I tak łoba wymyślali Ze się nigdy nie spotkali
Kieby miłość wrzonco była
To by wode łosuszyła

Głęboki baryton nie pozostawił wątpliwości, że głos należy do młodszego mężczyzny, jednak mimo tego nie dałam się przekonać. Czasem palce ślizgały się mu na strunie, dźwięk odskakiwał na ułamek tonu albo słowo łamało się jakoś dziwnie pośrodku sylaby. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo przecież czy nie tak samo ci kochankowie? Ich miłość płonęła, żarzyła się i gasła, byli siebie pewni, że rękę by dali sobie uciąć, a kiedy indziej nawet paznokcia. I ta muzyka tak samo, raz jawiła się wybitną, a zaraz nawet mniej niż zwyczajną. Nie zmieniało się jednak to, że mężczyzna z duszy grał, tak że zdawało mi się, że znam go, choć nigdy nie zamieniliśmy słowa. Pomyślałam znowu o skrzypcach. Ja byłam muzykiem, teoretykiem instrumentu, zdolnym bez mrugnięcia okiem wyrecytować koło kwintowe, stawiającym palce na strunach z mikroskopijną, chirurgiczną wręcz precyzją. Odtwarzałam nuty z należnym im szacunkiem, postępując z muzyką jak z dworską etykietą. Dźwięki chodziły dumne, wyprostowane jak w gorsetach, zasznurowanych wystarczająco ciasno, by wzbudzać podziw dworu i by nie móc swobodnie oddychać. Mężczyzna przeszedł już do kolejnej piosenki. Tak jak i poprzedniej, nie znałam też tej, ale melodie były proste, ludowe, pozwalające włączyć się każdemu, kto miał na to chęć, a ja właśnie taką chęć poczułam. Wzięłam skrzypce i podeszłam do mężczyzny. Mógł mieć jakieś czterdzieści parę lat i odbiegał daleko od obrazu, jaki stworzyłam sobie w głowie. Nie było śladu siwej brody, zamiast tego twarz grajka pokrywał ciemny, kilkudniowy zarost. Bieg lat nie zapisał się mu

na twarzy głębokimi zmarszczkami, jednak oczy, były oczami starca. Skupione i nieobecne patrzyły jakby do wewnątrz, chowając się w ciele.

– Przepraszam – zagadnęłam nieśmiało – Może twojej gitarze, spodobałoby się towarzystwo skrzypiec?

– Siadaj – powiedział, energicznie odsuwając mi krzesło, a z jego głosu zniknęła cała nostalgia, czyniąca go tak niedostępnym. – Jasne! Rzadko się spotyka, by ktoś nosił skrzypce w góry. – rzucił spojrzeniem na mój stół i dodał. – Zwłaszcza kiedy chodzi sam.

– Myślę, że w tej sytuacji skrzypce tym bardziej mogą się przydać – odpowiedziałam z uśmiechem. – Chyba sam coś o tym wiesz.

– To gitara ze schroniska, swoją zostawiłem w dolinach. Jednak w górach muzyka brzmi inaczej.

– Przekonajmy się – odparłam i nastroiłam instrument.

Mężczyzna zaintonował kolejną piosenkę, również ludową. Szybko ułożyłam sobie w głowie odpowiednią dla skrzypiec linię melodyczną, chwyciłam za smyczek i pozwoliłam uwolnić mu drzemiące w strunach dźwięki. Wyszło naprawdę nieźle. Zagraliśmy jeszcze kilka utworów i z każdym kolejnym, jawiliśmy się jako bardziej i bardziej zgrany duet. W przerwach rozmawialiśmy niewiele. Nie znałam nawet jego imienia, a i on nie zapytał o moje. Wydawało się, że to nie my spotkaliśmy się w tym schronisku, a jego gitara i moje skrzypce. Grał w sposób tak swobodny, niewymuszony, instynktowny wręcz, że i ja ośmieliłam się puścić nieco wodzę fantazji, uwolnić się od krępujących zasad, a zachować jedynie te, które były naszej muzyce przychylne. Przypominało to dialog, raz dominowały skrzypce, a raz gitara. Zaczęło się niewinnie, musiały wybrzmieć powitalne gesty i typowe w tych sytuacjach pytania, co zawsze naraża na pewną niezręczność. Zdarza się jednak, że mimo wcześniejszej obcości i przypadkowości spotkania, ludzie przypadają sobie w serce bez większego powodu i już w nim zostają. Lody przełamują się szybciej, odsłaniając cały koloryt kryjącej się pod nimi taflí.

– Zagram teraz coś swojego – oznajmił.

– Graj, posłucham i spróbuję dołączyć.

Spodziewałam się sentymentalnej, powolnej piosenki, jednak słowa

nie nadeszły. Grał żywo, dźwiękiem zataczając krąg, który wirował coraz szybciej i szybciej, wyciągając i po mnie swe ręce. Wzięłam do ręki skrzypce i dałam się prowadzić muzyce. Z każdą kolejną nutą, pogrążaliśmy się w transie, aż do zupełnego zapomnienia. Melodia była prosta i nie mogła równać się z tym, co prezentowałam publicznie podczas solowych występów. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo może po raz pierwszy, zamiast kontrolować muzykę, oddałam się jej cała, pozwalając dźwiękom przeniknąć umysł, serce i duszę. Nawet nie zauważyłam, że ktoś podźwignął się z miejsca i tańczył, w takt przebierając nogami. Poruszona pięknem tego wieczoru, radością muzykowania, wyzwolenia się z więzów perfekcjonizmu, wybuchłam nagle szczerym, radosnym śmiechem. Śmiały się też oczy, ufnie spoglądające na mężczyznę i porywające go do śmiechu tak jak on mnie do muzyki. Krąg został przerwany, obudziliśmy się z transu i było to jedno z najcudowniejszych przebudzeń, jakie dotychczas przeżyłam. Nie wiem, ile trwał nasz nieplanowany koncert, może godzinę, może dwie, może całą wieczność.

– Może wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowałam.

– Zgoda – odparł jak wcześniej oszczędny w słowach.

Usiedliśmy na kamieniu przed schroniskiem. Srebrny rogal księżyca spoglądał na nas znad gór. Światła w oknach już zgasły i tak jak wcześniej zapadła głucha cisza. Mężczyzna nic nie mówił, bo co mówić, kiedy grając, zwierzyliśmy się sobie z całego życia. Słowa były skończone, ograniczone swym znaczeniem, ułomne, nawet we władaniu ich mistrzów. Muzyka może i nie potrafiła wszystkiego wytłumaczyć, ale można było ją odczuwać nawet bez zrozumienia, wejść w tę emocję i trwać w niej, pozwalając by wszystko wyjaśniło serce. Była językiem bez granic.

– Niedługo będzie wschód słońca – zagadnęłam. – Może podejdziemy kawałek pod górę? I tak już nie zasnę.

– Lubię wschody – odpowiedział, podnosząc się z miejsca.

Gdy doszliśmy na wyznaczony punkt, głęboki granat nieba powoli ustępował odcieniom szarości. Lekko trzęsąc się z zimna, obserwowaliśmy codzienne zmaganie ciemności i światła, nocy i dnia. A co zmagало się we mnie? Teraz już nic. Wyszłam z narzuconej sobie formy, walka już się

dokonała. Tej nocy perfekcjonizm przegrał z pięknem, a ja wygrałam ze sobą. Stałam pewnie, wpatrując się w przestrzeń, czując się w niej jak u siebie w domu. Słońce w końcu wynurzyło się, ogłaszając światu swój kolejny triumf. Co dnia w tym miejscu, świat jakby kończył i zaczynał się od nowa, nieskalany wydarzeniami, niesionych na grzbietach nadchodzących godzin. Tu źródło stawalo się ujściem, a ja mogłam wyznaczyć bieg rzeki raz jeszcze.

- Spójrz – wskazałam palcem słońce, spokojnie uśmiechając się
- Dotarliśmy na horyzont.

Mariusz Olejniczak

Jeden dzień

*„Co do mnie, widzisz, kocham wolność ponad wszystko na świecie,
a zwłaszcza swobodę wybierania sobie miejsca pobytu.”*

Thomas Mann – „Czarodziejska góra”

Spoglądam na wschód. Zbliża się świt. Horyzont powoli przyjmuje błękitną barwę. Powinienem już ruszać. Dzień jest zbyt krótki.

Staję u podnóża wzgórza zwieńczonego skalistym szczytem. Muszę się zmierzyć z bogatą przeszłością tego miejsca.

Mijam majestatyczną kamienną bramę. Gładzę kamienie – niemych świadków historii. Odwzajemniają się przyjemnym chłodem. Zapraszają do wędrówki. Obiecują zdradzić tutejsze tajemnice. Zerkam na znoszone trzewiki – są gotowe do drogi. Stawiam krok. Potem drugi. Czeka mnie niezwykła podróż. Jak wiele stóp deptało ten pradawny szlak? Setki? Tysiące? Dukt wznosi się zataczając lekki łuk w prawo. Sprawia wrażenie, jakby się do mnie uśmiechał. Niemal słyszę, jak mówi:

– Chodź. To tylko jeden dzień. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Idę.

Gdzieś, nieopodal, przykryty murawą polnych traw, zamajaczył zarys antycznego grobowca. W pierwszych, nieśmiałych oparach świtu dostrzegam sylwetki zbrojnych. To duchy rzymskich legionistów wpatrujących się w skupieniu w pola położone na północ. Tam, gdzie przez ziemie nieokrzesanych słowiańskich plemion wiedzie Bursztynowy Szlak, w stronę oddalonego o setki kilometrów Bałtyku. Ich półprzezroczyste postacie obracają się w moją stronę. Centurion unosi miecz. Wypina pierś. Zasłania się scutum. Jego żołnierze robią to samo. Nagle, w rytm niesłyszalnego tempa, cały legion zaczyna uderzać klingami o swe tarcze. Pozdrawiają mnie. Pochylam głowę w geście szacunku. Przechodzę tuż

obok nich. Pamiętam, że jeszcze tutaj nie mogę zboczyć z drogi. Macham nieśmiało ręką. Są dumni. Są wspaniali. Są ostatnim posterunkiem cywilizowanego świata. Ostatnimi synami Imperium Rzymskiego. Są piękni.

Wspinam się.

Kamienny trakt mnie nie oszczędza. Lecz nagrodą jest chwila odpoczynku na jaśniejącym w porannym blasku słońca niezwykłym dziedzińcu środkowego zamku. W centralnej jego części stoi okrągła mistyczna studnia. Podchodzę do niej i z zaciekawieniem zaglądam w ponad pięćdziesięciometrową czelusć. Odnoszę wrażenie, jakbym słyszał szept dochodzący z ciemności. Omamiony przesądem upuszczam w jej głęb monetę. Ta obija się o śliskie, zemszałe wilgocią kamienie i z cichym pluskiem uderza o taflę wody. Teraz słyszę wyraźnie:

– Dziękuję ci, wędrowcze. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Chwytałem miedziany kubek, stojący na pokrywie i upijam kilka łyków wody.

Ruszam dalej.

Jeszcze zanim słońce staje w zenicie, docieram przed mury renesansowego pałacu. Echa panowania węgierskich władców odbijają się tutaj niezwykle wyraźnie. Ród Batorych mieszka tu od niemal osiemdziesięciu lat. Po nich, przez kolejne trzysta, rodzina Palffy. Pałac tętni życiem. Wielkie, prostokątne okna posadowione w rustykalnej elewacji patrzą na mnie przyjaźnie i wydaje mi się, że zapraszają na wewnętrzny dziedziniec. Z szacunkiem kłaniam się przed łukiem triumfalnym bramy i przechodzę pomiędzy ceglanyymi ścianami w przyjemny cień arkad. Z góry, z bogato zdobionych loggii, pozdrawiają mnie strojne damy dworu. Wskazują mnie palcami i chichoczą między sobą, zasłaniając usta kunsztownymi wachlarzami. Cieszę się, że moja obecność tak je ekscytuje. Podchodzi do mnie wąsaty jegomość. Kładzie mi rękę na ramieniu. Pyta o trudy wędrówki. Podaje kielich aromatycznego wina. Częstuje langoszem. Zapach sera i czosnku czule pieści nozdrza. Placek nie pozwala nadejść głodowi, a życiodajny łyk tokaja daje siłę na dalszą część podróży. Mlaskam z zadowoleniem, czym sprawiam wyraźną przyjemność gospodarzowi. Wąsy unoszą się w uśmiechu, usta wypowiadają: egeszegere. Myślę, że czas ruszać dalej.

Ściskam podaną mi dłoń. Krewniak polskiego króla na odchodne dodaje:

– Nie spiesz się. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Zerkam na niebo. Oceniam położenie słońca.

Zbliża się popołudnie. Jestem już pod murami fortecy. Dostrzegam mundury wojsk napoleońskich. Biel spodni idealnie kontrastuje z błękitem kurtek, a czerwony pióropusz na czako uzupełnia kolory Wielkiej Armii. Karabinierzy nawołują, abym się do nich zbliżył. Podchodzę, próbując ukryć niepokój. Mówią coś do mnie, lecz nie rozumiem ich języka. Przekazują na migi, żebym się gdzieś ukrył. Grenadierzy, ci w śnieżnobiałych mundurach, wtórują swoim kompanom. Powoli zaczynam rozumieć. Rozglądam się za odpowiednim schronieniem. Kulę się pod jednym z nawisów skalnych, które już jakiś czas temu przejęły od traw kontrolę nad krajobrazem. Nagle potężny wybuch wstrząsa fortecą. To napoleońskie wojsko podpaliło beczki z prochem w lochach górnego zamku. Po chwili pył powoli opada. W tumanach kurzu, maszerując równym, miarowym krokiem, oddalają się żołnierze szalonego uzurpatora. Czy są zadowoleni z tego, czego przed chwilą dokonali? Jeszcze tak. Przecież nie wiedzą, że dla ich wodza są tylko pionkami na szachownicy. Ostatni z nich zatrzymuje się, spogląda na mnie i otwiera usta. Huczy mi jeszcze w uszach po nieoczekiwanym wybuchu, lecz słyszę i rozumiem słowa rodaka, jakich wielu jest w tamtejszej armii:

– To nie koniec. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Wspinam się coraz wyżej.

Staję tyłem do słońca i przyglądam się memu, coraz dłuższemu cieniowi. Nie czuję zmęczenia. Jeszcze nie teraz. Bardziej ożywienie, które potęgują głosy dochodzące do mnie nieomal ze szczytu wzgórza zamkowego. Ktoś przemawia ciepłym, aksamitnym głosem. Oracja przerywana jest krótkimi aplauzami oklasków. Podchodzę bliżej. To uczniowie i studenci Ludovita Stura z zafascynowaniem słuchają swojego mentora – przyszłego bohatera narodowego Słowacji. Zebrani zaczynają śpiewać patriotyczną pieśń. W ich oczach tli się zew powstańczy. Porywają mnie wyniosłość chwili i powaga sytuacji. Śpiewam razem z nimi, choć pierwszy raz słyszę tę pieśń. Język, mimo iż obcy, wydaje się być tak bliski ojczystemu. Śpiewam, choć nie znam słów. Obejmujemy się. Tworzymy krąg. Przyjmujemy symboliczny chrzest.

Bardzo podoba mi się moje nowe, słowackie imię. Siedzę jeszcze przez chwilę z przyjaciółmi, wesoło z nimi biesiadując. Zerkam na drugą stronę rzeki. Słońce dawno minęło górę Braunsberg i powoli zawisło nad łąkami na zachodzie. Przepraszam uprzejmie moich towarzyszy i podnoszę się, żeby odejść. Ludovit również wstaje. Widzę żar w jego oczach, gdy mówi:

– Powodzenia przyjacielu. Mam nadzieję, że nam wszystkim się uda. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Kamienne schody wewnątrz wieży prowadzą mnie na sam jej szczyt.

Wychylam się poza mury. U dołu, w świetle zachodzącego słońca, wody Morawy wydają się takie brunatne. Dostrzegam zasieki z drutów kolczastych, brutalnie przecinających krzewy kaliny, płaczących się wśród listowia wierzb, oplatających smukłe pnie olch.

Powoli zapada zmierzch. Widzę kilkanaście sylwetek podążających ostrożnie w stronę kamienistego brzegu rzeki, tam gdzie Morawa, zaledwie kilkadziesiąt metrów dalej, zasila swymi nurtami swojego większego brata. Skulone postacie, na które patrzę z tej wysokości, wydają się być jeszcze mniejsze, niczym mrówki próbujące przedostać się do lepszego świata. Widzę tobołki, małe walizki. Widzę matki z córkami, ojców z synami. Trzymają się za ręce. Zanim wkroczą w ciemniejące wody, rozglądają się jeszcze trwożliwie. Nagle u mych boków pojawiają się wartownicy. Wyborowi strzelcy. Mimo zapadającego mroku dostrzegam kolory ich mundurów: zgniła, oliwkowa bądź brunatna zieleń. W zależności od tego, od jak dawna każdy z nich jest na służbie. Podnoszą karabiny. Celują w cywili. Słyszę huk salwy. Kilka sylwetek u dołu potyka się. Upadają na lustro wody. Prąd porzywa komuś walizkę.

Zrywam się na równe nogi. Wymachuję rękami. Staję przed żołdatami. Patrzę w te młode, bezrozumne, otępiałe twarze. Wołam: – Nie strzelajcie!". Proszę: – Odłóżcie broń!. Zaklinam: – Oni są, jak wasi bracia i siostry. Jak wasi ojcowie i matki. Młodzieńcy przerywają ostrzał. Nie jestem pewien, czy mnie rozumieją. Setki lat bezwoli wydrenowały ich naród ze wszelkich samodzielnych myśli, pozbawiły empatii i odarły z człowieczeństwa.

Ale już nie strzelają. Wygląda na to, że moje błagania odebrali jako rozkaz. Oddycham z ulgą. Wypatruję uciekinierów. Ci, których dopadły

zdradzieckie kule, być może wciąż żyją. – Piękny, modry Dunaju! – krzyczę w otchłań mroku – Pozwól im zaznać wyzwolenia! Żelazna kurtyno! Unieś się i pozwól im żyć w wolnym świecie!

W ciemnościach krew jest czarna, nie czerwona.

Staję na kamiennym murze. Tutaj czas nie ma znaczenia.

Robię krok w przepaść. Opadam bardzo powoli, niczym niesiony skrzydłami wolności. Łąduję tuż obok nurtów Dunaju, w ukwieconych zielonych szuwarach. Dzień się skończył.

Wyjmuję mapę świata. W tak wielu miejscach już byłem. Uśmiecham się. Jestem zadowolony. Znów się udało. Odnajduję zamek Devin w Bratysławie i zaznaczam go krzyżykiem – kolejną zniesioną granicę.

Zdejmuję stare, schodzone trzewiki. Siadam nad brzegiem rzeki. Zatapiam stopy w leniwym nurcie, którego chłód przynosi ulgę. Muszę odpocząć. Muszę zebrać siły na kolejny dzień. Przede mną jeszcze tak długa wędrówka. Jeszcze tak wiele podziałów między narodami.

Lubię rzeki. Zanim nadejdzie świt, czas przeniesie mnie nad którąś z nich. Kocham rzeki – błękitne wstęgi na mapach. Jedyne naturalne granice między ludźmi.

Jutro będę musiał spojrzeć w udręczone irackie i afgańskie twarze. Będę musiał stanąć naprzeciw łuf karabinów białoruskich ciemężycieli. Jutro wybiorę się nad Bug.



Krzysztof Otorowski

Nocny wędrowiec

Tamtej nocy Konrad długo nie mógł zasnąć. Leżał na tapczanie i patrzył na gwiazdy. Niebo było czyste, przystrojone tysiącem białych mrugających punktów, jakby wszystkich tych minionych dni jego życia, dni odległych, których nie potrafił wspominać bez dojmującego uczucia udręczenia jakiego doznawał w duszy za każdym razem, kiedy patrzył w przeszłość. Jego mieszkanie w starej kamienicy dawno opustoszało. Mieszkał w nim sam, więc używał tylko jednej izby, tej, w której stało łóżko, komoda i kilka innych sprzętów. Trzymał tu wszystkie ubrania i stare fotografie i nigdy nie zaglądał do innych pomieszczeń z obawy, że jego obecność przeszkodzi duchom dawnej epoki w ich spokojnym śnie. Dzień wcześniej posprzątał i umył okna; wszystko przygotował na swą najdłuższą podróż, do której był gotowy całym sobą.

Długo oswajał się z myślą, że to się stanie właśnie o poranku nazajutrz, kiedy wybierze się w dawno zaplanowaną podróż. Znow zaczął być niepokojny. Wyszedł. Noc malowała paletą gęstej czerni kontury osiedlowych bloków tu i ówdzie przystrajając śpiący krajobraz w świetliste prostokąty okien i niewyraźne punkty ulicznych lamp. Ogarnął go nastrój nostalgii, gdy wieczorny, lipcowy wiatr musnął twarz delikatnym dotykiem. Gdzieś w oddali zamajaczył kształt człowieka zatopionego w mroku wieczoru. Stał na balkonie tego szarego, okropnego bloku naprzeciwko, z którego okien na parterze niemal zawsze dobiegał płacz jakiegoś dziecka. Nie znał tego człowieka. Przypomniawszy sobie jednak, że mieszkał tam kiedyś z żoną pewien starzec, który ilekroć spotkał go na ulicy zawsze się mu uklonił – był zawsze bardzo uprzejmy i miły. Spacerował samotnie, zamyślony i jakby nieobecny, potem owdowiał i umarł niedługo później. Od jego śmierci mieszkanie stało puste i zdawało się, że nikt nigdy nie będzie miał tyle odwagi, by zamieszkać w tym miejscu i wypełnić go na nowo ogromem przemysłów całego swo-

jego życia, życia pełnego rozterek i niespełnionych pragnień. Lampy uliczne nie paliły się tak jasno i nie widział pełni postaci nowego lokatora. Ten, pozdrowił go przyjaznym gestem, a potem obserwował gwiazdy odbijane w lustrach kałuż. Za chwilę wyciągnął ku niemu dłoń jakby pieczętując niemą nic porozumienia zaistniałą między nimi. Jego pojawienie się na balkonie mogło oznaczać, że chciał tej nocy dokonać niemożliwego – chciał odwieść nocnego włóczęgę od nieuchronnego spełnienia danej sobie obietnicy pogrążenia się w odmętach wiecznej nocy. Nocy, która potem nigdy już nie przerodzi się w dzień. Usiłował przekonać, że życie nie jest tak nieskazitelne i, że każdy po swojemu się z nim zмага, że nie zawsze jest takie jak byśmy chcieli. Nagle nocny włóczęga zastanowił się. Naszła go wątpliwość, że może ten człowiek wcale nie chciał mu tego powiedzieć. Że stał wysoko na balkonie, ale był tam tylko dla swej przyjemności i nie interesowały go zmagania i rozterki innych zbłąkanych dusz. Sam już nie wiedział co było prawdziwe, a co tylko iluzją. Zaczęło mżyć i schował się w bramie bloku naprzeciwko. Długo patrzył w kierunku balkonu obawiając się, że jeśli odwróci od niego oczy, tamten człowiek zniknie na zawsze. On szczęśliwie stał tam wciąż, opierał się o balustradę, a jego spojrzenie wyrażało zrozumienie dla wszelkich przeszłych niepowodzeń nocnego pielgrzyma, które niegdyś zaistniały, a teraz tkwiły gdzieś głęboko w mrokach podświadomości.

Było zupełnie pusto o tej porze. Mokry liść zatańczył chwiejnie na chodniku poderwany lekkim wiatrem, by za chwilę wpaść do ulicznej studzienki. Konrad poczuł ogarniający niepokój, choć przecież był tutaj, z nim, z ową tajemniczą postacią z tarasu, bezpieczny i pod jego opieką. Nie rozumiał czemu doznał tego dziwnego uczucia. Zaczął rozglądać się za kimś kto potwierdziłby istnienie człowieka z balkonu i udowodnił mu, że nie postradał zmysłów, uspokoił, że wszystko to w czym teraz uczestniczy, dzieje się naprawdę. Ale nikogo nie było wokoło i w tej jednej chwili ciepłej nocy ci dwaj pozostawali sami dla siebie, nieobecni dla innych. Firanka nie poruszała się, światło było zgaszone. Byli teraz jak dwaj kompani z wojska, którzy po latach niewidzenia tęsknią do czasów, kiedy poczucie bliskości w żołnierskiej niedoli, było jedynym gwarantem przetrwania haniebnej służby.

– Niech pan posłucha – rzekł tonem troskliwego opiekuna człowiek stojący na balkonie wychyliwszy się bardziej nad balustradę. – Niech pan wraca do domu, niech Pan nie robi głupstw, niech pan pójdzie do domu i zrobi najmądrzejszą rzecz na świecie – niech pan idzie spać. Jutro wszystko będzie inne, lepsze. Zobacz pan. Proszę być rozsądnym.

Ale Konrad tylko stał i patrzył na niego jakimś tęsknym spojrzeniem i nic nie odpowiedział. Wtedy czas jakby dla niego nie istniał. Nawet nie spostrzegł, że tkwił tam, przed tym obcym, nieznanym blokiem niemal całą noc i nie zauważył nastającego brzasku. Człowiek bez imienia rozpląnął się, a jego ostatnie słowa, już nie rozpoznane z wolna cichły i zanikały w przestrzeni, by już po chwili rozpieczętować się w gęstwinie kurzu wzbitego ponad osiedle przez samochód porannego dostawcy.

Tarcza słońca podnosiła się z wolna spomiędzy zabudowań. Pomarańczowy, delikatny punkt wędrował znad zaczerniałego zarysu horyzontu zwiastując odrodzenie rytmu dnia. Z wolna nastawał poranek. Gwar ulicy z początku słaby, wzrastał się teraz coraz to odważniej dotykając frontowe bloki i załęczoną, chroniącą się w mieszkaniach, ciszę. Konrad wszedł do mieszkania. Ciemny przedpokój przywitał go martwym milczeniem, poraził wymuskany porządek i czystością. Zmęczone tysiącem przebytych mil znoszone buty spoczęły na drewnianej półce, a stary prochowiec zawisł na wieszaku. Lustro przedstawiało portret. Była to postać, której chciałby nigdy już więcej nie zobaczyć, nie pamiętać, nie znać. A jednak sobowtór codziennie pojawiał się ukazując odbicie odrazy i pogardy do wszystkiego i wszystkich – także do siebie. Odsłaniał przed nim dręczącą przeszłość. Uzmysławiał jego winę. Kazał wracać po wielokroć do tamtego wieczoru, przeżywać i krwawić. Widział w odbiciach jego oczu tamte sceny, ilekroć przyglądał mu się ponurym, oskarżającym wzrokiem. Nienawistne spojrzenie człowieka w lustrze każdego dnia nakazywało mu kapitulować w odwiecznej walce braku akceptacji dla swej istoty tym śmielej im intensywniej wnikał w każdy szczegół wydarzeń tamtych haniebnych chwil i braku rozwagi.

W tamten wieczór wiele lat wcześniej przyjechał do rodziców, by spędzić z nimi czas po długiej nieobecności w domu rodzinnym. Zjedli kolację,

rozmawiali. Chciał zrobić na nich wrażenie, zaprosił na wernisaż sztuki. Pragnął by właśnie w ten wieczór, w jego wieczór autorski zobaczyli jak świetnym jest artystą, jak wspaniałego mają syna. Pogoda była niespokojna, zadziorna, wiał silny wiatr, mocno padało. Rodzice studzili jego zapał. Uznali, że nie powinni jechać właśnie dziś. Przekonywali, że należałoby odwołać wernisaż, radzili, by jechać nazajutrz, gdy warunki się poprawią, gdy ulewa przejdzie. Konrad był jednak niecierpliwy. Nalegał na wyjazd. Powiedział, że sztuka nie może czekać, a to przecież była jego sztuka, że to najważniejszy wieczór w jego życiu. Zgodzili się. Widzieli jak bardzo mu zależy, jak bardzo chciał, aby byli tam razem z nim. Usiadł za kierownicą wbrew sprzeciwom ojca. Był młodym, niedoświadczonym kierowcą, upierał się. Tego wieczoru było ślisko, a on spieszył się, bo chciał dotrzeć na miejsce zanim zbiorą się wszyscy goście. Był podekscytowany, nieostrożny, zagapił się. Trwało to ułamek sekundy, ale zdawało mu się, że ta chwila trwa całe wieki. Później, już w szpitalu, gdy się wybudził, lekarze powiedzieli mu o wszystkim, o tym co się stało, a on oszalał. Sam prawie nie doznał obrażeń i opuścił szpital bardzo szybko. Wkrótce potem zniknął, rozpułnął się. Wrócił do mieszkania w kamienicy swoich rodziców, ale był już kimś innym, odludkiem bez chęci życia, wrakiem człowieka ledwie pokonującym stopnie schodów. W ciągu lat stał się zapomnianym dla ludzi. Nie pokazywał się nigdzie, oddalił. Nikt nie umiał go skojarzyć, rozpoznać, bo wcale już nie przypominał owego młodego człowieka z dawnych czasów. Zdawało się, że tamten chłopak o jasnym spojrzeniu i radości w ruchach i gestach wyprowadził się, albo umarł, a jego miejsce zajął skurczony w sobie, zmęczony i udręczony wiekami istnienia, starzec. Jego chód przypominał powłóczenie trędowatego, twarz zionęła wyrazem bólu i rozpacz. Nieraz tylko wychodził i przeważnie tylko w nocy. Włączył się, gubił wśród ulic miasta i odnajdywał na krótko nieodgadniony, nieobecny, skryty, daleki. Podczas tych spacerów wyobrażał sobie, że pyta ludzi o drogę powrotną do domu, ale w jego wyobrażeniu ci odpychali go i zbywali nie umiejąc spojrzeć szaleńcowi w oczy. Po chwili jakby wyrwani z otępienia, przerażeni upiornym wyglądem widma rzucali się w ucieczkę i schowawszy bezpiecznie w swych kryjówkach rzucali z okiem milczące oskarżenia za popełnioną zbrodnię.

Mijał czas. Mieszkańcy kamienicy wyprowadzali się, znikali, a na ich miejsce przychodzili nowi, tak samo nieznani jak tamci, obcy. I oni również poznali jego historie. Również i dla nich stał się tylko nędznym strzępem w łachmanach, niegodnym uwagi truchłem z niejasną przeszłością, którego zepchnięto w odmęt zaszłości kart jego własnych dziejów. Potem nie było już nikogo kto go wspomniał, zmałował za niego modlitwę i litował nad nim. Tamci, którzy go pamiętali zapomnieli szybko, że kiedykolwiek oddychali razem z nim tym samym powietrzem, podziwiali tak jak on letni poranek tuż po burzy, czy tak samo jak on spacerowali w niedzielę po parku w pełni wiosny. Dawno skończyło się jego życie, choć przecież oddychał i śnił. Ludzie odwrócili się od niego, wyklęli go. Nawet czas, tak nieubłagany i niestrudzenie prący do przodu, zdawał się zwalniać jakby swój bieg, przedłużając męki Konrada naznaczone trwaniem w udręczonym stanie i skazując tym samym na wieczną niedolę.

Konrad leżał na łóżku. Złowrogie milczenie zatopione w mieszkaniu trwało jakby w nieskończoność. Wzbijane kłęby drobnego kurzu ulatywały i tańczyły niewyraźnie. Konrad ledwie uchylił powieki i patrzył obojętnym wzrokiem ku górze szukając początków własnej drogi. Dawno stracił wiarę w to, że istnieje dla niego zbawienie, choć głęboko wierzył, że ów człowiek z balkonu rzeczywiście pojawił się dla niego tamtej nocy i, że nie był tylko snem czy nocnym złudzeniem, ale był ziemskim przewodnikiem w przyszłym, odległym, lepszym świecie, do którego powoli zmierzał.

Ciepły kształt mistycznego światła dochodzącego zza szyby wędrował przez moment leniwie po tapczanie i wreszcie odnalazł nieruchomą postać Konrada ułożonego na wznak. Delikatnie dotknął ostrą krawędzią jego dłoni. Konrad odsunął ją jak ktoś kto niegdyś sparzył się ogniem fałszywych obietnic tak wiele razy, że nie byłby w stanie znieść kolejnej. Z trudem podniósł rękę i przełożył ją nad głowę, palcami dotknął czoła. Po chwili powieki uniosły się, a wzrok powędrował na mały obraz oprawiony drewnianą ramką wiszący nad nocnym stolikiem. Przedstawiał średniowieczną scenę, która fascynowała go, choć nie pamiętał już od jak dawna. Nigdy nie zauważany widoczek, nabrał teraz ogromnej wartości. Stał się ważny jak wszystko czego w ciągu życia człowiek nie zauważa, lecz wobec czego

zawijzuje się więź i tworzy fundament trwałej zażyłości, dopiero gdy ten zbliża się do swego kresu.

Na stoliku obok zdjęcia w ramce, leżało drewniane pudełko z metalowym okuciem. Konrad sięgnął po nie, jak ktoś łaknący dotyku i od zarania stęskniony bliskości. Jego zawartość zaśniła srebrnym blaskiem niczym gwiazda w obietnicy wybawienia. Mistyczny promień nikłego światła dochodzącego z zewnątrz podkreślał krawędzie przedmiotu i jego odwieczną tajemnicę przejścia: sekret znany tym, którym dane było go osiąść, nigdy nie dane wyjawić. Dłoń z początku nie pewna, po chwili w całości obejmowała ciężki przedmiot. Konrad poprawił uchwyt. W jednej chwili precyzyjny mechanizm konstrukcji podzespołów skrywanych we wnętrzu, ożył. Każdy jego element zmienił w jednej chwili swoją pozycję w zgodnej tonacji obrotów i półobrotów niczym wspaniała grupa najlepszych tancerzy w idealnej choreografii. Jeszcze przed chwilą uśpiony, teraz skupiony, niecierpliwy swego uwolnienia. Oczy zaszyły mu wilgocią, ale dopiero teraz widział tę scenę wykonaną niedbale pędzlem w pełni swego wyrazu. Oto postaci sześciu katów zatoczyły obrót, weszły na scenę śmierci pokrytą mrowiem gapiów, których twarze nie wyrażały niczego poza trwogą i lękiem spodziewanego końca. Pastelowe, ciemne smugi zacieśniały ponure niebo, a sześciu sprawiedliwych w stalowych płaszczach czekało w gotowości by ukarać za czyny, niegodni ich osądzania – czekali w milczeniu świadomi, że tylko jeden z nich, uczyni powinność, wykona swe zadanie. Gwar ulicy niespodziewanie ucichł, kolejne obrazy nawiedzały jaźń skazańca. Krucha postura starej żebraczki, której błagalną dłoń niegdyś odrzucił zamajaczyła przed nim żałością swej postaci; kościste jej ramiona oplotły szyję, a zimne wargi dotknęły skroni. Wezwany na szafot kat powoli zbliżał się do swej ofiary, a publiczność zastygła z trwogą malującą się na przelękłych twarzach. Palące się w nim życie walczyło odważnie o kolejny dzień bezsensu swego trwania z przemożnym pragnieniem zapisania karty kroniki z datą kolejnego dnia. Krople potu zrosiły czoło, a sceny z obrazu znieruchomiały. Wreszcie ich kontury zamazały się, a wzniesiony ku górze topór zastygł w rękach kata i nagle spadł z niebywałą siłą. Nagły wrzask rozdarł ciszę, gołębie zerwały się z dachu. Chwilę potem znów zaległo

milczenie, choć w dalekiej od pierwotnej formie. Gęstniejący, coraz wyraźniejszy tupot zaalarmowanych incydentem sąsiadów dobiegł z zastygłego w uśpieniu korytarza klatki schodowej. Wdarli się do mieszkania, ale w jego wnętrzu nie znaleziono nikogo. Na tapczanie leżał tylko strzęp ubrania zabarwiony w części gęstą czerwienią.

Jedna tylko spośród zgromadzonych osób zauważyła coś co nie mogło wydawać się naturalne. Jasny, delikatny promień życia zamigotał w jednej chwili błyskami i esencją mocy i zaczął powoli wznosić się w górę, zostawiając w dole niczego nieświadome postaci. Jaśniejąca moc oddalała się teraz wyżej i wyżej ku światłu nieba i przedostawszy się przez stłumione do tej pory odgłosy życia miasta, uleciała wysoko ponad nim. Głuchy gwar arterii powoli wracał w swym właściwym dla siebie tonie, ale jakby miarowo i z ostrożnością. Jeszcze przed chwilą cichszy i nienatarczywy, jakby onieśmielony tym co zaszło, teraz powracał śmiały i zdecydowany.

– Proszę się nie bać – usłyszał Konrad. Słowa docierały do jego jaźni wyraźnie i czysto. To był on, głos jego towarzysza z balkonu, z którym rozmawiał poprzedniej nocy. Konrad nie mógł go dostrzec, ale i nikt inny nie mógłby go zauważyć.

– Teraz już wiem, że nie muszę – odrzekł Konrad, a jego głos zabrzmiał jakoś inaczej, żywiej. Brzmiał głos kogoś zupełnie innego, kogo nie potrafił rozpoznać, chociaż znał jego melodię doskonale.

– Czy oni są tutaj, moi rodzice ? – Konrad zapytał z łapczywością i zaciekawieniem małego chłopca, którym na powrót znów się stawał. To pytanie przyszło do niego niespodziewanie, pojawiło się znikąd. Wiedział, że otrzyma odpowiedź, której oczekiwał, bo w miejscu, w którym się znajdował nie było pytań pozostawionych bez odpowiedzi.

– Tak – potwierdził głos człowieka z balkonu. I choć Konrad go nie widział, był pewien, że ten uśmiecha się do niego życzliwie i chce jego szczęścia. Tam gdzie byli bowiem, wszystko było szczęściem i miłością. A potem zapytał czy może ich teraz zobaczyć, ale nie musiał pytać, gdyż wiedział, że zobaczy ich i połączy w dalszym życiu. Tym nowym, wiecznym życiu, które teraz na nich czekało.

Potem przewodnik Konrada – Istota, której energia pulsowała wszech-

miarem dobra ponad pułap wszystkiego co niematerialne uśmiechnęła się do niego, a on zobaczył ten uśmiech i już wiedział, że nie musi zadawać innych pytań, które nurtowały go w ciągu ziemskiego życia. Gdy poczuł ten uśmiech całą swoją istotą pozbawiona materii, poznał odpowiedzi na wszelkie zadane przez rodzaj ludzki pytania od początku jego istnienia. A potem zauważył w oddali zarysy jasnych kształtów. Dwoje postaci przywołane tęsknotą ukazały się w oddali oznajmiając swe przybycie. Zamajaczyły jeszcze jaśniejszą poświatą, a wymowna siła i energia, którą promieniały napawała przestrzeń ponad wszystkim każdą formą serdeczności i dobra jakiej niepodobne było zaznać gdziekolwiek indziej, na ziemi. Ujęli dłoń swego syna i unieśli wysoko, gdzieś ponadto wszystko co do tej pory wydawało się tak znane i bliskie. Zabrali go daleko, poza ich ziemskie sprawy, które przestały mieć znaczenie. A potem rozplynęli się wśród chmur stając się na powrót rodziną i pozostając serdecznym wspomnieniem tych ludzi, na drodze których każdy z nich pozostawił kiedyś własny ślad.

Woldemort 2024

Krzysztof Pietras

Opieńki

Stara zardzewiała kłapa opadła z hukiem na fragment studzienki wodociągowej, po tym jak Czesław, nie bez trudu, uniósł ją z miejsca. Hałas metalu uderzającego o beton wypełnił ciszę panującą na działce. Niewidoczne dla niewprawnego oka wiewiórki i buszujące wśród zeschniętych liści kosy umknęły ku innym zakamarkom puszczy – tam, gdzie nie zdążył się jeszcze wedrzeć świeży i intensywny zapach groźnego człowieka.

Staruszek spojrzał w betonową czeluść. Pomimo skończonych rok wcześniej osiemdziesięciu lat wzrok zachował doskonały, więc dojrzał znajome ślimaki bez skorup, traszkę i liczne pająki, zamieszkujące na stałe przestrzeń pod zaworem i wodomierzem.

Aby włączyć wodę w domku należało dawniej zejść po wyslizganej drabinie i zrobić to ręcznie; kilka lat wstecz zamontował jednak na zaworze lewarek z przyspawaną tuleją, w którą należało wsunąć długi, żebrowany pręt i powstałym w ten sposób stalowym ramieniem manewrować dowolnie, bez potrzeby ryzykowania ekwilibrystycznych zejść na dół.

Czesław, z wykształcenia inżynier, a z natury będąc zwyczajnie zapobiegawczym, po przekroczeniu bariery siedemdziesięciu pięciu lat rozpoczął wdrażać kolejne rozwiązania mające na celu usprawnienie życia swojego i żony w trudnym okresie zbliżającego się powoli do końca życia. Zamienił auto na model z wyższym, wygodniejszym do wsiadania progiem, w miejsce wanny wstawił prysznic z uchwytami dla niepełnosprawnych oraz zlecił w mieszkaniu montaż klimatyzacji.

Trudno mówić o jakimkolwiek triumfie, ale gwałtownie rozpoznany u Jasi cztery lata później utwierdził go i resztę rodziny w przekonaniu, że te, wyszyldane przez niektórych przygotowania, miały jednak sens. Dzieci i wnuki pomagały, ale teoretycznie jeszcze nie musiały; pomimo osiemdziesiątki na karku, dziadek i ojciec miał jeszcze wystarczająco siły, aby towarzyszyć żonie w podróży na krawędzi.

Szczęk klapy, skrzypienie drzwi wejściowych do chatki, szum uruchamiającej się z trudem lodówki – te odgłosy zawsze towarzyszyły pierwszemu chwilom pobytu na działce, na którą przyjeżdżali już prawie od czterdziestu lat. Nie inaczej było i tym razem, z tą różnicą, że mężczyzna robił wszystko sam; dodatkowo, otworzył bramę, okiennice, sprawdził łapki na myszy, wypakował z samochodu bagaże i, na koniec, wózek, na którym pomógł usiąść chudziutkiej kobiecie. Była w stanie przejść o własnych siłach parę kroków, ale tylko na tyle, aby wyjść przy jego pomocy z auta i z lekkim gruchnięciem opaść na skórzane oparcie wózka.

Wysuszona dłoń Czesława przylgnęła do czoła żony, gdy sprawdzał czy aby nie dostała gorączki; upewniając się, że trzygodzinną podróż zniosła bez widocznych dla umierającego ciała konsekwencji, przewiózł ją na werandę leśniczówki, zwrócił ku ulubionej ścianie lasu, która o tej porze roku odbijała promienie przedpołudniowego słońca gładką korą buczyny i poszedł do domku po przenośne radio. Ustawił je na ulubiony, religijny kanał Jasi i postawił zaraz obok niej.

Żona wróciła do Boga i Kościoła jakoś zaraz po usłyszeniu ostatecznej diagnozy; prawdopodobnie miała na to wpływ również i sama choroba, pustosząca jej mózg w powolnym, ale konsekwentnym tempie. Czesław może i dawniej by z nią dyskutował, zachęcając do przedstawienia jakichś racjonalnych argumentów dla tej decyzji, ale w sytuacji, w której kobieta rozpoczęła z góry skazany na upadek balans na styku życia i śmierci, wszelkie dysputy straciły jakikolwiek sens.

Dziś miała jeden z tych lepszych dni, gdy nie była agresywna, rozpoznawała go i zdawała sobie sprawę z tego, co się wokół niej dzieje.

W momentach, gdy wyczuwał, że świadomość żony zaczyna się gdzieś wymykać pytał ją co widzi, gdzie jest i czy go poznaje, starając się ocenić czy dalsza konwersacja ma sens, czy może jednak pozwolić jej wtedy odpłynąć; odnosił wrażenie, że gdy myśl Jasi zanika lub błądzi po prawdopodobnie nawet przez nią nieznanymi obszarach, kobieta mniej cierpi. Nie obserwował wtedy tików, oczopląsu, a jej twarzy nie wykrzywiały żadne grymasy; trwała w specyficznym stuporze, który jeszcze kilka lat wcześniej mógłby określić mianem zwykłego zamyślenia.

Upewniwszy się, że nic jej nie brakuje, przebrał podróżne adidas na profesjonalne buty trekkingowe, które dostał od wnuków na osiemdziesiąte urodziny, założył kurtkę moro, spodnie khaki, przypiął do pasa profesjonalny koszyk na grzyby i wyjął z auta plecak zawierający mnóstwo akcesoriów, jakby to młodzież ujęła „survivalowych”; on jednak wolał określenie „biwakowe”.

Poza oryginalnym szwajcarskim scyzorykiem, który zakupił w Pewek-sie jeszcze w latach siedemdziesiątych, na całe wyposażenie składały się prezenty od synów i wnuków, którzy nie mając innych pomysłów kupowali nestorowi rodu wszystko, co mogło mu się przydać „w puszczy”, a on starał się nawet nie tyle ich używać, co przynajmniej zabierać ze sobą na działkę, doceniając inicjatywę dzieci.

Zamierzał wrócić maksymalnie za parę godzin. Ktoś z zewnątrz zapewne oceniłby jego zachowanie jako skrajnie nieodpowiedzialne albo nawet nieludzkie, ale Czesław był w pełni świadomy tego, co robi.

Żona była ciepło ubrana, miała świeżo założone pieluchomajtki, a na rękę bransoletkę z GPS-em na wypadek, gdyby jakimś cudem znalazła dość siły, żeby się gdzieś oddalić.

Oczywiście, w każdej chwili jeden z wyniszczonych chorobą organów mógł zacząć szwankować lub zwyczajnie przestać działać, ale i z tym mężczyzna się liczył.

Wiedział, że chwila, z którą żona przejdzie na drugą stronę, czymkolwiek by ta strona nie była, jest kwestią dni lub co najwyżej tygodni.

Dla niego równie dobrze mogły to być i godziny. A dla niej? Już od tygodni nie zdawała sobie sprawy w jakim stanie się znajduje, więc koniec mającący od dawna na horyzoncie mógł równie dobrze nadejść i tutaj – w miejscu tak drogim dla nich obojga.

– Kochanie, idę po opieńki, tak jak chciałaś – staruszek zwrócił się do żony, nie oczekując jednak żadnej reakcji. Twarz kobiety jednak wyraźnie się rozjaśniła i po sekundzie, podczas której mózg pokonywał nieznane nauce przeszkody, odezwała się:

– Ooo... Zrobimy pierogi?

Mimo że żona przemówiła do Czesława, to nie zwróciła się bezpośrednio do niego; patrzyła gdzieś w dal, tak jakby nie stał przed nią lub gdyby mogła widzieć przez jego przygarbione, ale nadal postawne ciało.

– Mhm – tyle zdołał odpowiedzieć, czując ucisk w klatce piersiowej i gardle, wywołujący równocześnie, coraz już rzadszy u niego, wyciek łez. Chwile, podczas których bywała prawie sobą zdarzały się niezwykle rzadko.

– A małe zamarynujemy?

– Zrobimy co tylko chcesz. Wrócę niedługo, nigdzie mi nie uciekaj – wyrzucił z siebie, pocałował żonę pośpiesznie w policzek i nie spoglądając za siebie, ruszył ku furtce w tylnym ogrodzeniu działki, która otwierała się bezpośrednio na ukochany przez ich oboje las.

Kilkaset metrów dalej zaczynał się rezerwat, o czym świadczyła czerwona, blaszana tabliczka z wytłoczonym, białym napisem.

Dla małego Czesia i jego starszych braci nie było Polski czy Związku Radzieckiego, tylko „nasza puszcza” i „ich puszcza”, co irytowało ojca, a dziadka, którego majątek Polska Ludowa znacjonalizowała, rozwścieczało; spory kawałek puszczy należał dawniej do niego, jak i zresztą kilkadziesiąt hektarów gruntów przekształconych później w pegeery. Nowa władza okazała się na tyle wspaniałomyślna, że pozwoliła dziadkowi zachować chatkę leśniczego, którym po uzupełnieniu wykształcenia sam został i choćby w symboliczny sposób nadal sprawować kontrolę nad utraconymi włościami.

Ojciec kierował pegeerem, a Czesław z rodzeństwem, już w wolnej Polsce, wykupił fragmenty dawnego folwarku. Tak czy inaczej, tam gdzie dawniej mieszkali, a obecnie wypoczywali w weekendy i wakacje nigdy nie było żadnych zasieków, szlabanów ani drutu kolczastego. Gdzeniegdzie napotykali słupy graniczne, ale nie robiły one wrażenia ani na zwierzyńie pomieszkującej po trochu na wschodzie puszczy, a w kolejnym sezonie na zachodzie ani na ludziach stąd; przejmowali się nimi jedynie przypadkowi letnicy, robiący sobie ostrożnie zdjęcia z lewą nogą w kraju, a z prawą na obczyźnie.

Okopy i resztki bunkrów pamiętające jeszcze Wielką Wojnę, zaadaptowane później przez Polaków, następnie przez sowietów, po to żeby w końcu

zamieszkali w nich hitlerowcy, w latach pięćdziesiątych wzięła we władanie okoliczna dzieciarnia. Chłopcy, w tym i mały Czesio, buszowali wśród lasów poszukując dziurawych hełmów, łusek i puszek po konserwach; ci bardziej łębscy i przenikliwi znajdowali w dziuplach i różnych naturalnych schowkach bagnety, noże, krzyże żelazne lub małe gapy pochodzące z żołnierskich furażerek. Nie wiadomo dlaczego naziści je tam ukrywali; może liczyli na to, że kiedyś wrócą po swoje pamiątki, tak jak mali chłopcy wracają do swoich „baz” czy szałasów, w których również ukrywają swoje trofea i skarby.

Niemcy jednak nie wrócili, mimo że przed ich rewizjonizmem straszyla Polska Ludowa. W bunkrach pojawili się znów żołnierze, ale już polscy, ponownie modernizując stare umocnienia i regularnie przepędzając działy z dzikich placów zabaw, a ich rodziców strasząc minami i nie bez przesady, niewybuchami, na których co jakiś czas ktoś nieostrożny tracił jak nie życie, to przynajmniej którąś z kończyn.

Dzieciaki jednak wiedziały jak omijać nie tak wcale liczne zasieki, gdzie można spotkać patrole i którymi ścieżkami lub wąwozami przemykać, pozostając niezauważonymi.

Zbocze jednego z tych wąwozów co dwa lata pokrywały kępy opieniek i tam właśnie skierował się Czesław.

Mężczyzna zdawał sobie sprawę z sytuacji, jaka ma miejsce w puszczy. Słyszał coś o strefie buforowej, zakazach, jakichś pozwoleniach itp., ale to jego nie dotyczyło; był stąd, tak jak i jego bracia, rodzice i dziadkowie. Tu uczył się nie tylko jakie grzyby można zbierać, ale i z którymi „Ruskimi” można się wspólnie bawić w podchody, a później handlować drzewem, bimbrem i tanimi papierosami. Strażnicy zarówno z jednej, jak i z drugiej strony pochodzili z najbliższych okolic; często widywali się z mieszkańcami pogranicza na targach, weselach czy giełdach samochodowych i przymykali oczy na nie całkiem legalne wędrówki w poprzek puszczy.

Biorąc to wszystko pod uwagę staruszek spostrzegłszy wysokie, stalowe ogrodzenie przecinające szlak jego pieszych wędrówek, którymi raczył się od dekad, doznał trudnego do zdefiniowania uczucia – nie tylko coś znajdowało się nie na swoim miejscu, ale i stanowiło trudną do zaakceptowania niesprawiedliwość, godzącą bezpośrednio w jego wolność i poczucie

własności. Zabraniano mu iść tam, gdzie w tym momencie chciał, musiał i gdzie chodził od zawsze, a motywy stojące za tym zakazem absolutnie go nie obchodziły i bez względu na swoją wagę nie wytrzymywały porównania z jego własnymi.

Nie zastanawiając się długo, podszedł do płotu, pogładził go ręką i spojrzał wzdłuż konstrukcji znikającej za zakrętem przecinki wykonanej specjalnie w celu jej budowy. Nie zauważył nikogo stojącego na straży przeszkody, ale co kilkadziesiąt metrów barierę wieńczyła kamera. Odzyskując zdrowy rozsądek, wycofał się w głąb zarośli, przez które wcześniej się przedarł i ruszył w stronę „Błot”; był pewien, że stalowa przeszkoda do nich nie dotarła. Na nieosuszonych bagnach jedynymi, które potrafiły coś wybudować były bobry.

Narastający warkot silników utwierdził seniora w przekonaniu, że dobrze zrobił chowając się w las; w hałasie dochodzącym z pozbawionego roślinności pasa rozpoznał odgłosy quadów lub innych małych pojazdów, którymi zapewne przybyli zaalarmowani przez monitoring żołnierze. Był już jednak wystarczająco daleko, by móc bez przeszkód kontynuować wędrówkę w kierunku bagien, na których w dzieciństwie szukali z braćmi i sąsiadami błędnych ogników, fantazjowali o kwiecie paproci i straszili nawzajem utopcami, rusałkami i strzygami.

Dopiero teraz docenił wysokie buty trekkingowe z Gore-Texu sprezentowane przez wnuki – pomimo wdepnięcia w pośpiechu w kilka błotnistych wykrotów ich wnętrze pozostawało suche; będąc wyrostkiem biegał po puszczy w zwykłych pepegach i tylko gdy zanosilo się na deszcz zakładał na skarpetki worki celofanowe, chroniąc w ten sposób stopy przed zamoknięciem. Potem suszyło się te worki koło kaloryferów, a ich zapach wypełniał całe mieszkanie, co spotykało się z wiecznym, matczynym utyskiwaniem.

Czesław dotarł niezauważony na skraj mokradeł, które o tej porze roku brunatnością gnijących traw i szarością pozbawionych listowia krzaków zniechęcały do odwiedzin nawet szukającą przygód dzieciarnię.

Upewnił się, że grobla, dzięki której ostatnim razem, z dziesięć lat wcześniej, przedostał się na drugą stronę „Błot” nie rozplynęła się ani nie

została zniszczona przez bobry; ruszył przed siebie stąpając ostrożnie i, tak jak dawniej, profilaktycznie sondując teren długim kijem. Momentami balansował na skraju grzęzawiska, starając się nie testować za nadto wytrzymałości butów, ale i tak stopy, od czasu do czasu, trafiały na bulgoczące pod ich naciskiem zagłębienia ze szlamem, zapadały się w nim i z trudem odklejały walcząc z zasysającym je podciśnieniem. Nadłożył sporo drogi, ale od wąwozu, do którego miał zamiar wkrótce trafić dzieliło go już kilka minut szybkiego marszu.

Jedynie ludzie stąd, łosie i czyhające na nie wilki wiedziały jak się po bagnach poruszać, z czego zdawały sobie sprawę straż i wojsko, więc nie obsadzały tych terenów żadnymi posterunkami czy zasiekami. Niemniej jednak, gdy tylko torfowisko zaczęło przechodzić w łękę Czesław dojrzał coś, czego nie pamiętał z czasów, gdy jeszcze wypuszczał się tu z wnukami na dalsze wędrówki – wyglądające na nowe słupy graniczne i rozpostarty pomiędzy nimi drut kolczasty tworzący szerokie, ale niemożliwe do sforsowania okręgi.

Sfrustrowany rozejrzał się wokoło – teoretycznie, przy odrobinie szczęścia, opieńki mogłyby wyrosnąć i w tym miejscu, gdzie akurat stał – było dość wilgotne i poryte przeróżnymi rowkami i zagłębieniami, ale najwidoczniej grzybnia nie sięgała aż tutaj. Był jednak pewien, że krzewi się pod ziemią w jarze znajdującym się już tylko kilkadziesiąt metrów od niego.

Pod wpływem impulsu rzucił dźwigany przez cały czas plecak, wyciągnął z niego duży, przeciwdeszczowy płaszcz i zamienny polar i zaczął rozkładać je na zasiekach, równocześnie szukając w nieużywanym nigdy wcześniej multitoolu obcęży, którymi mógłby spróbować przeciąć niezastłonięte druty. W końcu wkroczył na przeszkodę, usiłując oprzeć się na jednej części garderoby, a następnie przełożyć dalej drugą, ale nieprzemyślane ruchy sprawiły, że natychmiast zaczepił sznurówkami o kolce, a zaraz potem dołączyły do nich wystające elementy plecaka. Czesław utknął, ale nie zdążył nawet zastanowić się nad sposobem uwolnienia się z potrzasku, bo usłyszał zbliżające się do niego i zyskujące na sile brzęczenie.

Nad złapanym w pułapkę na ludzi seniorem zawisł dron.

Staruszek, nieco zdziwiony, wpatrywał się przez chwilę w oko lustrującej go kamery, po czym kontynuował, już spokojniej niż z początku, próbę przedostania się na drugą stronę zasieków. W końcu, po paru minutach, podczas których dron nieustannie mu towarzyszył, do osobliwej pary dołączyły dwa quady wiozące w sumie cztery, ubrane w mundury polowe osoby. Kątem oka Czesław zauważył, że dwie z nich wycelowały w niego broń długą, trzecia obróciła się do nich tyłem, a czwarta zbliżyła do zapory i przez skrywającą twarz kominiarkę rzuciła:

– Straż graniczna! Ręce do góry i obrócić się wolno w moją stronę!

Starszy mężczyzna, targany sprzecznymi uczuciami, spośród których górę brała już rezygnacja, zastosował się do polecenia pogranicznika i, rozdzierając przy okazji drutem kurtkę, powoli zwrócił twarz w kierunku opuszczanej nielegalnie ojczyzny.

– Ty panimajesz?

– Da, tak, rozumiem. Ja tylko na griby, to znaczy na grzyby się wybrałem... – Czesław, nieco skruszony i odczuwając już w pełni groteskowość całej sytuacji, spuścił oczy po sobie, trzymając słabnące ramiona nadal w górze.

– Ty, dziadek, ty sobie jaj nie rób, tylko mów skąd jesteś i co tu robisz.

– No na opieńki szedłem... One nie rosną sobie wszędzie, tylko w tamtym jarze – wskazał strażnikowi brodą kierunek – na pewno jest wysyp, bo jest rok parzysty, a jestem – opuścił lekko ramiona i zakreślił jednym okrąg – no stąd przecież jestem...

Dowódca pograniczników spojrzał w tył na uzbrojonych podwładnych i pokręcił lekko głową, na co tamci opuścili i zabezpieczyli broń.

– A jakieś dokumenty pan przy sobie ma albo zezwolenie na przebywanie w strefie buforowej? – już spokojniej zapytał skonsternowanego seniora, który kiwnął na „tak” i nie czekając na zgodę sięgnął po dowód do wodoodpornej saszetki przy pasku, którą również dostał w prezencie od wnuków.

Żandarmi podwieźli Czesława pod samą leśniczówkę. Pomimo kanapki i gorącej herbaty, którymi został poczęstowany na posterunku

był nadal głodny i wycieńczony. Poczuł jednak nagły przyływ adrenaliny i natychmiast zapomniał o zmęczeniu, gdy na werandzie zauważył pusty wózek, a w oknach domku ciemność. Nie zadając sobie trudu spojrzenia na aplikację śledzącą lokalizację żony, wpadł do chatki i omiótł wewnątrz przyzwyczajając wzrok do braku światła. Dostrzegł ją siedzącą przy pustej filiżance i wsłuchującą się w popołudniową audycję, dobywającą się z wniesionego do środka radia. Też go zauważyła i zapytała:

– No i co? Znalazłeś te jagody?

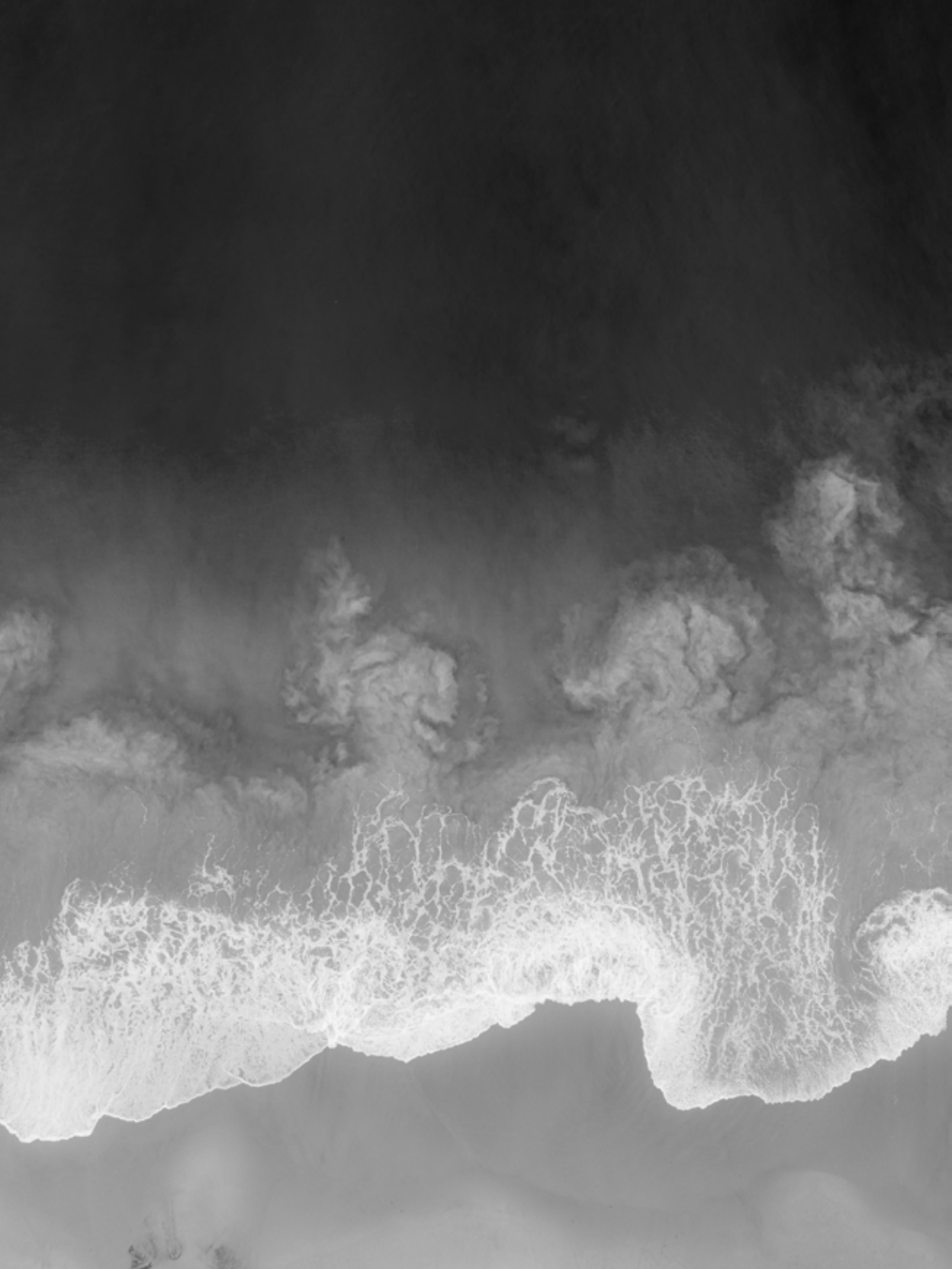
Mężczyzna, po chwili zastanowienia odpowiedział:

– Niestety nie.

– Szkoda, myślałam, że zrobię ci pierogi, takie jak lubisz – Czesław dostrzegł w kącikach ust żony delikatny uśmiech, którym zazwyczaj godziła się ze spotykającym ją rozczarowaniem.

– Ale jutro rano ci pozbięram, dobrze? – zapytał, nie słysząc jednak już żadnej odpowiedzi.

Pole obfitych w jagody krzaczków znajdowało się zaraz na granicy rezerwatu, w miejscu gdzie ich ulubiona buczyna przechodziła w puszcę.



Marcin Pietraszek

Nicea albo śmierć

I

Ta nagła wiadomość wyrwała mnie z letargu, wybiła z codziennego rytmu i przypomniała, że czas zająć się sprawami fundamentalnymi. Mój stary, poszukiwany latami ojciec odnalazł się, oczywiście nie wtedy, gdy poruszałem Ziemię i Niebo, aby go odnaleźć, ale teraz, gdy już dawno pogodziłem się z jego nieistnieniem. Dlaczego teraz? Przecież jeszcze kilka lat, a ja sam będę potrzebował opieki...

– Prawdopodobnie nie chciał, by zawiadamiać rodzinę – mówiła mi przez telefon pracownica fundacji poszukującej osób zaginionych. – Jednak personel prawdopodobnie zorientował się, że jego środki uciulane na pobyt w tym domu mogą się skończyć. Gdy go przyjmowali, sądzili, że wystarczą, a może nawet, że przepisze na nich pozostawione oszczędności. On jednak wcale nie umiera, pieniądze się kończą i lada chwila będzie dla nich kłopotem. Wie pan, to prywatny ośrodek, w Nicei. To nie są tanie sprawy. Dlatego nie mogli dłużej czekać, sami się skontaktowali z naszą siostrzaną organizacją we Francji. Chcą, żeby pan przyjechał i zdecydował co dalej.

– Co dalej... powtórzyłem, ni to parafrazując, ni to pytając; konsultantka potraktowała to jednak niczym pytanie.

– Może pan pozostawić ojca w domu opieki, uiszczając opłaty na kolejny rok z góry. Może też pan doprowadzić do rozwiązania umowy. Teoretycznie powinien to zrobić pański ojciec, ale wie pan, w jego wieku, pewnie da się go jakoś przekonać... – w słuchawce zapadła niezręczna cisza. – A potem może pan poszukać odpowiedniego miejsca w Polsce, chyba że ojciec zamieszka z panem. Wcześniej będzie jeszcze trochę formalności, ale da się je załatwić.

– A jeśli nie pojedzie? – zapytałem czysto teoretycznie; wiedziałem, że jakaś siła, będąca skrzyżowaniem poczucia przyzwoitości, resztek empatii z czystą ciekawością nie pozwoli mi na bierność. Pracownica fundacji westchnęła.

– Wtedy pański ojciec zostanie pewnie przekazany do ośrodka państwowego, zapewne o znacznie niższym standardzie. Może być jeszcze gorzej. Jeśli w domu opieki uznają, że jest na tyle sprawny, by funkcjonować samodzielnie, po prostu go wypuszczą. Chociaż raczej nie, on zbliża się już do dziewięćdziesiątki, więc pewnie przeniosą go gdzieś. Myślę, że lepiej, gdyby pan...

– Tak, rozumiem... – uspokoilem ją. – Oczywiście, że lepiej. Po prostu jestem zaskoczony, tyle lat bez kontaktu... Zresztą, nie wiem, czy jakiś kontakt będzie możliwy. To właściwie obcy człowiek, starzec z demencją. Byłem na studiach, kiedy wypłynął w rejs, kolejny rejs, jak to marynarz. Tyle, że jego koledzy wrócili, a on nie. Zniknął, jak kamień w wodę. Od tego czasu minęło ponad 40 lat, a więc w sumie dłużej go nie znałem, niż znałem... Dlaczego teraz miałbym się nim zajmować?

– To na pewno trudna sytuacja – konsultantka westchnęła po raz kolejny. – Ale tylko pan może zdecydować, co pan robi w tej sprawie. Ja przekazałam panu informację – ucięła, zapewne nie życząc sobie kolejnych cikliwych zwierzeń. Pożegnaliśmy się więc, a ja wróciłem do stołu, by zjeść dwa karmelowe ciastka, kupione rano w cukierni. Gdybym tylko zdążył zjeść je przed tym telefonem, na pewno smakowałyby inaczej.

II

– Dlaczego nie samolotem, tato? – zapytał mnie syn, niemal z wyrzutem. Nie wiem czy uwierzył, że za stary jestem na samoloty, że – jak zażartowałem – zakręciłoby mi się w głowie od tej prędkości. Machnął ręką, dał spokój, głupi stary. Fakt, byłoby szybciej (ale to dla mnie nie argument); fakt, byłoby taniej (to już coś, ale jednak byłoby szybciej). Tymczasem obrazy przemieszczające się monotonnie za oknem są niczym klatki filmu w telewizorze wykonanym z kartonowego pudełka po Vibovicie. Pamiętasz, tato? Te pudełka po Vibovicie, które udawały małe telewizorki? A może pamiętałaby je tylko mama, bo ciebie nigdy przy tym nie było. Z czego wynikał uśmiech dziecka pojawiający się na samej myśli, że to od niego zależeć będzie obraz „wyświetlany” w kartoniku? Czy stąd, że samo coś zmajstrowało? A może

radość sprawiała mi możliwość wyciapania nożyczkami twarzy tego irytującego dzieciaka, by dziurę po nim wypełnić widokiem bardziej przyjemnym? Nie, chyba nie to. Chodziło o takie wrażenie, czuję je nawet teraz, że coś się wydarzy za moją sprawą, że będę inicjatorem czegoś, jakby przygody, ale bezpiecznej, przyjemności samej w sobie. Coś się wydarzy, ale na pewno nic złego. Nadziejo–ekscytacja. Czyż nie to jest istotą każdej zabawy?

Bramki lotniskowe są niczym portale między światami. Wchodzisz przez jedną, dajmy na to na Okęciu, wychodzisz przez drugą, założmy, że jest to Aéroport Nice Côte d'Azur. Pomiędzy portalami masz czas na dwugodzinną drzemkę. Gdy jesteś w tym stanie dosłownego zawieszenia, możesz czuć spokój, jakiego raczej nie doświadczysz w pociągu, bo podróż pociągiem do Nicei to podróż wielu przesiadek. Z Warszawy można jechać przez Berlin – i właściwie tak może być szybciej – ale aż ośmioma pociągami. Można też wybrać trasę bardziej euroznawczą – przez Czechy, Austrię, Szwajcarię i ta wydała mi się bardziej atrakcyjna. Załedwie sześć pociągów, a jakie widoki! Z Warszawy Centralnej do Bohumina, z Czech do Wiednia. W Wiedniu godzina na obiad i rozprostowanie kości, a potem dalej – przez noc do Zurychu. W Zurychu biegiem na kolejny pociąg, który w niecałe 3 godziny dociera do Genewy. Oby bez opóźnień, bo tam mam zdążyć na pociąg do Lyon–Part–Dieu, a stamtąd jeszcze, wreszcie, na pociąg do Nicei. W sumie jakieś 29 godzin i już jestem, tatusiu! Wolniej się nie dało.

Malowniczo robi się już w okolicach Wiednia. Właściwie ta trasa pozwala obejrzeć od jednej z dwóch stron całe pasmo Alp. Salzburg – Innsbruck – Liechtenstein – Berno – Lozanna – taka górską wycieczka. Dopiero w Szwajcarii trasa zaczyna się oddalać, ale góry wciąż mającą gdzieś na horyzoncie. W Awinionie robi się dość płasko, ale w Nicei znów widzimy te same Alpy co w Genewie, tyle że z drugiej strony. Gdyby iść na przełaj, można by sobie przejść z południowo–wschodniego skraju Francji do Szwajcarii. Ale tobie, tato, się nie chciało. Ani iść, ani jechać, ani lecieć. Zostałeś w wygodnej Nicei i nigdzie się już stamtąd nie ruszyłeś. A my, w zupełnie innym świecie, przez cały ten czas czekaliśmy na ciebie...

Obrazy za oknem przesuwają się, ale jednak, to nie samolot. W samolocie nie odczuwam odległości; nie w ten sposób. Mijam bramkę A – zamykam oczy, mijam bramkę B – otwieram oczy. W pociągu kolejne kilometry mają na mnie odczuwalny wpływ. Oddalam się od swoich codziennych spraw, rośnie dystans pomiędzy mną gdzieś tam, pozostawionym w Polsce, a mną tu, jakby bardziej autentycznym, tu i teraz. Daleka podróż sprawia, że człowiek zaczyna wracać do spraw fundamentalnych, a już taka podróż w szczególności. Czuję to fizycznie, ten narastający stres, oczekiwanie na nie wiadomo co, coraz krótszą odległość między mną, a tym, z czym będę musiał się zmierzyć. I właściwie wiem, że nie chodzi o tego starca, który być może mnie nie rozpozna, ale o coś pomiędzy nami; pomiędzy tamtym mną (a nie dzisiejszym) i tamtym nim (a nie dzisiejszym). Bo wszystko co ważne, rozegrało się już w przeszłości.

Wiesz – mówię sam do siebie, gdy kolejne obrazy przesuwają się – miałeś w życiu wiele doświadczeń. Wiesz, zarabiałeś pieniądze, były lata, kiedy powodziło ci się nieźle, potem lata chude, potem znowu lepsze, takie życie... Ślub, syn, jakieś błahe romanse, dziś bez znaczenia, w końcu choroba i śmierć żony, strasznie to przeżyłeś... Potem śmierć matki. Sumarycznie było tego dużo: wydarzeń, emocji, sukcesów, porażek, pomyłek, rozczarowań. A jednak wszystko to niknie, kiedy trzymasz mnie za rękę, tato, gdy pokazujesz mi swój statek, jestem z ciebie taki dumny, a zwykła wata cukrowa, którą tak rzadko mi kupowałeś (może dlatego właśnie), wydaje mi się niczym przymierze między tobą, a mną, niczym obietnica, że nigdy mnie nie opuścisz. No bo jak? Ale wiesz – mówię sam do siebie, gdy kolejne obrazy przesuwają się – jesteś egoistą, nie chodzi o niego, o ojca, chodzi o ciebie. Jak mogłeś sprawić, by te wspólne chwile, których było tak niewiele (może dlatego właśnie), wyryły się tak mocno w twoim mózgu? Dlaczego to, co przeżywamy w dzieciństwie smakuje mocniej, pachnie bardziej, dotyka głębiej i trwalej zapada w pamięć niż to wszystko, co następuje później? Wiem przecież. Pierwsze cukierki smakują najlepiej, bo ich smak jest dla nas nowy. Magia pierwszych doświadczeń. Moc melodii znanych z dzieciństwa; lepsze piosenki nie powstaną już nigdy. Oczy pełne nadziei, zwrócone w stronę przyszłości, która na pewno będzie dobra, mała rączka

trzymającą twoją grubą dłoń, przekonana, że właśnie tobie może zaufać. Ten obrazek okazuje się wyraźniejszy niż wszystko, co nastąpiło później. Odbitki na dziewiczej kliszy pozostają najtrwalsze. Ktoś mi mówił, że kolejne informacje zapisane na komputerowym dysku łatwiej wymazać niż te, które były tam jako pierwsze.

Skracanie odległości nie działa na mnie dobrze. Nicea jest zbyt blisko. Chciałbym się wycofać, żeby zamiast pociągami, przylecieć jednak samolotem. Szybciej, bez bólu. Ale wiem, że gdybym teraz zawrócił, nie pojawiłbym się tu już nigdy więcej. Odsuwam więc emocje, na tyle, na ile potrafię, udaję rozsądnego mężczyznę, zdejmuję walizkę, wychodzę na peron, a potem usiłuję zachwycić się fasadą Dworca Nicejskiego z 1867 roku, choć na zdjęciach wyglądał lepiej.

III

W mieście, w którym nie zostaniemy obsłużeni, jeśli zamawiając piwo użyjemy angielskiego słowa beer, a przy nieprawidłowym wypowiedzeniu nazwy kanapki w barze sprzedawca nie poda nam jej dotąd, aż za entym razem poprawnie powtórzmy właściwie zaakcentowane określenie, trudno się spodziewać, że przedstawienie się po angielsku umożliwi jakąkolwiek komunikację. Na szczęście personel został uprzedzony o moim przyjeździe. Wystarczyło przedstawić stosowne pismo (po francusku) oraz dowód tożsamości (obyło się bez tłumacza przysięgłego), aby wskazano mi fotel w ogromnym hallu. Postawienie na biało-czarnych kafelkach kilku kolorowych foteli tylko nieznacznie ociepliło surowy klimat tego miejsca. Białe uniformy personelu nie poprawiały wrażenia.

Czekałem długo, ale w końcu pojawił się. Czarnoskóry pielęgniarz prowadził przykurzonego staruszka i rozglądając się pytająco, szedł w moją stronę. Dałem mu znak ręką, że to ja. Człowiek w białym kitlu uśmiechnął się, a ja przez chwilę wpatrywałem się w pomarszczoną twarz prowadzonego mężczyzny, aby dostrzec w niej coś znajomego. W pierwszych sekundach było to trudne, tym bardziej, że staruszek nie patrzył na mnie – najpierw rozglądał się na boki, a potem wlepił wzrok w kafelki podłogi. Gdy jednak

jego twarz na moment, choć jeszcze bezwiednie, ustawiła się na wprost mojej, dostrzegłem znajome rysy czegoś, co znałem z dzieciństwa. Tak, to on. Skinąłem do pielęgniara na potwierdzenie. Mężczyzna w kitlu szepnął coś staruszkowi na ucho, po czym oddalił się, pozostawiając mnie sam na sam z tym kimś, kto wiele lat temu pokazywał mi swój wielki statek i kto podarował mi watę cukrową. Czy powinienem być mu wdzięczny?

– Poznajesz mnie? – zapytałem życzliwym głosem, takim, jakim ludzie często mówią do staruszków, jak gdyby ci byli dziećmi; jakby oczywistym było, że człowiek po przejściu fazy dorosłej, ponownie zmierza w przeciwnym kierunku, by kiedyś, w przyszłości dotrzeć do swej pierwotnej, embrionalnej postaci.

Mężczyzna nie zareagował. Gdy jednak wskazałem mu drogę, na końcu której świeciło nicejskie słońce, wdzierające się przez otwarte na oścież drzwi, bez sprzeciwu ruszył w stronę blasku.

Dom spokojnej starości wyrasta ze zbocza wzgórza Cimiez, gdzieś pomiędzy Muzeum Matisse’a a Narodowym Muzeum Marca Chagalla, w willowej dzielnicy Nicei. Gdzieś tam znajduje się także przepiękny franciszkański ogród, prowadzony przez mnichów. Pamiętałem to miejsce z mojego jedyne go wyjazdu do tego miasta, służbowego; niewiele miałem czasu na zwiedzanie. Kilka wolnych godzin dość przypadkowo przeznaczyłem wtedy właśnie na Cimiez. Pamiętam, że już miałem schodzić po stromych schodach w dół, gdy w ostatniej chwili, obok ściany kościoła, dojrzałem uchyloną furtkę. Tak znalazłem cmentarz pełen przeszywających dreszczem rzeźb, z zapierającym dech w piersiach widokiem na usadowione w dole, nadmorskie miasto. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że gdzieś obok, może w parku, a może na ulicy, mogę cię spotkać, tato. Co bym zrobił, gdybyśmy się spotkali? Co ty byś zrobił, gdybyś mnie zobaczył? Czy wtedy twój los potoczyłby się inaczej? Albo mój?

Teraz jednak nie szliśmy w górę, w stronę klasztoru, ale schodziliśmy w dół, w kierunku pełnego gwaru miasta. Krok za krokiem, powoli przesuwaliśmy się krętymi uliczkami w stronę morza, co potwierdzały nieśmiało podmuchy ciepłego powietrza o rybiem zapachu. Obok siebie

czułem obecność starca, będącego podobno tym właśnie człowiekiem, którego przez tyle lat szukałem. Tak długo na ciebie czekałem, tato; za długo.

– Czy pamiętasz mnie? – odważyłem się w końcu ponowić to pytanie. – Czy wiesz, kim jestem? – nie dawałem za wygraną.

Mężczyzna zatrzymał się w pół kroku. Popatrzył na mnie, jak przez mgłę. Po chwili jednak jego spojrzenie nabrało ostrości, jakby coś próbował sobie przypomnieć, aż w końcu wypowiedział wątpliwe „tak”, a dokładniej:

– Tak tato, czy pójdziemy na pączki?

„Tato?” – powtórzyłem drwiąco w myślach, zupełnie zdezorientowany.

– To ja jestem twoim synem, tato. Nie pamiętasz? Zapomniałeś, że masz syna? – odpowiedziałem z wyrzutem, jakby karcąco, zanim naprawdę dotarło do mnie to, co właśnie usłyszałem. Ale zaraz, zaraz... Moje myśli zaraz zaczęły obracać w głowie nową kostkę Rubika. Czy dziś, mając sześćdziesiąt parę lat nie przypominam tego kogoś, kto był moim dziadkiem, a kogo znam tylko z jednego, czarno-białego zdjęcia? Czy faktycznie nie może być tak, że wyglądam tak, jak mógł wyglądać ojciec mojego ojca, gdy ten ostatni widział swego ojca po raz ostatni?

Ojciec przez chwilę wpatrywał się we mnie z ciekawością, ale potem ostre spojrzenie znów osunęło się pod wpływem mgły, która spowiła jego oczy. W końcu, zrezygnowany, wyciągnął do mnie dłoń, tak jak mały chłopiec podaje ją dorosłemu.

– Pójdziemy na spacer? – dopytywał, a w jego wątplym głosie wyczułem zarówno ufność, jak i nadzieję. Tak jak w pytaniu dziecka, które czegoś bardzo pragnie, ale nie jest pewne, czy uda mu się ubłagać dorosłego.

IV

Niestety, nie potrafiłem znaleźć pączków w Nicei. Kandyzowane owoce, tarty, makaroniki – owszem, nie brakuje w tym mieście rozmaitych słodkości, ale pączków, jakie pamiętasz tato ze swego dzieciństwa, raczej nie znajdziesz.

– U Bujaka są dobre pączki – mówisz z nagłym ożywieniem, i co ciekawe, z nienaganną polszczyzną, jakbyś posługiwał się nią codziennie.

– Owszem, tato, ale nie jesteśmy w Kielcach. Nie widzisz? Promenada Anglików, Morze Śródziemne – pokazuję mu, ale nie robi to na nim żadnego wrażenia, tak jakby te dwie sprawy zupełnie się nie wykluczały, jakby Nica i Kielce łączyła nie tylko podobna liczba mieszkańców, ale i ta sama czasoprzestrzeń; jakby się na siebie nakładały.

Poza tym Kielce były krótko – wyjaśniam mu. Miałeś ze dwadzieścia lat, gdy zaciągnąłeś się na statek. Pamiętasz? Nad morzem poznałeś Marię, Marysię, pamiętasz? Mieszkała w Gdyni, potem zamieszkaliście razem. Miałeś też syna, wiesz? Nie w głowie były ci pączki, czasem kupowałeś mi watę, kiedyś pokazałeś nawet ten swój statek. Pamiętasz? Byłem z ciebie taki dumny, tato. Dlaczego nie wróciłeś?

On jednak milczy. Idzie ze mną spokojnie, za rękę, można powiedzieć – grzecznie. Słucha mojej opowieści, jak gdybym opowiadał bajkę. Nie wiem, czy ma świadomość, że ta historia w ogóle go dotyczy. Staram się, szukam chwil, momentów, wrażeń, które mógł zapamiętać, a które dziś mogłyby wybudzić go z letargu. Ale szybko się poddaję.

– Kupisz mi pączka, tato? – powtarza z tą samą nadzieją w głosie.

– Chodźmy na lody – odpowiadam z rezygnacją, a jego oczy znów na moment rozbłyskują szczenięcą radością.

Kiedy jemy lody, opowiadam mu, a on wydaje się słuchać, że kiedyś byłem już w Nicei. Byłem tu w delegacji, z kolegami. Nie przyszło mi wtedy na myśl, że właśnie w tym mieście mógłbym cię spotkać, tato. Czy gdyby tak się stało, wtedy też poszlibyśmy na lody?

Jego oczy uśmiechają się, kiedy dojada wafelka. Siadamy na plaży, na której kamyki nieco uwierają w pośladki, a ja uświadamiam sobie, że mój tato jest bardzo miłym chłopcem. Kiedy patrzy w morze, w falach odbijają się jego marzenia. Nagle wiem, o czym myśli. Oplatam jego szyję ramieniem i mówię, jakby naprawdę był moim synem:

– Zostaniesz marynarzem, na pewno.

A wtedy on odwraca do mnie twarz i śmieje się, śmieje się tak szczerze, jakby naprawdę miał kilka, najwyżej kilkanaście lat i jakby naprawdę widział

we mnie ojca, którego tak bardzo potrzebowałem. To takie skomplikowane...

Na górę wjeżdżamy już autobusem, zupełnie się do siebie nie odzywając. Przystanek, na którym wysiadamy, znajduje się przy samym ośrodku. Kiedy ponownie wchodzimy do przestronnego lobby, odzywam się po raz ostatni podczas tego spaceru.

– Kiedyś zabiorę cię na pączki. Może nawet na te w Kielcach. Ale musisz wytrzymać jeszcze rok. Wrócę po ciebie, ale potrzebuję czasu, aby znaleźć ci odpowiednie miejsce. Jeśli naprawdę czegoś pragniesz, być może się spełni. Jeśli chciałbyś jeszcze raz zjeść pączka, niech ta myśl trzyma cię przy życiu. Dasz radę, łakomczuchu, prawda? – ledwo udaje mi się wypowiedzieć te słowa, a czarnoskóry pielęgniarz już jest przy nas, biorąc mojego ojca pod ramię.

– Tchao! – odpowiada radośnie staruszek i macha mi na pożegnanie zupełnie tak, jakbyśmy ponownie mieli spotkać się jutro.

Zostaję w hallu sam, ze stertą biletów powrotnych w wewnętrznej kieszeni marynarki.



Paweł Rzodkiewicz

Uczucia i granice

Rzuciłem świadectwo na stół i wszedłem do mojego pokoju. Usiadłem na krześle, a następnie włączyłem komputer. Czekając, aż ten stary przyk się włączy, spojrzałem za okno. Drzewa miały piękne zielone liście, słońce świeciło, a ciepło jakie odczuwałem na skórze od promieni słonecznych przebijających się przez szkło mojego okna, było niezwykłym uczuciem. Zapach świeżego powietrza i śpiew ptaków tworzył idealną kompozycję dla mózgu. Chociaż znałem tę okolicę jak własną kieszeń, to wszystkie komponenty tworzyły atmosferę, która nadawała temu miejscu nowego życia.

Zerknąłem za siebie, a komputer już się włączył. Rozsiadłem się wygodnie na krześle, by następnie zniknąć w świecie gier i zabaw.

Nim się zorientowałem, słońce zaszło, a księżyc zaczął wschodzić. Zamknąłem okno, by nocny chłód nie oziębił pokoju. Ku mojemu zdziwieniu w domu wiało ciszą i pustką, podobnie jak w kosmosie. Uznałem, że wszyscy już śpią, dlatego zachowywałem się jak mysz pod miotłą. Kiedy miałem ponownie zanurzyć się w wirtualnym świecie, odwróciłem się. Na ścianie wisiała półka z książkami. Przypominałem sobie, że w te wakacje miałem czytać książki, ale szybko o nich zapomniałem i wróciłem do grania.

Zegar wskazywał już w pół do trzeciej, jednak pomimo samozamykających się oczu i późnej godziny nie przerwałem grania. Chciałem kontynuować, ale hałas jaki robiłem, obudził rodziców. Zirykowani weszli do pokoju i kazali mi iść spać. Dostrzegłem ich złość, dlatego nie dyskutowałem i posłusznie położyłem się do łóżka.

Rano obudził mnie nieznośny brzęk budzika. Wciąż z zamkniętymi oczami badałem teren dookoła. Niestety telefon znajdował się po drugiej stronie pokoju. Lekko wzburzony tym faktem wstałem z łóżka i wyłączyłem budzik. Rozpierała mnie złość ze względu na moje zapominalstwo. Zapomniałem wyłączyć alarmy! Wiedziałem, że nie zasnę ponownie, więc ubrałem się, a następnie zszedłem na dół, by zjeść śniadanie.

Rodzice siedzieli już przy stole i jedli śniadanie. Przeszedłem obok nich, a cisza była tak intensywna, że wywierała na mnie nacisk. Odnosiłem wrażenie, że byli bardzo źli bądź też czekali. Ale na co? Presja wręcz rozrywała mnie od środka.

– Co się stało? Coś poważnego, a może coś nabroilem? – powiedziałem żartobliwie.

Nie odpowiedzieli... i znów zapadła nieznośna cisza. Chciałem czymś zająć mózg, dlatego też udałem się do kuchni, by zrobić sobie śniadanie.

Usmażyłem jajecznicę i zaparzyłem herbatę. Usiadłem przy stole naprzeciwko rodziców. Metal uderzający o porcelanę odebrał powagę sytuacji. Pozwoliło mi to odetchnąć z ulgą, ponieważ atmosfera była dość gęsta. Jednak nie trwało to zbyt długo.

– Synku, powiedz mi, czemu siedziałeś do takiego późna? – powiedziała mama z troską.

Nie miałem sensownych argumentów, dzięki którym mógłbym się jakkolwiek obronić. Pozostała mi tylko szczerłość.

– Miałem ochotę? – odparłem z nutką formy pytającej w głosie.

Rodzice milczeli. Nawet ja zastygłem na chwilę, zapominając o śniadaniu. Czekałem tylko na odpowiedź. Zacząłem się nadmiernie pocić, a nogi trzęsły mi się niczym galareta.

– Za dużo wczoraj grałeś. Masz szlaban na komputer! – powiedział tata, marszcząc brwi.

Wiedziałem, co mnie czeka, ale i tak emocje przejęły nade mną kontrolę.

– Dlaczego?! – krzyknąłem. – Gram tyle samo, co moi koledzy!

Po tym, jak to powiedziałem, uświadomiłem sobie mój słaby dobór argumentów.

– Nie interesuje mnie to, ile grają twoi koledzy – powiedział tata, przewracając oczami.

Wkurzony tym, co mój stary powiedział, poszedłem do pokoju i z hukiem zamknąłem drzwi. Położyłem się na łóżku, a łzy zaczęły spływać mi z oczu. Płakałem tak przez dziesięć minut, dopiero wtedy byłem w stanie jakkolwiek zebrać myśli. Wstałem i odpaliłem komputer. W międzyczasie znalazłem kartkę, by zanotować sobie wszystkie ważne informacje. Chciałem znaleźć coś, co przekonałoby rodziców, że nie gram za dużo.

Zacząłem od szukania artykułów dotyczących czasu spędzanego przed komputerem. Żaden mi nie pomógł. Prawie każdy wspominał o maksimum czterech godzinach dziennie.

Nie miałem już pomysłów, dlatego posunąłem się do ostateczności; kłamanie. Pomimo tego, że brzydzę się kłamstwem, to tym razem podjąłem się tej nieczystej zagrywki. Plan był niezwykle prosty: grać, kiedy rodziców nie ma w domu, a gdy wrócą zadeklarować, że nie grałem cały dzień. Zegar wskazywał w pół do siódmej. Rodzice zaraz wyjdą do pracy. Położyłem się na łóżku, by w ciszy nasłuchiwać ich ruchów.

Dziesięć minut minęło, a oni już krzyczeli z dołu, że idą do pracy i wrócą później. Usłyszałem skrzypot otwieranych drzwi wejściowych i wiedziałem, że to jest znak dla mnie. Poczekalem jeszcze chwilę, a gdy byłem już pewien, że jestem sam w domu, rozpocząłem granie.

Osiem długich godzin grania, ale dla mnie to jak pstryknięcie palca. Nim się zorientowałem, usłyszałem rodziców na parterze. Od razu zrobiłem wielkie oczy i zacząłem nadmiernie się pocić. Mój zmysł słuchu wyostrzył się. Słyszałem każdy stopień, po którym wchodziła mama. Bez dłuższego zastanowienia wyłączyłem komputer z prędkością światła. Kroki stawały się coraz głośniejsze, a ja rzuciłem się na łóżko. Modliłem się, by wyłączał się szybciej. Zakryłem się kołdrą, gdy nagle usłyszałem pukanie. Rzuciłem ostatnie spojrzenia na monitor i zacząłem udawać.

– Co chcesz? – powiedziałem, próbując stworzyć wrażenie zmęczonego.

– Śpisz? – zapytała zszokowana mama.

– Dzisiaj bardzo wczesnie wstałem, dlatego próbowałem zasnąć.

Modliłem się tylko by to, co powiedziałem wystarczyło jej, gdyż komputer dalej się wyłączał. Chwile wydawały się godzinami. Gdyby mama weszła do pokoju, to chyba bym eksplodował.

– Rozumiem, synku. To ja ci nie przeszkadzam – powiedziała matczynym głosem.

W tym momencie poczułem jakby ktoś zdjął pistolet, którym celował mi prosto w potylicę.

Czy gra jest warta świeczki? Grałem teraz w rosyjską ruletkę. Każde kłamstwo mogło okazać się tym ostatnim. Wiedziałem, że ten sam argu-

ment nie zadziała dwa razy. Jednak od razu odrzuciłem taką myśl i wróciłem na ścieżkę, którą zamierzałem kroczyć. Z jednej strony miałem poczucie winy, a z drugiej byłem z siebie dumny. Nie wiedziałem, dlaczego. W tym momencie miałem dość i wyłączyłem całkowicie myślenie. Zmęczenie odezwało się natychmiastowo. Moje już bardzo zmęczone ciało oraz umysł, zasnęły.

Obudziłem się gdzieś koło północy, prawdopodobnie przez ciągłe uderzenia ciężkich kropel ulewnego deszczu o szybę. Mozolnie otworzyłem sklezione powieki. Wstawszy z łóżka, skierowałem się ku oknu, by pochłonąć wzrokiem pogodę.

– Mogę obserwować taką pogodę całymi dniami – powiedziałem ociężałym głosem.

Rozciągnąłem się, aby pobudzić trochę ciało. Naczynia stojące na moim parapecie zasłaniały widok, więc przestawiłem je na komodę. Podstawiłem sobie krzesło i podniosłem roletę, by mieć widok na przepiękną ciszę nocy przerywaną przez ulewę, która nadawała jej niesamowitej atmosfery. W międzyczasie włączyłem komputer.

Patrzyłem na ten zapierający dech w piersi krajobraz tak długo, że zegar wskazywał już prawie pierwszą. Pierwszy raz zdarzyło mi się zapomnieć o włączonym komputerze. Opamiętawszy się, usiadłem na krześle naprzeciw komputera i zacząłem rozgrywkę.

Wybiła godzina czwarta rano, a ja wciąż w grze. Po tak długiej sesji czułem się już zmęczony, dlatego wybrałem się do spania. Moment, w którym oderwałem wzrok od komputera, był niczym przeniesienie się do innego świata. Mój umysł całkowicie utracił kontakt z rzeczywistością. Czas i przestrzeń dookoła zdawały się jakby przestały istnieć. Jednak ciało wiedziało co zrobić. Nogi zabrały mnie do łóżka i krótko po tym jak się położyłem, zasnąłem.

Początkowo myślałem, że pociągnę to aż do końca wakacji, ale po kilku dniach zacząłem zauważać dwie możliwości zakończenia tego przepięknego scenariusza. W jednym z nich sam się przyznaję, a w drugim rodzice mnie przyłapują na oszukiwaniu.

Minął już cały tydzień takiego trybu życia. Była już niedziela, a mi za każdym razem w jakiś sposób udawało się na styk uniknąć przyłapania na gorącym uczynku – oszukiwaniu rodziców. Jednak odczucia związane z uciekaniem od odpowiedzialności i wiedzą, że imperium kłamstw, które budowałem, może w każdej chwili runąć, przeciążały mnie. Wraz z narastającym stresem mój stan zdrowotny trochę się pogorszył. Częste bóle głowy i słabe poczucie psychiczne stały się moją codziennością.

Nazajutrz wstałem z bólem głowy i z innym nastawieniem. Ze względu na sytuację w jakiej się znajdowałem, postanowiłem, że zrobię coś inaczej.

– Dzisiaj nie będę grać w ogóle – powiedziałem do siebie. Wiedziałem, że nie powinienem sobie tak od razu zabierać wszystkiego, ale chciałem zaryzykować.

Kiedy wstałem, dom był już pusty, dlatego mogłem robić, co chcę. Bez pośpiechu ubrałem się, a potem zrobiłem śniadanie. Uznałem, że dzisiaj ugotuję coś specjalnego, jednak kiedy się do tego zabrałem, poczułem, ciągnącą mnie chęć do grania. Mimo tego spróbowałem wyrzucić tę myśl z głowy i całkowicie oddać się gotowaniu.

Po długiej godzinie męczenia się z próbą odnalezienia zamglonego przepisu w mojej pamięci, zrobiłem TACO! Ze smakiem zjadłem to, co przyszło mi stworzyć, a potem...

– Co? – powiedziałem z konsternacją w głosie.

Obszedłem cały dom wzdłuż i w szerz, ale nie znalazłem nic ciekawego. Nagle w mojej głowie pojawił się ambitny plan, jaki miałem na początku wakacji, ale go odrzuciłem. Chciałem coś porobić z kimś, a nie samemu. Zdecydowałem więc, że zadzwonię do kolegi, z którym najczęściej grałem.

– Ej stary, chcesz iść pograć w nogę? – spytałem wprost.

v Coś ty, myślisz, że mi się chce?! Odpalaj kompa i włączaj grę. Nowa aktualizacja jest!

– Nie, dzięki, może jutro – odparłem z lekką nutką rozczarowania w głosie i rozłączyłem się.

Na samo hasło „aktualizacja” moja chęć do grania wzrosła diametralnie, ale postanowiłem nie rzucać słów na wiatr i skontaktować się z resztą kolegów.

Usiadłem na krześle, a następnie wybrałem ostatni numer. Czekałem, czekałem i czekałem. Nic. Usłyszałem jedynie pocztę głosową. Chwila ciszy zapanowała w pokoju. Odłożyłem telefon ze zdecydowaniem za dużą siłą, ale zbyt małą by go zniszczyć. Ręce mi opadły, a z oczu popłynęły łzy. Nie wiedziałem, co mam robić. Zostałem sam. Wszyscy chcieli tylko grać. Przy każdym oddechu jękałem się, a łzy płynęły jak woda w rynnie podczas ulewy. Poszedłem do pokoju, gdzie runąłem na łóżko tak bezwładnie, jakby z mojego ciała zostało wysane wszelkie życie. Płakałem i płakałem z bezsilności. Złość i smutek wręcz przejęły nade mną kontrolę. Przeklinałem rodziców za te ich głupie zasady. Zastawiałem się, co oni mają w głowie, by ograniczać mi granie i zostawiać mnie z niczym do roboty.

W końcu po długim czasie opanowałem się. Przestałem histeryzować i zabrałem się do planowania. Chociaż moja chęć zagrania w cokolwiek narastała, to słowo się rzekło i nie zamierzałem go łamać. Zegar wskazywał już jedenastą rano. Miałem jeszcze sześć godzin do rozplanowania oraz do powrotu rodziców z pracy. Wziąłem ołówek i zacząłem pisać na czystej kartce.

Plan był prosty, obalić granicę ustaloną przez rodziców. Na liście umieściłem jeszcze jedną ważną dla mnie rzecz, czyli czytanie. Od razu zabrałem się do pracy. Zacząłem od przygotowywania argumentów na rozmowę. Wypisywałem wszystko, co zdawało mi się dobrym punktem odniesienia. Kiedy myślałem, że mam potrzebne mi argumenty, upewniłem się jeszcze raz. Odłożyłem kartkę na bok i wtedy przypomniałem sobie o czymś.

– Jak się mam z taką ilością grania? – powiedziałem na głos lekko przestraszony.

W tym momencie mój plan się zmienił, zamiast iść czytać zacząłem analizę jak się z tym mam. Siedzę cały dzień przed komputerem i okłamuję rodziców. Kiedy próbuję nie grać i trzymać się zasad ustalonych przez mamę i tatę, to umieram z nudów. Pomimo że mam mnóstwo kolegów, to żaden nie chce iść ze mną na dwór. W dzieciństwie moich rodziców wychodzenie na dwór było formą spędzenia czasu ze znajomymi, a teraz?! Jak mam spędzać czas nie przed komputerem, jeżeli jestem sam jak palec? Ale dalej

to nie to. Jak się mam z tym, że marnuję tyle cennego czasu przed głupim komputerem?!

– Dlaczego tyle gram? Jak mam spędzać czas ze znajomymi? Jak oderwać się od tego komputera? – pytałem siebie, a odpowiedzi nie znałem.

Znowu się załamane. Cały tydzień bólu głowy, słabego samopoczucia, ale na co? Czułem się jak w pułapce. Nie chcę tyle grać, ale chcę spędzić czas z rówieśnikami. Oni za to chcą grać, ale nie chcą wychodzić na zewnątrz. Nie chcę okłamywać rodziców, ale muszę ponieważ narzucili mi granicę, która w pewnym sensie każe mi ograniczać czas z kolegami.

– CO DO JASNEJ CHOLERY MAM ZROBIĆ?!!!! – krzyknąłem, nie mogąc już dłużej dusić moich emocji.

Wstałem i zacząłem chodzić po całym domu. Zmarszczyłem brwi, zęby miałem zaciśnięte tak mocno, jakbym miały mi zaraz pęknąć. Tupiałem w podłogę, próbując dać upust złości. Nigdy przedtem nie wpadłem w taki szal.

Długa godzina minęła, nim udało mi się całkowicie uspokoić. Post factum uważam, że jestem przeszczeniwy, że sobie tak szybko to uświadomiłem. Gdybym wybuchnął tak przy rodzicach to wiem, że na kilkunastu rozbitych kubkach by się nie skończyło.

Zostało jeszcze pięć godzin do powrotu rodziców. W tym czasie zamierzałem zająć się czymś innym, czyli czytaniem. Po tej godzinie szalu umysł miałem czysty jak lza. Wziąłem coś co wiedziałem, że będzie proste do czytania. Wybór padł na nowelkę.

Czas mijał dość szybko, z każdą przeczytaną stroną chęć czytania dalej narastała. Była to dla mnie nowość. Po całym tygodniu grania powiedziałbym, że czytanie jest czystą przyjemnością.

Po dwóch godzinach wstałem, aby rozruszać mięśnie. Mój wzrok z automatu skierował się na komputer. Nie rozumiałem dlaczego, ale i tak nie zamierzałem z niego korzystać. Kiedy miałem wrócić do czytania, poczułem, że to nie jest to samo uczucie co za pierwszym razem. Nie chciałem czytać, chciałem grać. Pomimo mojego postanowienia ledwo byłem w stanie powstrzymać się od włączenia komputera i zagrania przynajmniej jednej rundki.

– Ciekawe... – po całym tygodniu grania, zrobiłem coś nowego i znowu chcę pograć. Odnoszę wrażenie, że odmiana wywołała pewnego rodzaju podekscytowanie, a kiedy zacząłem czytać jakoś się wciągnąłem. Jednak podświadomie przekonałem się o tym, że czytanie nie jest tak proste jak granie, gdyż książka tylko opisuje obrazki, a komputer jest w stanie wyświetlić nawet kilkaset obrazów na sekundę. – Prawdopodobnie dlatego wolę grać niż czytać. – powiedziałem do siebie lekko zdziwiony.

Zmęczony tym wszystkim poszedłem spać.

Drzemka trwająca kilka godzin, dla mnie trwała kilkanaście minut. Ociągając się, wstałem z łóżka, a potem zszedłem na parter. Zegar wskazywał już prawie siedemnastą. Usiadłem na krześle w oczekiwaniu na powrót rodziców.

Po pięciu minutach usłyszałem dźwięk silnika samochodu. A rodzice chwilę później byli już w salonie. Na ich twarzach malowało się zdziwienie, ale to się szybko zmieni.

– Mamy sobie do pogadania... – oznajmiłem bardzo poważnym tonem.

Słyszając moją powagę, tata przyjął kamienną twarz i zasiadł do stołu, a mama lekko zdezorientowana usiadła obok niego.

– W takim razie o czym chciałeś pogadać? – bez dłuższego zastanowienia tata przejął głos.

– No to zacznę od samego początku – powiedziałem po czym zacząłem opowiadać.

Tata zmarszczył brwi, a mama szerzej otworzyła oczy. Ale potem coś się zmieniło, wyraz ich twarzy złagodniał, jakbym ich zaciekawiał. Spodziewałem się takiej reakcji, gdyż miałem wszystko przemyślane.

Kiedy skończyłem długi monolog, zapadła cisza. Od tego momentu zależało wszystko. W zależności jak to przyjmą rodzice, może zmienić się wszystko. Emocje wzięły nade mną górę. Łzy leciały mi jak z cebra. Nogi drżały, ręce ściszałem w pięści, a zęby miałem ściśnięte. Ciszę przerywałem moim łkaniem, jednak jej ciężar czułem bez przerwy.

Dopiero kiedy przestałem płakać rodzice dali mi odpowiedź.

– Przede wszystkim chciałbym ci pogratulować przyznania się...

– powiedział tata.

Nagle mama wstała i przytuliła mnie tak mocno, jak tylko mogła. W tym momencie poczułem ulgę. Łzy ponownie zaczęły mi lecieć, ale tym razem ze szczęścia.

– Normalnie dostałbyś surową karę! – powiedział tata, wręcz krzycząc.
– Jednak widzę, że żałujesz, dlatego tego nie zrobię. Cieszy mnie też to, w jaki sposób podszedłeś do problemu. Pomimo tego, że przekroczyłeś ustaloną przez nas granicę, czujesz, że to był błąd. A jakby tego było mało, to udało ci się wyciągnąć wiele przełomowych wniosków – dodał z uśmiechem i łzą spływającą mu po policzku.

Wtedy zrozumiałem, że przekroczenie tej granicy było błędem. Uświadomiło mi to też, że jedyną osobą, która jest w stanie ustalić granice, jestem ja sam. Człowiek będzie popełniał błędy przez całe życie, jednak za każdym razem ma szansę, aby je poprawić i nauczyć się czegoś nowego.



Hanna Stranz

Wrzosowisko

Granica pomiędzy światem żywych i umarłych nigdy nie była prostą, bezlitośnie wytyczoną linią. Nie była też murem, ani przepaścią, ani błękitem rozciągającym się pomiędzy ziemią a piekielną czeluścią.

Przybierała za to postać fioletowordzawej szarfy Wrzosowiska, rozciągającej się na trzy strony świata, biegnącej dalej niż jest w stanie sięgnąć oko i jeszcze trochę, w nieskończoność. Z czwartej zaś, na końcu wydreptanej wśród kwiatów ścieżki, za zagajnikiem płaczących wierzb, znajdowała się równie bezkresna skarpa, za której brzegiem kłębiły się spienione chmury i porywiste wiatry.

Miejsce to, zawieszone gdzieś pomiędzy Wszędzie a Nigdzie, na płaszczyźnie nieosiągalnej dla bytów fizycznych, dostępnej jedynie dla cząstek eterycznych i półboskich, zamieszkiwały na stałe jedynie mary ludzi zbyt wielkich, by pozostać śmiertelnymi i sama Śmierć. To ona pełniła honory przewodniczki i opiekunki wszystkich zagubionych dusz, zrozpaczonych zjaw i innych cieni, których czas się już skończył, które musiały wyruszyć dalej, ku Wszechczasowi i Wszechrzeczy, wpierw przeprawiwszy się przez jej królestwo. Obowiązki te nadano jej już na początku istnienia, wraz z poleceniem noszenia ich na sobie nieprzerwanie i niestrudzenie, aż po kres czasu.

I choć każdy z odwiedzających to miejsce zdawał się być tym faktem zszokowany, Śmierć wykonywała swoje, przeklinane przez nich, zadania dumie i wiernie. Delikatnie zabierała więc każdą z dusz z powierzchni ziemi i przenosiła je na łoże z wrzosów i traw, cierpliwie wysłuchiwała szlochów i krzyków, bez grymasu zносиła najsroźsze nawet wyzwiska.

– Jak ty to robisz? – zapytał ją pewnego dnia Mistrz Polikarp, jej druh w zadumie, gdy przechadzała się pomiędzy posągami wykutymi z brązu i duszy, sylwetkami ludzi unieśmiertelnionych przez swoją własną potęgę,

które szerokimi łukami ustawiono pomiędzy zielenią i fioletem bujnej roślinności. – Czy nie męczą cię ich ciągle wrzaski i skargi na los? Mnie samego to nuży, a przecież, tak skupieni na samych sobie, ledwie mnie dostrzegają, gdy tu wchodzą.

– A czy ty byłeś od nich jakkolwiek inny, gdy cię zabierałam? – odpowiedziała mu zaczepnie. – Wiergaleś tak samo, wszyscy tak się zachowują. Są tak bardzo przerażeni, tylko tyle. Przecież nikt nie umie umierać.

Naprawdę tak myślała. Wszechwidzącymi oczyma często przyglądała się przecież życiu, nie samemu jego końcowi, lecz trwaniu. Podziwiała więc mdłą słodkość codzienności i rozbłyski nagłych przygód, wszystkie wielkie zwycięstwa, okupione ponurą ofiarą strat i odradzające porażki, w których zroszonymi łzami gruncie, istnienie mogło zatoczyć swe szerokie koło. Widziała życie przy narodzinach, w dojrzewaniu i w pełnym rozkwicie, i wszędzie pomiędzy, przy każdym oddechu i mrugnięciu powiek. Było tak kruche, tak delikatne, jak rajski kwiat albo drzewko owocowe, wczesnowiosenne, ledwo wyprostowane. I za każdym razem, gdy przyszło jej do ścinania go, coś ją kuło w piersi, w tym miejscu, gdzie u ludzi znajduje się serce. Gdyby miała duszę, myślała w takich momentach, rozdzierałaby się ona teraz na strzępy z żalu.

Czy tak to czują ludzie, kiedy po nich przychodzę, pytała samą siebie, siedząc samotnie na skarpie pomiędzy światami, gdy obłoki i wiatry gnały beztrąsko pod jej stopami. Wiedziała, że czasem jej nadejście oznacza dla nich ukojenie w cierpieniu i bólu, ba, niektórzy sami przyzywali ją w aktach desperacji i rozpacz. A jednak, zawsze w ich oczach dostrzegała jakąś tęsknotę za właśnie uciekającym z nich życiem, wszystkimi „co, jeśli”, za utraconymi szansami i marzeniami porzuconymi gdzieś na przestrzeni lat. Nawet ci, którzy wydawali się być na to gotowi, których widywała wśród spełniających się na jawie sennych majaków, w chwili jej nadejścia patrzyli na nią lękliwie, a ich wargi drżały od tyłu niewypowiedzianych słów i roztrzęsionych pytań, że Śmierć sama traciła na ułamek sekundy mowę widząc to. Dopiero nadany jej dar-przekleństwo przewodnika z zaświatów pomagał jej się w takich momentach uspokoić. Mogła przechodzić przez to

tysiące tysięcy razy, doświadczenie końca zawsze jednak dotykało ją równie mocno jak samych umierających. Czasem miała wręcz wrażenie, że doznaje wtedy samej siebie, tego śmiertelnego przerażenia i żalu nad czymś, co przemija. Jakby jej własna moc pochłaniała ją całkowicie i nieodwracalnie.

Uczucia te, jakkolwiek gorzkie, ratowały ją przynajmniej przed wypaleniem i obojętnością wobec ludzi. Często widywała je u swojego rodzeństwa, gdy przybywali do niej w swoich sprawach, i za każdym razem odrzucało ją to równie mocno jak bolało. Wojna miała w zwyczaju czerpać z dusz śmiertelników, rozzwierzęcać je, wytaczać krew z ich żył, do ostatniej kropelki, do ostatniego tchnienia, dopóki Śmierć nie wyciągała ich w końcu z jej ognistego uścisku. Podobnie Zaraza, ona również pasożytowała na nich, lecz w sposób cichy, pozbawiony bitewnej wrzawy – wołała powoli wkradać się do ich trzewi, dusić gorączką i szarpać dreszczami, wśród jęków i cicho odmawianych modlitw. Głód zaś sam w sobie był pijawką, jego jedynym przeznaczeniem było wyszarpywanie z ludzi tkanek, wypychanie ze stawów kości i oblekanie ich w cieniutką, niedopasowaną do nowej sylwetki, warstwę poszarzałej skóry. Grasowały po całym świecie, zwykle razem, w rozszalałym, bezlitosnym korowodzie nieszczęść, czasem rozbiegały się też na wszystkie strony, by siać puste ziarna gorzycy, które Śmierć miała w obowiązku zebrać pod postacią ponurego żniwa.

Czasem jednak nie one, lecz szpetne koleje ludzkiego losu, podsuwały Śmierci jej kolejną ofiarę. Kobieta, nad którą stała teraz, nie umarła z głodu, ani z powodu choroby, a ciemny zaułek, w którym leżała z pewnością nie był polem bitwy. Życie odebrało jej ostrze noża, które wbito kilkakrotnie w jej serce. Krew rozlała się na koronkę jej bluzki i szarość bruku, znacząc je czerwienią równie intensywną jak podeszwy szpilek, które nosiła.

Śmierć przyklękła przy niej ostrożnie, objęła troskliwie.

– Opuść już – powiedziała. – Wiesz, co to oznacza. Bądź spokojna. Nie ma już nic, z czym musisz walczyć.

Oczy umierającej wypełniły się łzami, a później mglistą pustką. Jej sylwetka znieruchomiła, zapadła się w sobie. Śmierć uśmiechnęła się smutno, muskając jej czoło swoimi wargami. Uniosła się z kolan. W jej ramionach, rozedrgana i blada, znajdowała się dusza zmarłej. Ciało zaś wciąż

spoczywało na ziemi, pierwsze kropelki nocnego deszczu spływały po nim jak łzy – nad nim Śmierć nie miała już żadnej władzy.

Płowa klacz, na której grzbiecie zwykła przewozić dusze, uderzyła niepokojnie kopytem w bruk uliczki, jakby chciała ponaglić swoją jeźdźczynię w jej zadaniu. Uspokoila się dopiero czując znajomy ciężar na grzbiecie. Stanęła dęba, jej rzenie zlało się z rykiem burzy. W następnej chwili mknęła już przed siebie. Prześcignęła grzmot i błyskawicę, przedarła się przez barierę pomiędzy światem fizycznym a niematerialnym. Uderzenie serca potem cwałowała już po porośniętej wrzosami ziemi, mijała brązowe pomniki. Zatrzymała się dopiero przy krawędzi skarpy.

Śmierć zsiadła z konia, trzymaną w ramionach duszyczkę ułożyła na posłaniu z kwiatów, pod baldachimem z wierzbowych witek. Jej obowiązek nie kończył się na przeniesieniu ducha na granicę pomiędzy światami, nigdy na tym nie polegał. Wrzosowisko było jedynie mostem pomiędzy nimi, dusza musiała sama go przekroczyć. Miano Psychopompa, co oznacza przewodnika dusz, jakie nosiła Śmierć, nadawało jej zaszczyt towarzyszenia jej w tej drodze.

Zmarła ocknęła się w końcu. Zerwała się z miejsca z głębokim westchnięciem, jakby obudzona z koszmaru, rozejrzała się dookoła rozgorączkowana. Spojrzała na Śmierć szeroko otwartymi oczyma.

– Kim... Kim ty jesteś? – wydusiła z siebie. Cała się trzęsła, skulona w sobie niczym przerażone, osamotnione dziecko.

– Przecież już to wiesz – odparła Śmierć spokojnie.

Chciała przy niej przyklęknąć, nie zdążyła jednak, bo kobieta zerwała się na nogi z jękiem bólu i rzuciła do ucieczki. Mogła tylko obserwować ten szaleńczy, zdesperowany bieg i chaotyczność jego ruchów. Słyszała też krzyk, przebijający się przez zwyczajową ciszę łąki. Głos słabł jednak stopniowo, im dalej znajdowała się dusza, im bardziej zdawała sobie ona sprawę, jak bezcelowy jest ten pęd. W końcu upadła, z beznadziei i wyczerpania, wtuliła twarz z wrzosową poduszkę.

Śmierć poczekała dłuższą chwilę, nim ruszyła w jej kierunku. Choć bardzo chciała wesprzeć zmarłą w tych trudnych chwilach, wiedziała, że jej obecność może być dla niej trudna do zniesienia. Dała więc kobiecie

czas, ile tylko go potrzebowała. Mogły być to minuty lub godziny, królestwo Śmierci stało ponad czasem. W końcu jednak podeszła powoli duszy.

Gdyby nie wiedziała na pewno, że jest martwa, pomyślałaby, że kobieta zmarła po raz drugi. Leżała w bezruchu na ziemi, jej wzrok wbijał się tępo w błękitne niebo ponad Wrzosowiskiem. Z jej oczu wypływały strumyczki gorących łez. Śmierć otarła je ostrożnie z jej policzków.

– Przykro mi, że musisz przez to przechodzić – rzekła cicho.

Coś zmieniło się w spojrzeniu zmarłej. Przez chwilę było w nim widać jedynie rozpacz i żal. Później pojawił się gniew. Jego gorące płomienie, nienawistny żar, rozgorzały w jej oczach z niepohamowaną siłą. Rozpoczęło się to jednak szybko i trwało równie krótko. Na końcu znów pojawiły się łzy. Kobieta przygnęła do Śmierci z całych sił, jakie tylko jej pozostały. Trzęsła się i łkała głośno, lecz ani na chwilę nie rozluźniła uścisku. Coś w niej pękło, Śmierć poczuła to od razu. Zbyt wiele razy widziała ludzi w tym stanie, tak bliskim agonii, gdzie strach, wściekłość i bezsilność zlewały się w jeden wartki potok, wypływający spod zaciśniętych z cierpienia powiek. Mogła jedynie trzymać tak zmarłą, kołysać ją delikatnie, na wzór matki piastującej dziecko, by się uspokoiło.

Żadna z nich nie liczyła czasu. Chwile płynęły, mijały minuty, które przemieniały się w godziny. Nad Wrzosowiskiem zaczął krążyć czarny kruk, Limbus, który swój rodowód wywodził z przestworzy pieniących się za krawędzią skarpy. Jego krakanie zbudziło duszę z letargu.

– Czy on przybył po mnie tak jak ty? – zwróciła się do Śmierci. Nie było w niej już gniewu czy rozpacz, tylko zmęczenie. – Co teraz ze mną będzie?

– Nie wiem – odparła jej przewodniczka. – Nie mnie jest dane sądzić, co się z tobą stanie. Nie mogę też przekroczyć granicy, która na ciebie czeka. Ale nie bój się, nie jesteś tutaj sama.

Nad granicę wróciły razem, powolnymi krokami, w pełnym spokoju milczeniu. Kobieta czasem przystawała na moment w zadumie, bywało też, że niemal przewracała się z wyczerpania. Śmierć prowadziła ją cierpliwie, trzymała jej dłoń w swojej dłoni. Patrzyła jej też głęboko w oczy, pocieszająco, bez litości, jedynie ze współczuciem.

Gdy wspólnie stanęły nad brzegiem skarpy, Limbus przysiadł na ramieniu Śmierci, wczepił się w nie ostrymi pazurami, kracząc jej coś do ucha. Czarne lotki jego skrzydeł musnęły zmarłą po policzku.

– Więc to naprawdę już koniec? – odezwała się kobieta, bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. – To minęło tak szybko... Nie nacieszyłam się tym życiem.

– Tylko tyle czasu było ci dane – odparła Śmierć.

– Czy mogłam go wydłużyć? – znów zadysgotała, jakby z zimna. – Zrobić coś inaczej, cokolwiek?

– Nie możesz tego wiedzieć. Przewodniczka dusz spojrzała na siedzącego na jej ramieniu ptaka. – Powiedział mi o tobie wszystko, czego nie wiedziałam sama. Myślimy, że zrobiłaś wszystko, co było ci przeznaczone.

– To marna pociecha – dusza uśmiechnęła się słabo.

– Żadna inna nie jest ci potrzebna.

Stały tak jeszcze przez chwilę w milczeniu. Dusza znów przyległa do Śmierci, tym razem z większym spokojem, niemal z utęsknieniem. Później powoli odsunęła się i wyprostowała.

– To jest ta granica? – odezwała się cicho, patrząc na skarpe i pustą przestrzeń za nią. – Spodziewałam się czegoś bardziej... nie wiem, wznioślejszego?

– Nie widać stąd wszystkiego – uśmiechnęła się delikatnie Śmierć. Położyła dłoń na ramieniu duszy. – Za tą krawędzią nikną wszelkie inne granice. Ale nie przekonasz się o tym zostając tutaj. Twoje miejsce jest teraz po tamtej stronie istnienia.

– Więc nie ma już od tego odwrotu – stwierdziła kobieta. Przez chwilę stała tak jeszcze, chłonąc otaczające je spokój i ciszę, i ciepło dłoni na swojej skórze. Potem powoli, samotnie, ruszyła przed siebie.

– Dziękuję ci – wyszeptała jeszcze do Śmierci na pożegnanie. Opowiedziało jej jedynie skinienie głowy.

Pierwszy krok w pustą przestrzeń zawsze kończył się lotem. Na ziemi byłby to morderczy w skutkach upadek, tutaj jednak stanowił jedynie o oderwaniu się od podłoża. Dusza uniosła się więc na skrzydłach wiatru, chmury

otoczyły ją szczelnie. Rozpoczęło się oczyszczenie. Od zjawy, noszącej dotąd znamiona swojego ludzkiego życia, oderwały się strzępki tkanek, w promieniach jasności zniknęło wszystko, co stanowiło tę ziemską formę. Przestały istnieć rany i dawne blizny, wszystkie uszczerbki i urazy cudownie się zasklepiły. Pozostała jedynie boska esencja, czyste światło ludzkiej duszy. Na chwilę zawisło ono w powietrzu, odnowione i obmyte z wszelkiego brudu. Później rozpadało się w złocisty proch, w zwojach obłoków roznosiło się na cztery strony świata, znikało z oczu z cichym szelestem.

Śmierć rozsiadła się na trawie. Z wrzosowych kwiatów i naręczy listków wierzby uplotła wieniec i włożyła go sobie na głowę. Pogłaskała siedzącego na jej ramieniu kruka pod dzióbkiem.

– Dobrze się spisałeś, Limbusie – znów spojrzała w kierunku granicy pomiędzy światami. Uśmiechnęła się lekko. – Wszyscy to zrobiliśmy.



Elżbieta Wojciechowska

Perełeczka

Agata zastanawiała się, czy można kogoś jednocześnie kochać i chcieć od niego uciec? Na koniec świata. Gdzieś daleko, gdzie będzie tylko cisza i spokój. Wszechogarniający spokój... A nie ciągły jęk, krzyk, płacz, pisk.

Bo przecież chciała uciec. Tak jej się przynajmniej wydawało. Od kilkunastu lat tak bardzo marzyła o tym, żeby odpocząć. Albo tylko sobie przypomnieć, jak to jest nie bać się kogoś i o kogoś w jednym czasie. Od lat rosły w niej przeciwności. Były jej częścią.

Jednego dnia chciała żyć jak najkrócej, aby już nie musieć tego wszystkiego ogarniać. Innego mówiła:

– Muszę żyć jak najdłużej. Chociaż jeden dzień dłużej, niż moje dziecko.

Nie uważała się za kobietę spełnioną. Nie miała zbyt dużych wymagań od życia. Ale nawet w najśmielszych snach nie widziała się w tym miejscu, w którym była teraz.

Od piętnastego roku życia przez dziewięć lat dojeżdżała z maleńkiej wsi pod Kielcami do miasta. Do stolicy województwa. Każdego dnia kilkadziesiąt kilometrów w poszukiwaniu lepszego świata. Najpierw liceum, potem studia.

Nigdy nie zwątpiła w sens zdobywania wykształcenia. A nie zawsze było lekko. Miała chorobę lokomocyjną. Wymiotowała, wracała z okropnym bólem głowy. A i tak zasiadała do nauki. Dużą część dnia spędzała na dworcu PKS i czekała na autobus do domu. Długie popołudnia i wieczory upływały jej na twardej, drewnianej i niewygodnej ławeczce. Po kilka godzin. Jej koledzy i koleżanki z klasy byli już dawno w domu po obiedzie. Agata w tym czasie wyłączała się na wszystko dookoła i czytała, uczyła się do sprawdzianów i egzaminów, odrabiała lekcje. Przez cztery lata liceum dostawała w nagrodę książkę. Cieszyła się. Bardzo.

Rodzice zawsze jej powtarzali:

– Dziecko, wiedzy nikt ci nie zabierze. To największy skarb, o jaki możesz sama zawalczyć. To inwestycja w przyszłość. Pamiętaj, że nie można zniszczyć człowieka, który ma wykształcenie. To coś, co będzie z tobą na zawsze. Najłatwiej rządzi i kieruje się ludźmi bez rozumu.

Sami nie skończyli studiów. Mieli maturę. Jak na tamte czasy, to i tak było bardzo dużo. Ale każdemu z piątki dzieci dali szansę i możliwości na zdobycie wykształcenia. I każde z dzieci z tej okazji skorzystało. Bilet miesięczny na autobus do Kielc kosztował wcale nie tak mało, a pomnożony razy pięć, to była naprawdę spora suma pieniędzy. Koniec lat osiemdziesiątych początek dziewięćdziesiątych. Czas przemian. Pracował tylko ojciec. Z jednej pensji w fabryce czasem nie było z czego dzielić. Z trudem, ale dali radę.

Agata zastanawiała się nawet czasami, jak ciężko musiało im być. I jednocześnie jak lekko. Po jakimś czasie wiedziała, co mieli jej rodzice, a czego ona nie miała: zdrowe dzieci.

Tylko tyle i aż tyle.

Agata przez lata każdego dnia wstawała o 5.45, żeby zdążyć na 8.00 do szkoły czy wykłady. Wracła o 19.00 ostatnim autobusem PKS. Pomimo gorszych chwil, dawała radę. Bo miała cel. Bo wiedziała, że ten bilet na autobus był wart dużo więcej, niż można sobie wyobrazić. Koledzy i koleżanki z klasy wagarowali, nie chodzili na sprawdziany. Ona zawsze była obecna.

Po tym wszystkim, po tym całym poświęceniu ze strony jej samej, rodziców, nie przepracowała nigdzie ani jednej godziny. Nie wykorzystała do tej pory wiedzy, którą z takim trudem zdobywała. Strasznie jej było tego żal. Strasznie żal...

I nie dlatego, że nie chciała pracować. Choć byli i tacy, którzy tak mówili. Diagnoza syna postawiona przez lekarza psychiatrę zamknęła jej prawie wszystkie drogi. Dosłownie. W myślach słyszała trzask metalowych drzwi, zamykających się przed jej wielkimi, przerażonymi oczami. Te drzwi zamknęły się bezpowrotnie. Nie miała siły ich otworzyć, z czasem zardzewiały. Z każdym rokiem stawały się coraz cięższe. To były drzwi do lepszego życia. Do innego świata.

Teraz leżała w swoim małym mieszkaniu. Był środek nocy. Kolejnej bezsennej nocy. Za ścianą spał jej syn. Ukochany, wspaniały, wymarzony, wyczekany, zaplanowany. Mogłaby podobne epitety wymieniać bez końca. To były te chwile, gdy go najbardziej kochała. Gdy spał. Coraz rzadsze. Coraz krótsze. A potem znów trzeba było stawić czoła życiu.

Agata przeszła wszystkie etapy żałoby po diagnozie syna. Najpierw wmawiała sobie i innym, że to na pewno nie to. Nie autyzm. Wszystko, tylko nie autyzm. Szukała takich „specjalistów”, którzy potwierdzali jej wątpliwości. Czytała te artykuły, które dawały nadzieję na zmianę diagnozy. Obserwowała Aleksa i wybierała te objawy, które wykluczały zaburzenia. Zaklinała rzeczywistość. Nadaremnie.

Potem czuła w sobie straszny gniew. Była zła na wszystkich dookoła. Nawet na tych, którzy chcieli jej pomóc. I nie byli niczemu winni. Ale mieli lepiej niż ona. Tak jej się wtedy wydawało.

W tym czasie pokłóciła się też z Bogiem. Nie mogła mu wybaczyć, dlaczego to ją wybrał na matkę dziecka z niepełnosprawnością. Górnołotne słowa.

Kiedyś usłyszała:

– Bóg daje tyle, ile możemy udźwignąć.

Ale Agata nie chciała dźwigać. Chciałaby nie czuć tego „krzyża”. Tego niewyobrażalnego ciężaru.

Inni mówili:

– Bóg wybiera na matki dzieci niepełnosprawnych wyjątkowe kobiety.

A Agata nie chciała być nigdy wyjątkowa. Marzyła o zwyczajnym życiu, rodzinie, pracy, spokoju. Nigdy nie miała aspiracji, by być przez kogoś wybieraną. A już na pewno nie przez Boga.

Dlaczego nikt jej nie zapytał o zdanie?

Przez kilka miesięcy próbowała się nawet targować z losem o przyszłość swojego dziecka. Spełniała coraz to nowe wyzwania, które miały coś zmienić. Chwytała się obietnic bez pokrycia. Odczyniała uroki, kupowała witaminy, suplementy, olejki. Zapisywała Aleksa na wszelkie możliwe zajęcia, terapie.

Kolejnym etapem żałoby była depresja. Niewiarygodne i nadludzkie starania nie przynosiły szybkiego efektu. To wtedy zaczęło jej być wszystko jedno. Nie czuła już nic. Ani radości, ani złości. Emocje się wypłaszczyły, nie były jej już potrzebne. Nie płakała, ani nie krzyczała. Życie stało się nijakie. Wtedy rękę do niej wyciągnęła lekarz psychiatra.

Jeździli z Alekssem do poradni na wizyty co kilka miesięcy. Na kontrolę. Pani doktor na rutynowej wizycie zauważyła niepokojące symptomy. Zaproponowała Agacie leki przeciwdepresyjne. Na szczęście się zgodziła. W sumie to było jej wszystko jedno. Przyjmowała tabletki zgodnie z zaleceniami lekarza.

Agata szybko się zmieniła. Jej mechaniczne ruchy, obojętność i apatyczność z każdym tygodniem malały. Dzięki pomocy psychiatry i psychologa wskoczyła na ostatni etap żałoby – na akceptację.

Po prostu pogodziła się z tym, co przypało jej w udziale. Na tyle, na ile mogła i potrafiła się pogodzić z niepełnosprawnością i niesamodzielnością własnego najukochańszego dziecka. Oczywiście po drodze było jeszcze dużo chwil, które przypominały o traumie, która bez przerwy była jej udziałem. Była nieodłączną częścią jej życia. Życia, którego sobie sama nie wybrała i nie wykreowała. Ale co ważne, Agata po przemianie, która dokonała się w jej głowie, nie czuła się w żaden sposób winna całemu temu autyzmowi. To dawało ulgę.

Każdego dnia powtarzała Aleksowi kilka zdań:

– Kocham cię nad życie...

– I najbardziej w świecie – dopowiadał zawsze Aleks z uśmiechem na twarzy.

– Bo jesteś moją małą...

V Perełczką! – kończył zdanie z zadowoleniem i błyskiem w oku.

To były te nieliczne chwile normalności. Pozorna namiastka szczęścia.

W pamięci Agaty wyrzyło się pewne stwierdzenie pani doktor psychiatry. Aleks był jeszcze malutki. Miał bardzo dużo zaburzeń, opóźniony rozwój mowy i liczne deficyty. Ale Agata liczyła, że z każdym dniem, tygodniem, miesiącem terapii będzie tylko lepiej. Nigdy gorzej. O, jakże bardzo się myliła...

Wtedy, na jednej z wizyt, ze stoickim spokojem lekarka powiedziała.

– Proszę zbierać siły. I pamiętać, że przed panią najgorsze lata z pani synem. Nie chcę pani straszyć. Ale biorąc pod uwagę lękliwość i nadwrażliwość Aleksa, przed wami najtrudniejszy okres w pani życiu. Jego dorastanie. Regres. Nie da się tego uniknąć. A to na pani barkach będzie się opierał cały ciężar opieki nad synem.

W tamtym momencie Agata nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo prawdziwe i prorocze okażą się słowa pani doktor. Dorastanie syna stało się bardzo szybko faktem i jednocześnie najgorszym czasem w życiu Agaty i Aleksa.

Najpierw pojawił się trądzik, delikatny, subtelny, ale jednak świadczył o burzliwych zmianach hormonalnych w organizmie. Potem powoli dochodziły kolejne symptomy, które potwierdziły i przypieczętowały dojrzewanie.

Agata przestawała poznawać swojego syna. Z każdym miesiącem wspólnie tracili umiejętności wypracowywane latami. Kontakt wzrokowy, komunikację potrzeb fizjologicznych, wykonywanie podstawowych poleceń. Aleks przestał nawet słuchać książeczek na dobranoc. A uwielbiał, jak ktoś mu czytał. Coraz częściej wpadał w złość bez wyraźnego powodu.

Nawet najdrobniejsze wybicie z ustalonego wcześniej rytmu wywoływało u niego frustrację, która bardzo szybko przeradzała się w ataki płaczu i krzyku. Coraz rzadziej wychodzili z domu. Wyprawa do sklepu stawała się gehenną i istnym torem przeszkód. O wyjściu na spacer nie było nawet mowy.

Coraz trudniej można było Aleksa opanować i przewidzieć jego trudne zachowania. O ich całkowitym wyeliminowaniu nie było w ogóle mowy. Stały się codziennością. Dochodziły pokrzykiwania i popiskiwanie. Melo-dyjne do tej pory echa stały się niemalże odzwierzęcymi odgłosami. Dochodziło do tego, że Agata zamykała okna w mieszkaniu, żeby sąsiedzi nie byli bez przerwy bombardowani niechcianymi dźwiękami. Sama nie mogła uciec.

Wszystko przyjmowała ze spokojem i wiedzą, którą zdobywała latami. Wydawało jej się, że dokładnie wiedziała, jak uspokoić syna. Znała go jak

nikt inny. Starła się być krok przed nim. Ale przychodziło jej to z coraz większym trudem. Wyzwalała sobie takie pokłady cierpliwości, o jakie by się nigdy nie podejrzewała. Z czasem nawet przestała zauważać, że jej codzienność znacząco odbiega od normy.

Apogeum zachowań trudnych i nieprzewidywalnych przypadało zazwyczaj na wakacje. To był ciężki czas. Nie było szkoły, mało zajęć dodatkowych, terapii o ustalonych godzinach. Brak grafiku, na którym zawsze bazowała ustalając plan dnia dla siebie i syna. To oznaczało chaos.

Za pierwszym razem Aleks przestał spać w nocy tuż przed 10 urodzinami. Chodził po pokoju od ściany do ściany przez całą dobę. Nad ranem był już tak zmęczony, że przysnął na siedząco w fotelu na pół godziny. I zaczął od nowa. Był bardzo pobudzony i zdenerwowany. Nie dał sobie pomóc. Nie słuchał próśb Agaty. Nie chciał lub nie potrafił zasnąć. Leki, które miała na wyciszenie i uspokojenie nie działały. Z każdą godziną było tylko gorzej.

Gdy minęło 48 godzin od ostatniego snu, Agata zadzwoniła w trybie pilnym do psychiatrii. Dostał silne leki nasenne i wyciszające lęki. Usnął. To był swoisty atak paniki. Strach przed zaśnięciem. Bo nie wiedział, co go czeka, jak się obudzi. Nie znał planu dnia, bo były wakacje. Doba nie była wypełniona aż po brzegi zajęciami. Mimo usilnych starań, wyjazdów na basen, na dziką plażę, na wieś do rodziców, Agata nie była w stanie zapewnić synowi poczucia bezpieczeństwa w takim stopniu, jak w roku szkolnym. Po raz pierwszy poczuła, że go w pewien sposób zawiodła.

W kolejnych latach było tylko trudniej. Zaopatrywała syna w leki i starała się przetrwać do września. Pisała w kalendarzu, co będą robić przez cały tydzień i w jakich godzinach. Nie wszystko się dało przewidzieć, ale działało. Drobne wybicia z rytmu nie burzyły spokoju Aleksa. Choć bardzo je zapamiętywał.

Lubił wiedzieć, co będzie na śniadanie, obiad i kolację. Jak w przedszkolu i szkole, gdy na ścianie wisiał jadłospis. Agata też robiła rozpiskę na cały tydzień i wieszała na lodówce.

Żyła, jak na wojnie. Jak saper. Nigdy nie wiedziała, kiedy wybuchnie bomba lub kiedy wejdzie na minę. Najprawdopodobniej cierpiała na zespół stresu pourazowego. Jednak nic nie mogła z tym zrobić. Jej wojna miała się nigdy nie zakończyć. Próbowала przeżyć.

Ze snem było niestety bardzo ciężko. Aleks bał się zasypiać. Wpadał w panikę, gdy tylko zbliżał się wieczór. Często potrzebne były leki nasenne. Wybudzał się po kilka razy w nocy. A w wakacje i dni wolne wstawał o świcie. Latem o 4 lub 5. Agata nawet myślała czasami, że sen jest Aleksowi zupełnie zbędny. Niestety organizm był innego zdania.

Przed kolejnymi wakacjami negatywne emocje Aleksa narastały ze zdwojoną siłą. Agata wiedziała, że to będą kolejne tygodnie bez snu i namiastki normalności. I jej przypuszczenia się potwierdziły. Aleks był nie do poznania. Zupełnie jakby ktoś podmienił jej syna. Krzyczał coraz mocniej i głośniejsz bez powodu. To znaczy powód był, ale najczęściej tylko jemu znany.

Po pewnym czasie zauważyła, że przesuwana się granica między jej ogromną matczyną miłością, a obojętnością do własnego dziecka.

Tak. Obojętnością.

Zawsze myślała, że nie da się przekroczyć tej granicy. Że tej granicy chroni ogromny mur nie do przejścia. Że miłość do dziecka, szczególnie niepełnosprawnego, to jest coś na zawsze. Ale pojawiały się momenty, że Agata nie czuła chęci przebywania blisko syna.

Agata wręcz tego kontaktu unikała. Coraz częściej wyłączała się na jego odgłosy. W tle, z tyłu głowy słyszała piski, czy krzyki, ale uodparniała się na nie. Była jak pod wodą. Odgłosy były stłumione. Oczywiście nigdy nie zostawiała go bez opieki, nawet na ułamek sekundy. Zawsze był w zasięgu jej wzroku. Nawet do toalety chodziła z Alekssem. Była obok, a jednocześnie bardzo daleko.

Dzisiaj wieczorem ta granica między miłością a obojętnością została przekroczona. Przez te wszystkie lata stawała się coraz cieńsza. Kruszyła się. Pękała. Była wymywana przez łzy i pot.

– Przecież nie można kogoś tak kochać i tak bardzo nie chcieć z kimś przebywać – powtarzała sobie w głowie, gdy po raz Aleks dał upust swoim emocjom.

– Jutro będzie lepszy dzień – wmawiała sobie.

Ale ten lepszy dzień nie nadchodził. Było coraz gorzej. Aż w końcu doszło do gwałtownej reakcji Aleksa. Reakcji, której nigdy u niego nie widziała i nie byłaby w stanie nawet przewidzieć.

Aleks wpadł w taki szal, że ją zaatakował. Jedenastołatek rzucił się na własną matkę. Próbował ją ugryźć w rękę. Agata była w takim szoku, że w pierwszej chwili nie poczuła bólu. Jej wszystkie mięśnie i ścięgna były mocno napięte. Jak zawsze w chwili złości syna była przygotowana na uspokajanie, kołysanie, głaskanie, ocieranie łez. Ale nie była przygotowana na to, że będzie musiała się bronić przed własnym dzieckiem.

Mur pękł. Granicy już nie było. Koniec. Nic.

Odsunęła Aleksa wprawnym ruchem. Przytrzymała go za ramiona. Jego wzrok był nieobecny. To nie były oczy jej dziecka. To nie był jej syn.

Ręka ją piekła. Ślad po ugryzieniu był wyraźny. Ale nie to było najgorsze. Najgorsza była świadomość, co się właśnie stało. Agata wiedziała, że bardzo wiele dzieci z zaburzeniami przejawia zachowania agresywne i auto-agresywne. Ale ich to miało ominąć. Nigdy nawet nie krzyczała na Aleksa. Zachowywała spokój, aż do granic możliwości i wytrzymałości.

Dlatego to tak bolało. Bo zawsze jej spokój go wyciszał.

Aleks zdał sobie sprawę z tego, co właśnie przed chwilą zrobił. Zaczął głośno płakać. Sam był zaskoczony tym, co się przed chwilą stało. Łzy płynęły mu ciurkiem po policzkach. Agata go szybko złapała i z całych sił przytuliła. Najmocniej.

Spojrzała na jego załzawione i mokre oczy. To już były znowu jego oczy. Oczy jej ukochanego Aleksa. Płakała razem z nim.

– Synku, zawsze będę cię kochać. Nad życie...

– I najbardziej świecie... – odpowiedział jak zwykle, choć przez łzy.

– Bo jesteś moją małą...

– Perełeczką – dokończył Aleks ustami wygiętymi w ogromną podkówkę.

– Właśnie tak. Damy radę.

Agata miała już plan. Wiedziała, że jutro rano zadzwoni do psychiatry i poprosi o przyspieszenie wizyty w poradni. Potrzebne były kolejne leki, zalecenia od lekarza. Musiała pomóc Aleksowi.

Już nie chciała uciekać. Nie mogła. Znowu miała w sobie siłę na walkę z tym okropnym autyzmem. To nie była wina ani jej, ani tym bardziej Aleksa.

Agata na własnej skórze przekonała się, jak cieniutka jest granica między miłością i strachem. Między miłością i obojętnością. Między miłością

i bólem. Już wiedziała, co musi czuć matka, oddająca swoje najukochańsze dziecko do szkoły specjalnej z internatem, Domu Pomocy Społecznej lub szpitala psychiatrycznego. Żeby pomóc jemu i sobie.

Decyzje o przekazaniu własnego dziecka pod opiekę instytucji to najtrudniejsza decyzja w życiu rodzica. Ale najczęściej to jedyna słuszna decyzja.

Agata wiedziała, że jeszcze jej nie podejmie. Może nigdy tego nie zrobi, a może zrobi jutro.

Bo zrobi wszystko, by ratować swoją „Perełczkę”.



Artur Żurek

Niemy Sylwester

Trzydziesty pierwszy grudnia był dla Sylwestra Mazura taką samą datą, jak każda. Czterdziestopięcioletni psycholog ani nie obchodził swoich imienin, ani nie świętował nadejścia nowego roku. Ten dzień, jak niemal wszystkie inne spędzał samotnie w mieszkaniu. Po prostu pracował. Przejrzał już notatki z sesji terapeutycznych i uzupełnił wpisy. Ponieważ nie miał zaplanowanych żadnych spotkań z pacjentami, od obiadu sączył ulubiony armaniak. Czuł już wyraźny szum w głowie, co znaczyło, że czas zakończy pracę. Po raz setny obejrzy teraz Gabinet doktora Caligari, przebój kina niemego z tysiąc dziewięćset dwudziestego roku. Dokończy butelkę armaniaku i pójdzie spać. Uśmiechnął się do swoich planów i pozamykał pliki. Już miał włączyć platformę streamingową, gdy na ekranie pojawiła się ikonka przychodzącego połączenia wideo. – Anna Bilka. Muszę przyjąć. Widać, że jestem aktywny – zrezygnowany odebrał i ujrzał poważną twarz trzydziestoparoletniej kobiety. Anna uśmiechnęła się nieznacznie, ale nie ukryła w ten sposób wyjątkowego napięcia i skupienia. Odsunęła się, żeby kamera ujęła jej ręce. Inaczej nie mogliby rozmawiać.

– Ja tylko na chwilę. – Szybko zamigała. – Chcę się pożegnać.

– Pożegnać? – Odpowiedział ruchem dłoni i palców. – Jest w gorszym stanie niż na ostatniej sesji – zaniepokoił się.

– Zdecydowałam. Stary rok będzie moim ostatnim. Żegnaj. – Pomachała ręką.

– Porozmawiajmy, nie rozłączaj się. Proszę.

Połączenie zostało przerwane. Nerwowo poruszył myszą, żeby ponownie nawiązać kontakt. W napięciu wpatrywał się w grafikę na ekranie. Jednym haustem opróżnił kieliszek i ponownie napełnił. Jego sygnał był ignorowany. Ponawiając próby, sprawdził w kartotece adres Anny. Po piątym nieodebranym połączeniu wysłał esemes na specjalny numer alarmowy dla głuchoniemych.

Zagrożenie życia Anna Bilka ulica.... Podpisał: psycholog Sylwester Mazur. Przez kilka nieskończenie długich minut ponawiał próby połączenia

wideo z Anną i wpatrywał się w ekran smartfona. Nie było żadnego odzewu z centrum alarmowego. Wiedział, że przeważnie tak jest, a tym bardziej w wieczór sylwestrowy. Uzupełnił tekst esemesa o prośbę zgłoszenia na sto dwanaście i wysłał do wszystkich mówiących znajomych. Nie było ich zbyt wielu, raptem czterech. Znajomość w mowie tylko języka migowego, czytał i pisał w trzech, mocno ograniczała jego krąg znajomych. Zresztą, Sylwester Mazur, głuchoniemy od dziecka nie był osobą towarzyską. Bardzo możliwe, że gdyby mówił i słyszał, nie byłoby inaczej. Od przedwczesnej śmierci żony całkowicie zamknął się w czterech ścianach. Czas spędzał ze sobą oraz z głuchoniemymi pacjentami przychodzącymi do niego na indywidualną bądź grupową terapię.

– Nikt nie odbiera. Bawią się. Dopiero przed północą zaczną czytać i wysyłać życzenia. Może być za późno... – ocenił sytuację. – Sąsiedzi, od nich powinienem zacząć.

Ze stołu zgarnął kieszonkowy notes z wyrwanymi kartkami i długopis. W dwóch mieszkaniach nikt mu nie otworzył. Nie wiedział, czy nikogo nie było, czy nie słyszeli, czy nie chcieli wpuścić niezapowiedzianego gościa. Nie mógł odebrać dźwięków nawet najgłośniejszej imprezy. Trzecie drzwi otworzyły się i niemal w całości wypełnił je otyły, ledwo stojący na nogach osobnik. Sylwester go nie znał. Szybko zapisał na kartce prośbę o pomoc i podał mężczyźnie, który przyłożył ją blisko do oczu. Zachwiał się, poruszył ustami, podał kartkę i rzucił pod nogi Sylwestra. Psycholog złapał mężczyznę za przedramię, brodą wskazał na wewnątrz mieszkania. Miał nadzieję, że w środku będą ludzie mniej pijani i wykażą większe zrozumienie sytuacji alarmowej. Grubas odepchnął z furią Mazura i zatrzasnął drzwi. Sylwester zapisał ponownie prośbę o pomoc i włożył ją w szparę w futrynie. Wrócił do swojego mieszkania. Kilka razy spróbował nawiązać połączenie z Anną. – Jestem po dużym kielichu, ale muszę jechać – zdecydował. – Oby zatrzymała mnie policja. Im szybciej, tym lepiej. Pewnie pomogą – narzucił kurtkę i wsunął stopy w ulubione sztyblety.

Ulice były niemal całkowicie wyludnione. Tylko od czasu do czasu przejeżdżał samochód. Mazur już nie zamierzał zatrzymywać jakiegoś kierowcy czy przechodnia. – Tylko stracę czas, a najpewniej wezmą mnie

za wariata –ocenił. Po niemal dwóch kwadransach jazdy przeczytał na ekranie nawigacji, że do celu pozostało mu czterysta metrów. Nigdy nie był w tej części miasta. Blokowisko było odpychające. Luźno i chaotycznie rozrzucone bloki z wielkiej płyty, rzadko poprzetykane jednorodzinnyymi sześcianami pamiętającymi czasy Gierka. Większość ulicznych latarni nie działała, co potęgowało niemal apokaliptyczny obraz betonowej pustyni. – Nic dziwnego, że Anna ma myśli samobójcze... – szukał właściwego numeru bloku. – Mam nadzieję, że wciąż ma, że nadal żyje... Nawigacja wyświetliła komunikat o dotarciu do celu podróży. Zatrzymał się. Nie był w stanie dostrzec tabliczki z numerem na najbliższym budynku oddzielnym od jezdni szerokim pasem zaśmieconej ziemi, który może kiedyś był albo tylko miał być trawnikiem. Wzdrygnął się i podciągnął suwak w kurtce pod samą szyję. Zbliżył się do ściany pokrytej wulgarnym graffiti, które zachodziło również na numer bloku. Zamalowana cyfra miała wyraźnie widoczny, poziomy brzuszek na dole. – Trójka, piątka, szóstka, ósemka albo dziewiątka? Z pewnością nie jest to numer siedem, którego potrzebuję – zrezygnowany odwrócił się. Kilkanaście metrów od jego samochodu stał dwukołowy wózek towarowy. Tuż obok dwóch mężczyzn mocowało się z czymś dużym, płaskim i z pewnością ciężkim. Po chwili, z trudem wrzucili to na wózek. – Oni mi pomogą albo przynajmniej wskażą właściwy dom – Sylwester podbiegł w ich stronę. Zapewne coś usłyszeli, spojrzeli na niego. Pomachał im ręką i zatrzymał się zdyszany. Wyciągnął notes i długopis. Napisał pytanie o adres i prośbę o wezwanie pomocy do samobójczyni. Nawet nie spojrzeli. Gestem pokazał, że nie mówi i nie słyszy, ale ich zacięte oblicza nie zmieniły się. Spojrzał na wózek. Na stosie kabli, blach i puszek leżał włącz do studzienki kanalizacyjnej. – Z tym się męczyci. Złomiarze – skierował wzrok na jezdnię. Ponad półmetrowa, niczym nieosłonięta dziura była zagrożeniem dla każdego przechodnia i samochodu. – Dziecko czy pies, jak wpadną, to nigdy niej wyjdą – przeszedł go dreszcz. Sylwester podszedł do wózka i wskazał na pokrywę, a potem na otwarte wejście do studni kanalizacyjnej. Nie mogli nie zrozumieć, ale dla pewności wykonał małą pantomimę. Mężczyźni rozchylili szeroko otwarte usta. Nie miał wątpliwości, że ich rozbawił i śmieją się głośno. Kiedy przestali, na ich twa-

rzach pojawiła się wrogość. Szybko napisał na kartce: 20 zł za położenie włazu na miejsce. Nie zainteresował ich. – Może analfabeci – wyjął portfel. Nie było dwudziestki, ale miał kilka pięćdziesiątek pobranych wczoraj z bankomatu. Wyjął jeden banknot i jeszcze raz pokazał całym sobą, za co zapłaci. Wyższy i chudszy z dwóch mężczyzn podszedł z wyciągniętą ręką. Na jego twarzy było zadowolenie, ale z pewnością nie było najmniejszej sympatii. – Najpierw włącz na miejsce, potem kasa – Sylwester zdecydował w myśli, pokręcił głową i pokazał na pokrywę. Złomiarz pochylił się nad wózkiem. Czegoś w nim szukał. Sylwester kiwnął na drugiego, niższego, po czym wskazał na siebie i gestem dał do zrozumienia, że on też pomoże nieść płytę. Ostatnim, co zobaczył zanim ogarnęła go ciemność była bezlitosna twarz wyższego mężczyzny biorącego zamach łyżką do opon.

*

Sylwester z trudem otworzył jedno oko. Drugiej powieki nie mógł unieść. Chciał przetrzeć oczy, ale zakręciło mu się w głowie. Nie był pewny ułożenia swojego ciała. Potrzebował chwili, żeby się zorientować, że leży na boku, na czymś twardym, w pozycji pośredniej pomiędzy embrionem a scyzorykiem. Podparł się jedną ręką i usiadł opierając plecy o coś równie twardego, jak podłoże. Przez całe ciało przeszedł dotkliwy, nieznany mu wcześniej ból. Zaciśnął zęby i starł z twarzy lepką substancję. – Krew – domyślił się. Uniósł drugą powiekę. Bolała go cała głowa, ale najbardziej łuk brwiowy, który był źródłem krwotoku. Na szczęście przy uniesionej i trzymanej prosto głowie strużka krwi nie spływała już na oczy. Wzrok stopniowo przyzwyczajał się do mroku. – Nie wierzę, to niemożliwe. Sylwester zdał sobie sprawę ze swojego położenia. – To przecież studnia kanalizacyjna, zejście do kanałów... Wrzucili mnie tutaj. Bandyci – spróbował wstać, ale przeszedł go tak wielki ból, że ciężko opadł na twarde podłoże. Przez kilkadziesiąt sekund siedział bez ruchu. Kiedy fizyczna udręka ustąpiła na tyle, że nie paraliżowała ruchów, Sylwester pochylił się i delikatnie dotknął nóg. Najpierw prawej, potem lewej. Ból ponownie eksplodował. – Złamana – nie miał odwagi sprawdzić, czy kość przebiła skórę czy nie. Najdelikatniej, jak mógł poprawił ułożenie ciała na bardziej stabilne. Przeszukał kieszenie. Były niemal puste.

Zniknął telefon, portfel, klucze od mieszkania i pilot od samochodu. Pozostał tylko notes i długopis. – W dowodzie osobistym nie ma adresu, ale chyba jest w rejestracyjnym. Ukradną nie tylko samochód, ale obrobią też mieszkanie... Nieboszczykowi nic nie jest potrzebne. Wykończę się zanim ktoś tutaj zajrzy... – popatrzył na stalowe stopnie z prętów zbrojeniowych. – Ze złamaną nogą nie dam rady stanąć, a co dopiero wyjść. Nawet gdybym miał telefon, to przecież nikt dzisiaj nie reaguje...

– Anna – przypomniał sobie, dlaczego wyszedł z domu. – Jak długo tutaj jestem? – odruchowo uniósł lewą rękę. Na przegubie nie było kilkudziesięcioletniego Atlantica, pamiątki po ojcu i dziadku. – Pewnie nawet nie dostrzegłbym cyferblatu. Wciąż jest noc. Niemożliwe żebym długo leżał, to nadal musi być noc sylwestrowa. Przed czy po północy? Anna żyje czy już nie? – westchnął. – Prawie ją wyciągnąłem z depresji. Wyszła na prostą. Co się stało? To ten wariacki dzień. Kretyński obowiązek zabawy. Nawet nie zapytałem na ostatniej sesji o jej plany. Co ze mnie za psycholog?

Spojrzał na rozświetlony księżycem otwór wyjścia ze studzienki. – Pewnie ze trzy metry w górę po tych prętach. Nie dam rady – ocenił. Wyjął notes i zapisał informację o swoim położeniu oraz prośbę o zorganizowanie pomocy dla Anny. Zrobił kilka próbnych zamachów ręką i pokonując ból rzucił. Trafił idealnie. Notes przeleciał przez otwór wejściowy i nie wpadł z powrotem do studzienki. – Oby go ktoś znalazł i podniósł. Dobrze, że zabrali właz. Gdyby zamknęli, z pewnością nikt by tutaj nie zajrzał, a tak może ktoś zauważy dziurę albo w nią wpadnie, na mnie...

Sylwester poczuł niepokój. Na razie siedział spokojnie i myślał logicznie, ale wiedział, że w każdej chwili może pojawić się atak paniki. Odkąd pamiętał, męczył go pewien rodzaj klaustrofobii. Nie bał się małych i zamkniętych pomieszczeń. Wręcz wolał je od otwartej przestrzeni. Dobrze się czuł w mieszkaniu, z którego mógł nie wychodzić. Bez obaw podróżował windą, ale wystarczyło, żeby jechał dwudrzwiowym samochodem na tylnym fotelu, a zaraz dopadał go niepokój. To samo w autobusie czy w samolocie. Mógł zajmować tylko miejsce przy przejściu. W każdej sytuacji Sylwester musiał mieć dostęp do drzwi, do wyjścia. Widok otwartego włazu, przynajmniej na jakiś czas, dawał mu złudne poczucie bezpieczeństwa.

Droga do wyjścia była dostępna. Przynajmniej teoretycznie. – Gdybym wytrzymał ból, to... – zdecydował. Oparty o ścianę, centymetr po centymetrze przesunął się bliżej stopni. Kilka razy głęboko odetchnął, złapał rękoma najniższy schodek i zagryzając wargi z bólu stanął na jednej nodze. Oparł się głową o ścianę, żeby nie stracić równowagi. Po kilku minutach odzyskał siły i zapanował nad bólem. – Jak to zrobić? Jak? Muszę wyjść – złapał rękoma najwyższy możliwy stopień, podciągnął się i postawił zdrową nogę na stopniu, wyprostował, a następnie najpierw jedną, a potem drugą rękę przeniósł na wyższy schodek. Podciągnął się i postawił zdrową nogę na wyższym stopniu. Złamana cały czas zwiśla bezwładnie i nie tylko bolała, ale też niezwykle ciężka. Ręce drżały mu z wysiłku, pot zalewał twarz, ale był szczęśliwy. Znalazł sposób na wyjście ze studni. – Spokojnie, stopień po stopniu – uspokajał się i zachęcał się do dalszego wysiłku. – Zrobisz to. Zrobisz – wspinał się pomimo strasznego bólu. Pokonał cztery stopnie i spojrzał w górę, żeby zobaczyć, ile zostało do końca. To był błąd. – Jeszcze tylko dwa – ucieszył się i zdekoncentrował. Noga ześlizgnęła się ze stopnia, a wycieńczone ręce nie utrzymały dziewięćdziesięciu kilogramów. Sylwester zleciał na dół. Ponownie stracił przytomność.

*

Ocuciły go chłód i woda. – Noworoczny deszcz – odchylił głowę i otworzył usta. Zachłannie łapał coraz większe i gęstsze krople wody. – Jak dobrze – poczuł wilgoć na poślaskach. – Cholera, utopię się – deszcz się nasilał, a poziom wody w studziencie podnosił błyskawicznie. – Zaraz przestanie padać, w zimie nie ma burz – w panice zdjął but ze zdrowej nogi. Nie musiał się przesuwac, stalowe stopnie były blisko. W najbliższy uderzył obcasem sztybletu. Kontynuował wolno, rytmicznie. Mógł mieć tylko nadzieję, że wywołuje mocny dźwięk, na który zareaguje jakiś zbłąkany przechodzień. Lodowata woda sięgała kilkunastu centymetrów. – Zaleje mnie – przestał uderzać butem. Założył go na mokrą i skostniałą stopę. Woda lała się już nie tylko kroplami, ale wręcz strumieniem. Coś z pluskiem spadło z góry. Sylwester rozpoznał swój notes. – Koniec. Ze mną i z Anną. Zawiodłem ją. Pomoc nie przyjdzie – podniósł się i ponownie wspinał na stopień. – Pierwszy,

drugi, jeszcze jeden, jeszcze... – nagle w studzience zapadła ciemność. Zaniepokojony przywarł do ściany i zacisnął dłonie na stopniach. Spojrzał w górę, uważając, żeby ponownie nie spaść. Wyjście ze studzienki było niemal całkowicie przesłonięte. – Zamknęli. Położyli nowy właz – Sylwester jedną ręką uderza w stopień z pręta zbrojeniowego. Przestaje dopiero wtedy, kiedy ból dłoni jest nie do wytrzymania, a druga, którą trzyma się stopni cieplej coraz bardziej. Nagle robi się jaśniej, po chwili znowu ciemniej, jaśniej i ciemniej. – To samochód. Ktoś wjechał w studzienkę pozbawioną włazu i próbuje wyjechać – niemal skoczył z radości. – Muszę jeszcze podejść, jeszcze trochę... Co ja zrobiłem? – dotarło do niego, że zgruchotał sobie prawą dłoń. Z jedną zdrową ręką i jedną nogą nie miał szans na pokonanie kolejnego stopnia. – Byleby nie spaść, byleby nie spaść – powtarzał, czując, jak palce rozchylają się coraz bardziej. Nie słyszał, ale miał nadzieję, że przynajmniej wydaje z siebie jakiś skowyt rozpacz i skargi na Bilską, na głuchy telefon pogotowia, na sąsiadów i na złomiarzy. – Najpierw oszaleję, czy najpierw umrę? – Sylwester zapłakał. Zrobiło się jaśniej. Kolisty otwór stał się znowu wyraźnie widoczny w świetle księżyca i odległych latarni. – Odjechali. Nikt nie zajrzał. Już nie pada – chaotyczne myśli przebiegały mu przy głowę, gdy przez łzy patrzył na zachmurzone niebo. Nagle widok przesłonił mu kontur ludzkiej głowy. Sylwester podniósł w jej kierunku opuchniętą dłoń. Zaśmiał się bezgłośnie.

*

Dopiero na SOR-ze jeden z sanitariuszy zrozumiał, czego Sylwester od niego chce. Podał mu kartkę i ołówek. Psycholog nie czuł bólu pisząc prośbę o ratunek dla Anny. Miał nadzieję, że jego pacjentka wciąż żyje. Wyraźnie zapisał adres i numer telefonu, które o dziwo wciąż pamiętał. Sanitariusz skinął głową ze zrozumieniem i pobiegł do dyspozytora. Wrócił po kilku minutach. Postukał palcami w ekran smartfona i przytrzymał go przed oczami Sylwestra. Wydawało się, że miganie ikony połączenia trwa w nieskończoność. – Za późno... – zdążył pomyśleć, gdy na ekranie ukazała się Anna Bilska. Na jej twarzy pojawiło się przerażenie.

– Jesteś chory? – Zamigała. – Co się stało?

– Żyjesz. Proszę, nic nie rób. – Z trudem poruszał palcami, ignorując pytania Anny. – Nic ci nie jest?

– Nic sobie nie zrobiłam. Ja tylko chciałam, żebyś przyjechał. Wiedziałam, że zaproszenia nie przyjmiesz, i że tylko zagrożenie pacjenta wyciągnie cię z czterech ścian, z twojego schronienia przed światem.

– Migą bardzo szybko. Sylwester nie był pewien, czy dobrze ją rozumie.

– Nie wiedziałam, że sam jesteś chory.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Zawsze mnie odpychałeś od siebie. Bo etyka zawodowa, bo jest ci dobrze samemu. Głupie wymówki. – Uśmiechnęła się. – Nie zjawiałeś się. Byłam pewna, że ty nie chcesz przyjechać, że masz gdzieś, czy się zabiję, czy nie, a ty po prostu nie mogłeś... A może przejrzałeś mój podstęp? Powiedz.

Nie zareagował.

– Gdzie jesteś? Przyjadę do ciebie, porozmawiamy. – Szybko przebierała palcami,

Sylwester zamknął oczy i oparł głowę na poduszce. Sanitariusz wyłączył telefon i schował do kieszeni. Popchnął nosze w stronę gabinetu lekarskiego.



